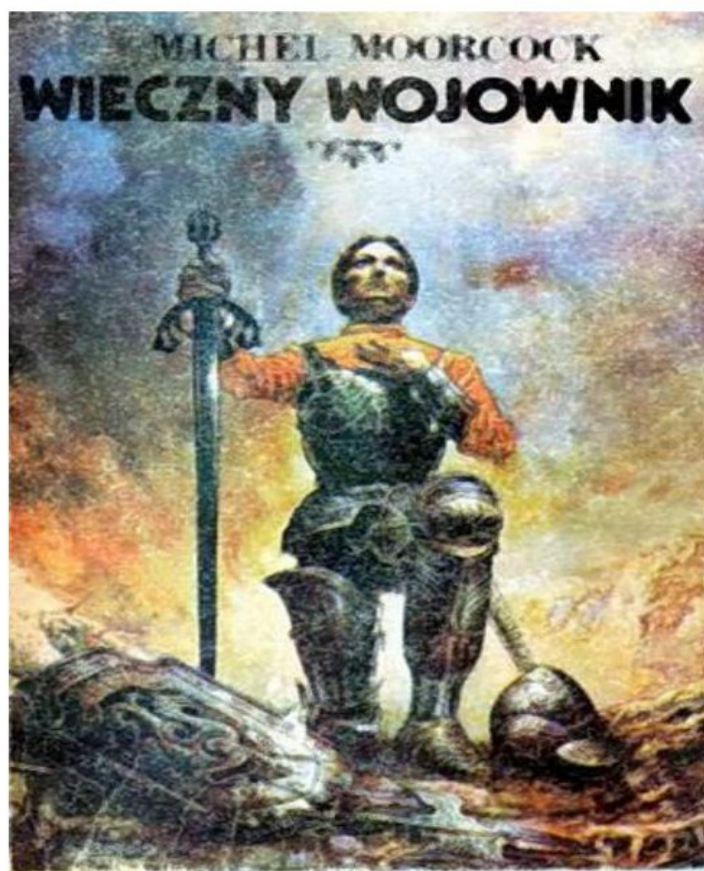


Michel Moorcock

WIECZNY WOJOWNIK

Cykl Erekoze

Pierwsza część cyklu dziejów Johna Dakera - Wiecznego Wojownika.



Redakcja: **Wujo Przem**

MICHEL MOORCOCK
WIECZNY WOJOWNIK

1977



Michel Moorcock

WIECZNY WOJOWNIK

Cykl Erekoze

Pierwsza część cyklu dziejów Johna Dakera - Wiecznego Wojownika.

Redakcja: **Wujo Przem**

1

PROLOG

Zostałem wezwany. To wszystko, co naprawdę wiem. Zostałem wezwany i przybyłem.

Nie mogłem uczynić inaczej. Nie sposób sprzeciwić się woli całej ludzkości. Przeniosła się ona przez bariery czasu i przestrzeni, aby sprowadzić mnie do siebie. Wciąż nie wiem, dlaczego zostałem wybrany, choć tym, którzy mnie wezwali zdawało się, że powiedzieli mi to. Ale stało się i jestem tutaj. Pozostanę tu na zawsze i jeśli, jak mówią mędrcy, czas jest cykliczny, pewnego dnia powrócę do tej części cyklu, którą opuściłem i którą pamiętam jako XX wiek ery człowieka, dlatego że – choć nie pragnąłem tego – jestem nieśmiertelny.

Rozdział 1 **WEZWANIE POPRZEZ CZAS**

Pomiędzy jawą a snem większość z nas odczuwa złudzenie słyszenia głosów, urywków rozmowy, zdań wypowiedzianych niezwyklej tonem. Czasami próbujemy skupić się, aby usłyszeć więcej, lecz rzadko nam się to udaje. Takie złudzenia nazywają się hypnagogami. Są one początkami marzeń sennych, które będziemy przeżywać, gdy zaśniemy.

Kobieta. Dziecko. Miasto. Jakieś poruszenie. Nazwisko: John Daker. Uczucie frustracji.

Potrzeba osiągnięcia pełni. Kocham ich. Wiem, że ich kocham.

Była zima. Leżałem smutny w zimnym łóżku i gapiłem się przez okno na księżyc. Nie pamiętam, o czym myślałem, zapewne o śmierci lub o marności ludzkiego losu. W takich momentach, pomiędzy jawą a snem, zaczynałem każdej nocy słyszeć głosy. Początkowo nie zwracałem na nie uwagi starając się zasnąć, lecz pojawiły się na nowo, aż w końcu zacząłem się im przysłuchiwać, mając nadzieję otrzymać wiadomość od swojej podświadomości, jednakże głosy powtarzały słowo, które wydawało mi się bezsensowne:

Erekose... Erekose... Erekose... Nie potrafiłem rozpoznać języka, choć wydawał mi się dziwnie znajomy. Najbardziej przypominał język Siuksów, z którego, jednak znałem tylko kilka słów. Erekose...Erekose... Erekose...

Każdej nocy powtarzałem próby skupienia się na głosach. Stopniowo zacząłem odczuwać coraz silniejsze halucynacje, aż którejś nocy poczułem, że wyrwałem się ze swojego ciała na wolność. Nie wiedziałem czy zawsze przebywałem zamieszony w otchłani, czy byłem żywy, czy martwy, czy świat, który pamiętałem, leżał w dalekiej przeszłości, czy w odległej przyszłości? Był że to inny świat, który wydawał się bliższy?

Jak się nazywałem? Byłem Johnem Dakerem czy Erekosem, a może jeszcze kimś innym?

Pamiętałem wiele imion: Corom Bannan Flurrun, Aubec, Elric, Rackhir, Simon, Cornelius, Asquinol, Hawkmoon – setki imion kłębiło się w mojej pamięci. Byłem bezcielesny, zawieszony w ciemności. Usłyszałem głos mężczyzny.

Starałem się zobaczyć, gdzie on się znajduje, ale nie miałem oczu.

– Erekose, gdzie jesteś?

Inny głos: – Ojczy, to tylko legenda!

– Nie Iolindo, wiem, że on nas słyszy. Erekose!

Starałem się im odpowiedzieć, ale nie miałem języka. Wszystko wokół mnie wirowało jak we śnie. Widziałem dom w wielkim, cudownym mieście, olbrzymim, brudnym, cudownym

2

mieście pełnym ciemnych pojazdów, z których niektóre wiozły pasażerów. Były w nim piękne budynki pokryte warstwą kurzu i inne nowsze, nie tak piękne, prostokątne z licznymi oknami. Panował tam nieustający hałas.

Widziałem oddział jeźdźców w błyszczących, złotych zbrojach, galopujących przez pofałdowaną krainę. Chorągiewki powiewały na ich okrwawionych kopiach.

Twarze mieli ciężkie ze zmęczenia. Widziałem wiele różnych twarzy; niektóre z nich na wpół rozpoznawałem, inne były mi całkowicie obce. Wiele postaci nosiło osobliwe stroje.

Widziałem białowłosego mężczyznę w średnim wieku. Miał na głowie wysoką, kolczastą

koronę z żelaza, ozdobioną diamentami. Jego usta poruszały się. Mówił:

– Erekose, to ja, król Rigenos, obrońca ludzkości. Potrzebujemy cię znowu. Psy Zła rządzą już trzecią częścią świata. Ludzkość jest zmęczona wojną z nimi. Przybywaj do nas, Erekose! Prowadź nas do zwycięstwa! Ustanowili swoje ohydne rządy od Płaskowyżu Topniejącego Lodu aż do Gór Smutku. Obawiam się, że zajmą dalsze nasze terytoria. Przybywaj do nas Erekose, prowadź nas do zwycięstwa! Przybywaj do nas Erekose, prowadź nas...

Głos kobiety: – Ojczy, to tylko pusty grobowiec. Nawet mumia Erekosego dawno obróciła się w pył. Wracajmy do Necranalu poprowadzić do boju żywych żołnierzy.

Czułem się jak mdlejący człowiek, który stara się zachować przytomność, ale mimo wszelkich wysiłków nie może zapanować nad swym mózgiem. Bezskutecznie próbowałem im coś odpowiedzieć. Czułem się tak, jakbym opadał w tył czasu, podczas gdy każdy atom mojego ciała pragnął poruszać się naprzód. Miałem wrażenie, jakbym był olbrzymem z kamienia, o granitowych powiekach mierzących całe mile, powiekach, których nie mogłem podnieść. I nagle poczułem się maleńki, jak najmniejszy pyłek we wszechświecie, związany z jego całością znacznie bardziej, niż kamienny olbrzym. Wspomnienia zmieniały się jak w kalejdoskopie. Cała panorama XX wieku, jego odkrycia i oszustwa, jego piękno i gorycz, szczęście i walka, złudzenia i przesady, którym nadawano miano nauki, wdarły się w mój umysł jak powietrze w próżnię.

Trwało to tylko moment, gdyż w następnej chwili znalazłem się w innym miejscu, w świecie, który był ziemią zupełnie inną niż znana Johnowi Dakerowi, lecz także nieco inną, niż ta, którą znał Erekose. Były tam trzy wielkie kontynenty, dwa położone blisko siebie, oddzielone od trzeciego przez wielkie morze z licznymi wyspami. Widziałem zmniejszający się od wieków lodowy ocean – Płaskowyż Topniejącego Lodu. Trzeci kontynent posiadał

bogata roślinność. Były tam olbrzymie lasy i błękitne jeziora. Na jego północnych brzegach wznosił się wielki łańcuch górski – Góry Smutku. To było królestwo Eldrenów, których król Rigenos nazywał Psami Zła.

Zachodni kontynent – Zavara – kraj pszenicy, miał wiele miast wzniesionych z wielobarwnego kamienia. Były to: Staleco, Calodemia, Mooros, Ninadoon i Dratarda.

Znajdowały się tam także wielkie porty – Shilaal, Wedmah, Sinana, Tarkar i Noonos z jej wieżami ozdobionymi szlachetnymi kamieniami. Na koniec ujrzałem warowne miasta kontynentu Necralala, na czele ze stolicą Necranalem, zbudowaną wokół góry, na której szczycie wznosił się pałac królów – wojowników. Przypomniałem sobie głos, który z głębi mojej świadomości wołał: Erekose.. Erekose.. Erekose. Królowie – wojownicy Necranalu po

3

raz drugi już, po długich wojnach, zjednoczyli ludzkość. Ostatnim z nich był starzejący się Rigenos. Jedyłą nadzieją podtrzymania dynastii była jego córka Iolinda. Król był stary i zmęczony nienawiścią. Nienawidził nieludzkich istot, które nazywał Psami Zła – odwiecznych wrogów Ludzkości, dzikich i bezwzględnych. Mówiono, że byli spokrewnieni z ludźmi, jako potomstwo starożytnej królowej i złego boga Azmobaany, dla którego pozostawali nieśmiertelnymi, pozbawionymi duszy, niewolnikami. Król wezwał Johna Dakera, którego nazywał Erekosem, do walki z nimi.

– Erekose, błagam cię, odpowiedz mi, czy możesz przybyć? – Głos króla był donośny i odbijał się echem. Gdy po znacznym wysiłku udało mi się odpowiedzieć, moim słowom również towarzyszył pogłos.

– Pragnę przybyć, – odpowiedziałem – lecz wydaje się, że jestem uwięziony.

– Uwięziony? – W jego głosie słychać było konsternację. – Czyżbyś był więźniem straszliwych sług Azmobaany, czy pozostajesz w świecie Duchów?

– Być może, – odpowiedziałem – ale sądzę, że to czas i przestrzeń więżą mnie. Jestem oddzielony od was niezmierną przepaścią.

– Jak możemy sprowadzić, cię do nas ponad tą przepaścią?

– Połączone wysiłki całej Ludzkości mogą spełnić to zadanie.

– Nie przestajemy się modlić o twe przybycie.

– Próbujcie dalej – odpowiedziałem.

Czułem, że znowu oddalam się od nich. W moich wspomnieniach pojawiały się śmiech, smutek i duma. Nagle ujrzałem twarze, jakby wszyscy ludzie, których znałem przez tysiąclecia, przesuwali się przede mną. Spośród tłumu wyłoniła się jedna twarz – twarz niezwykle pięknej kobiety o włosach jasnych, upiętych pod diademem ze szlachetnych kamieni, rozświetlającym słodycz jej rysów.

Iolinda – pomyślałem. Widziałem ją teraz dokładnie, przytuloną do ramienia króla – wysokiego, chudego mężczyzny z żelazną koroną na głowie. Stali przed pustym podium z kwarcu i złota, gdzie spoczywał pokryty kurzem miecz, do którego nie śmieli się zbliżyć, ze względu na jego śmiertelne promieniowanie. Był to grobowiec Erekosego. Mój grobowiec.

Zbliżyłem się do podium i zawisnąłem na nim. Przed wiekami moje ciało zostało tu pochowane. Patrzyłem na miecz, który nie był dla mnie niebezpieczny, lecz nie mogłem ująć go w dłoń. Tylko mój duch znajdował się w tym ponurym miejscu, ale już cały duch a nie tylko jego cząstka, która zamieszkiwała grobowiec od tysiącleci. Ta właśnie cząstka usłyszała głos króla, wezwała do siebie Johna Dakera i zjednoczyła się z nim.

– Erekose – zawołał król, wyżejając swe oczy w ciemności, jakby mnie dostrzegał – Erekose, wzywamy cię.

Nagle odczułem straszliwy ból, podobny zapewne do odczuwanego przez rodzającą kobietę.

Krzyczałem, wijąc się z bólu. Wiedziałem, że moje cierpienie jest celowe, że prowadzi do narodzin. Mój krzyk prowadził do zwycięstwa, był krzykiem radości. Stawałem się coraz cięższy oddychałem z trudem, wyciągając ramiona by zachować równowagę. Miałem ciało, mięśnie i krew, wypełniała mnie siła. Zaczerpnąłem głęboko oddechu i dotknąłem ciała, wysokiego i silnego.

4

Spojrzałem na króla i Iolindę. Stałem przed nimi w swym własnym ciele: byłem ich bogiem, który powrócił.

– Oto jestem – powiedziałem – świat, który zostawiłem nie był wiele wart, ale spraw, żebym nie żałował zamiany.

– Nie będziesz żałował – odpowiedział król, uśmiechając się w rozbawieniu.

Spojrzałem na Iolindę, która skromnie opuściła oczy, by po chwili jakby mimowolnie, spojrzeć na mnie. Odwróciłem się w stronę podium.

– Mój miecz – powiedziałem ujmując go w dłoń. Król Rigenos westchnął z ulgą.

– Nic już ich teraz nie uratuje – powiedział.

Rozdział 2 **PRZYBYWA WÓDZ**

Król Rigenos udał się po pochwę do mojego miecza, którą wykonano przed kilkoma dniami, zostawiając mnie sam na sam ze swoją córką.

Skoro już znalazłem się w tym świecie, nie zamierzałem zastanawiać się, jak to się stało.

Również Iolinda najwyraźniej nie stawiała sobie podobnych pytań.

Byłem tu, tak musiało być. Patrzyliśmy na siebie w milczeniu dopóki król nie powrócił.

– To ochroni nas przed trucizną zawartą w twoim mieczu – powiedział wręczając mi futerał. Zawahałem się przez chwilę, zanim wziąłem go z jego rąk.

Król w zadumie skrzyżował ręce napierał. Ująłem futerał w obie dłonie. Był matowy, jak

stare szkło: metal był mi nieznany, to jest raczej nieznany Johnowi Dakerowi. Wydawał się lekki, giętki i mocny. Podniosłem miecz, aby go obejrzeć: uchwyt, przewiązany złotą nicią, drżał delikatnie pod moim dotknięciem. Miał kulistą głowicę z pasiastego onyksu. Również jelec wykonany był z podobnego materiału. Długie, proste ostrze nie błyszczało jak stal: w kolorze przypominało raczej ołów. Miecz był wspaniale wyważony. Zamachnąłem się nim w powietrzu, śmiejąc się głośno. Wydawało mi się, że miecz śmieje się ze mną.

– Schowaj go, Erekose – krzyknął król – Jego promieniowanie jest śmiertelne dla wszystkich, prócz ciebie.

Nie miałem ochoty odkładać miecza. Jego dotyk obudził we mnie niejasne wspomnienia.

– Erekose, błagam cię – głos Iolindy przyłączył się do wołania ojca – schowaj miecz.

Niechętnie wsunąłem miecz do pochwy. Dlaczego tylko ja mogłem go nosić bez narażania się na skutki promieniowania? Czy dlatego, że po przeniesieniu się do tej odległej epoki, mój organizm zmienił się, czy też zmarły Erekose i nie narodzony jeszcze John Daker (a może było na odwrót) przystosowali swój metabolizm do energii płynącej z miecza? Wzruszyłem ramionami. To nie miało znaczenia, liczył się sam fakt. Było mi wszystko jedno, tak jakby mój los nie leżał w moich rękach, jakbym stał się narzędziem. Gdybym wiedział, do jakich celów ma być ono użyte, mógłbym się przeciwstawić i pozostać nieszkodliwym intelektualistą Johnem Dakerem. Lecz siła, która mnie tu sprowadziła, była zbyt potężna by z nią skutecznie walczyć. W każdym razie byłem zdecydowany uczynić to, czego los ode mnie żądał. Stałem w grobowcu Erekosego, gdzie się zmaterializowałem, radując się siłą swoją i swego miecza. Wkrótce wszystko miało się zmienić.

Dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że jestem nagi.

5

– Potrzebuję ubrania – powiedziałem – a także zbroi i konia..

– Ubranie jest gotowe – odrzekł król. Klasnął w dłonie. Wkroczyli niewolnicy. Jeden niósł togę, drugi płaszcz, następny biały materiał, który miał służyć jako bielizna: Owinięto mnie materiałem wokół lędźwi i założono togę. Była luźna i przyjemna w dotyku, koloru ciemnoniebieskiego, ze skomplikowanymi wzorami wyszytymi złotą, srebrną i czerwoną nicią. Płaszcz był czerwony ze złotymi, srebrnymi i niebieskimi wzorami. Dostałem miękkie, skórzane buty i szeroki pas z żelazną klamrą, ozdobioną rubinami i szafirami.

Przypiąłem pochwę do pasa, kładąc lewą dłoń na rękojeści miecza.

– W porządku – powiedziałem.

– Chodźmy stąd – wzdrygnęła się Iolinda – To ponure miejsce.

Opuściłem swój grobowiec rzucając pożegnalne spojrzenie na postument wciąż pokryty warstwą kurzu. Wyszedłem na światło dzienne. Król i księżniczka Necranalu towarzyszyli mi. Było ciepło, wiał lekki wiatr.

Staliśmy na niewysokim wzgórku. Grobowiec zbudowany był z czarnego kwarcu, zniszczony przez wieki, naznaczony przez liczne burze i wiatry. Na jego dachu stała zardzewiała statua wojownika siedzącego na olbrzymim wierzchowcu. Twarz była wygładzona przez deszcz i wiatr, ale poznałem ją. To była moja twarz.

Spojrzałem w dół, gdzie czekała na nas karawana. Ujrzałem pięknie przystrojone konie oraz wojowników w złotych zbrojach, takich samych, jakie widziałem we śnie. Ci jednak wyglądali na wypoczętych. Zbroje były pięknie zdobione różnorodnymi wzorami, ale zupełnie nieprzydatne do walki, sądząc z tego, co czytałem o zbrojach jako John Daker i co niejasno przypomiąłem sobie jako Erekose. Wyżłobione ozdoby działały jak pułapka, ściągając na siebie ciosy miecza lub włóczni, podczas gdy zbroja powinna być wykonana tak, aby odbijać uderzenie. Te pancerze, jakkolwiek piękne, były raczej dodatkowym niebezpieczeństwem niż ochroną. Strażnicy dosiadali koni. Na nas oczekiwały zwierzęta

przypominające wielbłądy, którym odebrano całą charakterystyczną dla ich gatunku brzydotę.

Były piękne. Na grzbietach miały kabiny z hebanu, kości słoniowej i macicy perłowej, zaopatrzone w jedwabne zasłony.

Gdy schodziliśmy z pagórka, zauważyłem, że wciąż mam na palcu obrączkę Johna Dakera. Była to srebrna obrączka, którą dała mi moja żona. Moja żona... Nie mogłem sobie przypomnieć jej twarzy... Zdawało mi się, że obrączka powinna pozostać przy moim poprzednim ciecie, ale być może nie było poprzedniego ciała. Strażnicy stanęli na baczność, gdy zbliżyliśmy się do kłęczących zwierząt. Patrzyli na mnie z nieukrywaną ciekawością.

– Zechciej zająć swoją kabinę – powiedział król Rigenos, wskazując jedno ze zwierząt.

Sprawiał wrażenie jakby się mnie nieco obawiał, mimo że to on mnie tu wezwał.

– Dziękuję – odpowiedziałem.

Wdrapałem się po małej, jedwabnej drabinie do wnętrza kabiny, która była wyściełana poduszkami w różnych kolorach. Wielbłądy uniosły się na nogach.

Ruszyliśmy naprzód poprzez wąską dolinę o brzegach porośniętych drzewami, których nazwy nie znałem. Przypominały one araukarie, lecz miały więcej gałęzi i dłuższe igły.

Położyłem sobie miecz na kolanach, by mu się przyjrzeć. To był zwykły, żołnierski miecz bez żadnych znaków na klindze.

6

Rękojeść pasowała doskonale do mojej prawej dłoni. To był dobry miecz. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego był trujący dla innych ludzi. Przypuszczalnie był śmiertelny także dla Eldrenów, których król Rigenos nazywał psami zła.

Jechaliśmy przez cały dzień. Drzemałem na poduszkach, czując się dziwnie znużony.

Nagle usłyszałem krzyk, rozchyliłem więc zasłony w swojej kabinie, aby wyrzucić na zewnątrz. Zbliżaliśmy się do Necranalu, miasta, które widziałem we snach. Cała góra, na

której miasto zostało zbudowane, była pokryta budynkami o wspaniałej architekturze.

Minarety, kopuły i wieże lśniły w słońcu. Nad nimi wznosił się olbrzymi pałac królów-wojowników – imponująca budowla o wielu wieżach. Pamiętałem jego nazwę: Pałac Dziesięciu Tysięcy Okien. Król wyjrzał ze swojej kabiny i krzyknął:

– Katornie, pojedź naprzód, powiedz ludziom, że przybył Ereko – wódz, który wypędzi wroga z powrotem do Gór Smutku.

– Tak jest, panie – odpowiedział Katorn, osobnik o ponurej twarzy, dowódca straży królewskiej.

Dźgnął konia ostrogami i ruszył naprzód po białej drodze, która prowadziła teraz w dół. Była widoczna na przestrzeni wielu mil w kierunku Necranalu.

Obserwowałem jeźdźca przez chwilę, ale znudzony skierowałem wzrok w dal, aby przyjrzeć się miastu. Londyn, Nowy Jork czy. Tokio zajmowały zapewne nieco większy obszar, tym niemniej Necranal rozciągał się na przestrzeni wielu mil wokół podstawy góry. Miasto otaczał wysoki mur z licznymi wieżyczkami. Po niedługim czasie przybyliśmy do Bramy Głównej Necranalu, gdzie nasza karawana zatrzymała się. Dał się słyszeć dźwięk jakiegoś instrumentu i powoli otwarto wrota. Ujechaliśmy na ulicę wypełnioną tłumem, który wiwatował na moją cześć tak głośno, że musiałem niekiedy zatykać sobie uszy, by nie popękały mi bębenki.

Rozdział 3 **CIEŃ ELDRENÓW**

Karawana powoli wspinała się ku górze w stronę Pałacu Dziesięciu Tysięcy Okien, zastawiając wiwatujących ludzi za sobą. Zapanowała cisza. Słyszałem tylko skrzypienie mojego siedzenia, dzwonki uprzęży i stukot końskich kopyt.

Poczułem się nieswojo. Było coś niezdrowego w nastroju panującym w mieście, coś trudnego do wytłumaczenia. Oczywiście ludzie mogli obawiać się ataku nieprzyjaciela czy

też czuć się zmęczeni wojnę. Jednakże miałem wrażenie, że ich zachowanie jest chorobliwe, jakby przechodzili nagle od histerycznego podniecenia do głębokiej depresji. Podobne reakcje widziałem tylko raz w życiu – podczas odwiedzin w szpitalu psychiatrycznym, ale – powiedziałem sobie – być może przenoszę tylko swój własny nastrój na otoczenie. Bądź co bądź, znajdowałem się w typowo schizofrenicznym położeniu. Człowiek, o co najmniej dwu osobowościach, w dodatku uważany za potencjalnego zbawcę Ludzkości.

Przez chwilę pomyślałem, że być może zwariowałem i wszystko wokół mnie to jedna wielka iluzja. Możliwe, że znajdowałem się w tym samym domu wariatów, który kiedyś odwiedzałem. Dotknąłem zasłon i swojego miecza, spojrzałem w dół na olbrzymie miasto,

7

które rozpościerało się przede mną. Podniosłem wzrok na gmach Pałacu Dziesięciu Tysięcy Okien, poprzez jego zarysy pragnąc ujrzeć ściany pokoju szpitalnego lub choćby znajome ściany własnego mieszkania, lecz Pałac pozostał realny.

Otoczająca mnie rzeczywistość w niczym nie przypominała złudzenia. Opadłem z powrotem na poduszki siedzenia. Musiałem przyjąć, że wszystko wokół mnie było prawdziwe, że istotnie zostałem przeniesiony poprzez czas i przestrzeń na tę ziemię, o której nie było żadnej wzmianki w czytanych przeze mnie historycznych książkach (a czytałem ich wiele), ziemi, która pozostawiła ślady tylko w mitach i legendach. Nie byłem już Johnem Dakerem, byłem Erekosem, nieśmiertelnym wojownikiem, żywą legendą.

Roześmiałem się, jeśli byłem szalony, to było to wspaniałe szaleństwo. Nigdy bym nie przypuszczał, że potrafię wymyślić coś podobnego.

Na koniec nasza karawana dotarła na szczyt góry. Ozdobione klejnotami bramy pałacu otworzyły się i wjechaliśmy na dziedziniec gęsto obsadzony drzewami.

Tryskały tam liczne fontanny, tworzące strumyki spływające pod ozdobnymi mostami.

Wokół słyhać było śpiew ptaków. Przybyli paziowie, którzy pomogli nam wysiąść. Król uśmiechnął się, z dumą wskazując wokół.

– Podoba ci się tu, Erekoze? Zbudowałem to wszystko sam, wkrótce po koronacji.

Przedtem dziedziniec był ponurym miejscem i nie pasował do reszty Pałacu.

– Bardzo tu pięknie – odpowiedziałem – Nie jest to jedyna piękna rzecz, jaką stworzyłeś – powiedziałem, wskazując na Iolindę, która właśnie zbliżyła się do nas.

– Oto najpiękniejsza ozdoba twojego pałacu, królu.

Rigenos zachichotał.

– Widzę, że jesteś równie uprzejmy, jak dzielny. – Objął nas oboje i poprowadził przez dziedziniec.

– Oczywiście nie mam teraz czasu, by zajmować się tworzeniem piękna.

Teraz potrzebna nam jest broń. Zamiast planować ogrody, muszę planować bitwy – westchnął:

– Być może będziesz potrafił zniszczyć Eldrenów raz na zawsze. Wtedy będziemy mogli znów radować się życiem w pokoju.

Było mi go żal. Pragnął tylko tego, czego pragnie każdy człowiek: wolności od strachu, szansy wychowania własnych dzieci w pokoju, możliwości planowania przyszłości bez obawy, że wszystkie plany zostaną zniweczone przez nieoczekiwany akt przemocy. Mimo wszystko, jego świat nie różnił się zanadto od tego, który opuściłem. Położyłem rękę na jego ramieniu.

– Miejmy nadzieję, że tak będzie – powiedziałem. – Zrobię, co będę mógł.

Król zakasłał.

– To będzie wielka sprawa, Erekoze. Niedługo uwolnimy się od eldreńskiego zagrożenia.

Weszliśmy do chłodnej sali ozdobionej gobelinami rozwieszonymi na ścianach. Mimo

wielkich rozmiarów wywierała ona przyjemne wrażenie.

Na szerokich schodach prowadzących z sali cała armia niewolników, sług i innych członków świty przyklęknęła, aby powitać króla.

– Oto Ereko – przedstawił mnie król – wielki wojownik i mój honorowy gość.

8

Traktujcie go tak, jak... traktujecie mnie. Spełniajcie wszystkie jego rozkazy tak, jak spełniacie moje. Wszystkie jego życzenia mają być spełnione.

Ku mojemu zmieszaniu wszyscy padli na kolana powtarzając chórem

– Witaj Ereko.

Rozpostarłem ręce. Podnieśli się z kolan. Ich zachowanie przestało mnie dziwić.

Niewątpliwie jakaś część mojej osoby była do tego przyzwyczajona.

– Nie będę dziś męczył cię ceremoniami – powiedział Rigenos.

– Jeśli chcesz możesz odpocząć w pokojach, które przygotowaliśmy dla ciebie.

Odwiedzimy cię później.

– Zgoda – odpowiedziałem. Odwróciłem się w stronę Iolindy wyciągając do niej rękę. Po chwili wahania odwzajemniła mój gest. Pocałowałem ją w rękę.

– Mam nadzieję, że wkrótce znów się zobaczymy – szepnąłem spoglądając głęboko w jej piękne oczy. Cofnęła swoją dłoń odwracając wzrok.

Udałem się w towarzystwie sług do swoich apartamentów. Dwadzieścia wielkich pokoi zostało przeznaczonych do mojego użytku. Były wśród nich pomieszczenia dla około dziesięciu osobistych służących. Moje pokoje były umeblowane z luksusem, o którym ludzie dwudziestego wieku zapomnieli już dawno. Ich przepych wywierał nieodparte wrażenie. Nie mogłem zrobić kroku, aby zaraz nie pojawił się sługa pragnąc zabrać moją kurtkę, podać mi szklankę wody lub uporządkować poduszki na kanapie. Czułem się nieswojo. Odczułem ulgę,

gdy udało mi się znaleźć skromniej urządzone pokoje. Były one ozdobione bronią, pozbawione futer i jedwabi, za to z twardymi ławami, pełne stalowych mieczy i buzdyganów, lanc okutych mosiądzem i strzał ostrych jak brzytwa. Spędziłem tam nieco czasu, po czym udałem się na posiłek. Moi służący przynieśli jedzenie i wino, które pochłonałem z wielkim apetytem. Kiedy skończyłem posiłek poczułem się, jakbym obudził się wypoczęty po długim śnie.

Udałem się na dalsze zwiedzanie pomieszczeń, zwracając więcej uwagi na broń niż na meble, które, zachwyciłyby nawet najbardziej wymagającego sybarytę. Wyszedłem na jeden z kilkunastu balkonów. Słońce zachodziło nad Necranalem. Cienie zaczynały kłaść się na ulicach. Niebo pełne było przymgłonych odcieni. Purpura i czerwień, żółć i błękit odbijały się w kopułach i wieżach Necranalu, tak, że miasto wydawało się być namalowane pastelowymi farbami. Cienie się pogłębiały. Promienie słońca błysnęły szkarłatem na najwyższych kopułach i zapadła noc. Na odległych nurach Necranalu zapłonęły ognie – żółte i czerwone płomienie bijące w ciemność – umieszczone w kilkumetrowych odstępach. Oświetlały one większą część miasta wewnątrz murów. W oknach zapalono lampy. Słychać było głosy nocnych ptaków i owadów. Obejrzałem się za siebie i ujrzałem, że moi służący również zapalili lampy. Zrobiło się zimno, jednakże postanowiłem pozostać jeszcze na balkonie, aby zastanowić się nad moją sytuacją i odgadnąć naturę niebezpieczeństwa, które zagraża ludzkości.

Nagle usłyszałem za sobą jakiś dźwięk. Obejrzałem się i zobaczyłem, że przyszedł król Rigenos. Wraz z nim przybył ponury Katorn – dowódca straży królewskiej. Zamiast hełmu miał teraz na głowie platynową obręcz, a zamiast napierśnika skórzany kaftan wyszywany

złotymi nićmi. W tym stroju wyglądał równie posępnie, jak w zbroi. Król Rigenos ubrany był

w białe futro. Wciąż miał na głowie swoją koronę. Obaj przystanęli wraz ze mną na balkonie.

– Myślę, że już wypocząłeś, Erekose – zapytał nerwowo król, jakby obawiał się, że mogę ponownie rozpląnąć się w powietrzu pod jego nieobecność.

– Dziękuję – czuję się świetnie.

– To dobrze. – Zawahał się.

– Nie mamy czasu – przypomniał Katorn.

– Tak Katornie, oczywiście – król spojrzał na mnie jakby spodziewał: się, że wiem już, co chce mi powiedzieć. Niestety nie wiedziałem. Wpatrywałem się w niego czekając, aż się odezwie.

– Wybacz nam, Erekose – powiedział Katorn – że przejdziemy od razu do spraw ludzkich królestw. Król przedstawi ci naszą sytuację i powie, czego od ciebie oczekujemy.

– Słucham – odpowiedziałem. Pomyślałem, że nareszcie dowiem się jaka jest sytuacja.

– Mamy mapy – powiedział król – Katornie, gdzie są mapy?

– W pokoju, panie.

– Chodźmy tam.

Przeszliśmy przez dwie komnaty zanim dotarliśmy do głównego pokoju, gdzie stał wielki dębowy stół. Stali tam słudzy królewscy z wielkimi zwojami pergaminu pod pachami.. Katorn wybrał kilka zwojów i rozwinął je na stole jeden obok drugiego. Z jednej strony przycisnął je swoim ciężkim sztyletem, a z drugiej metalową wazą ozdobioną drogimi kamieniami.

Spojrzałem na mapy z zaciekawieniem. Poznałem je. Widziałem już coś podobnego w swoich snach zanim zostałem wezwany tutaj przez zaklęcia króla Rigenosa. Król pochylił się nad mapą wodząc swym długim, białym palcem po terytoriach, o których mówił.

– Jak już ci mówiłem w twoim... – urwał – w twoim grobowcu, Erekose, Eldrenowie panują już nad całym południowym kontynentem. Nazywają go Mernadin.

– O tutaj – przesunął palcem wzdłuż linii brzegowej. – Pięć lat temu odbili jedyny przyczółek, jaki mieliśmy w Mernadinie. Tutaj – wskazał – ich starożytny port Paphanaal.

Nie napotkali wielkie go oporu.

– Wasze wojska uciekły?

– Przyznaję, że popadliśmy w samozadowolenie – wtrącił Katorn – zaskoczyli nas, gdy nagle pojawili się z Gór Smutku. Musieli przygotowywać swoją przeklętą armię od lat, a my nic o tym nie wiedzieliśmy. Nie można od nas wymagać, żebyśmy znali ich plany. Oni posługują się czarami, a my nie.

– Przypuszczam, że zdążyliście wyewakuować wasze kolonie? – przerwałem mu.

Wzruszył ramionami. – Ewakuacja prawie nie była potrzebna. Mernadin był niemal zupełnie niezamieszkały. – Ludzi nie chcą żyć w kraju, który został splugawiony obecnością Psów Zła. Ten kontynent jest przeklęty. Tylko piekielne bestie mogą tam mieszkać.

Podrapałem się w brodę.

– Po co więc wypędziliście uprzednio Eldrenów w góry skoro nie potrzebowaliście ich ziemi? – zapytałem niewinnie.

– Dlatego, że jak długo panowali nad Mernadinem byli nieustającą groźbą dla Ludzkości.

– Rozumiem – skinąłem prawą dłonią – przepraszam, że ci przerwałem.

10

– Nieustającą groźbą – powtórzył Katorn.

– Ta groźba jest znowu aktualna – wtrącił król stłumionym, drżącym głosem.

Jego oczy napełniły się strachem i nienawiścią. – Oczekujemy, że w każdej chwili mogą zaatakować nasze dwa kontynenty – Zavarę i Necralalę.

– Czy wiecie, na kiedy planują inwazję – zapytałem – Ile czasu mamy na przygotowanie się?

– Zaatakują – zgodził się król Rigenos – zniszczyliby nas już dawno gdybyśmy nie prowadzili z nimi nieustannej wojny.

– Musimy ich powstrzymać – dodał Katorn – zaleją nas, jeśli zdobędą choć jeden przyczółek.

Król westchnął. – Ludzkość jest zmęczona wojną. Potrzebujemy nowych żołnierzy do walki z Eldrenami lub nowego wodza, który tchnąłby nadzieję w tych żołnierzy, których mamy. Najlepiej jednego i drugiego.

– Nie możecie powołać nowych żołnierzy? – zapytałem.

Katorn wydał z siebie krótki, gardłowy dźwięk, który miał być śmiechem.

– Niemożliwe. Cała Ludzkość walczy przeciwko Eldrenom.

Król skinął głową. – W tej sytuacji wezwałem cię Erekose, chociaż wydawało ni się, że zachowuję się jak zrozpaczony głupiec, który bierze złudzenia za rzeczywistość.

Katorn odwrócił się. Wydało mi się, że to on głosił pogląd, iż król zwariował. Moja materializacja obaliła jego teorię, o co miał do mnie pretensję. Osobiście nie czułem się odpowiedzialny za decyzje króla. Rigenos wyprostował się.

– Wezwałem cię, abyś dotrzymał swojej przysięgi.

– Jakiej przysięgi? – zapytałem zaskoczony. Nic nie wiedziałem o żadnej przysiędze.

– Jak to? – zdziwił się król – poprzysiągłeś przecież, że jeżeli Eldrenowie opanują ponownie Mernadin powrócisz, aby rozstrzygnąć walkę pomiędzy nimi a ludzkością.

– Rozumiem – skinąłem na sługę, aby podał mi kielich wina, wypilem go i spojrzałem na mapę. Z punktu widzenia Johna Dakera była to bezsensowna wojna między dwoma ślepo nienawidzącymi się narodami, które prowadziły przeciwko sobie niekończącą się rasową krucjatę. Jednakże było jasne po czyjej stronie byłem. Należałem do ludzkiego gatunku i byłem gotów bronić go ze wszystkich sił. Ludzkość musiała być uratowana.

– A co mówią Eldrenowie – spojrzałem na króla.

– Jak to – warknął Katorn – co oni mówią. Czy nie wierzysz naszemu królowi?

– Nie podważam prawdziwości waszych słów – odpowiedziałem – chcę po prostu wiedzieć, w jaki sposób Eldrenowie usprawiedliwiają swoją wojnę przeciwko nam. Byłoby dobrze, gdybym wiedział, jakie są ich cele.

Katorn wzruszył ramionami – Chcą nas zniszczyć. Czy to nie wystarczy?

– Nie – odpowiedziałem – z pewnością braliście jeńców. Co wam powiedzieli? Co mówią im ich przywódcy?

Król Rigenos uśmiechnął się z wyższością. – Widzę, że wiele zapomniałeś, Erekose.

Zupełnie nie pamiętasz Eldrenów. Oni nie są ludźmi. Są sprytni. Są zimni. Potrafią uspić czujność człowieka swoimi oszukańczymi przemowami, a następnie wyrwać mu serce z piersi gołymi zębami. Trzeba przyznać, że są odważni. Torturowani umierają, ale nie

11

zdradzają swoich planów. Są przebiegli, chcą, żebyśmy uwierzyli w ich gadanie o pokoju, wzajemnej pomocy i zaufaniu w nadziei, że zaniedbamy naszą obronę, tak że będą mogli nas zniszczyć albo zmusić nas do spojrzenia im prosto w twarz, żeby mogli rzucić na nas urok.

Nie bądź naiwny, Erekose. Nie próbuj postępować z Eldrenami tak, jak z ludźmi, w przeciwnym razie zginiesz. Oni nie mają duszy – tak jak my ją rozumiemy. Nie znają miłości, tylko zimne posłuszeństwo swojemu panu Azmobaanie.

– Uwierz mi Erekose – Eldrenowie to demony. To diabły, którym Azmobaana bluźnierczo nadał kształt podobny do ludzkiego. Nie daj się zwieść zewnętrznym pozorom. To co jest w środku Eldrena, jest nieludzkie. Tym naprawdę różnią się od nas.

Katorn skrzywił się.

– Nie można ufać Eldrenom. Są podstępni, niemoralni i źli. Nie zaznamy pokoju, dopóki

cały ich gatunek nie zostanie zniszczony. Całkowicie zniszczony, tak żeby ani jeden kawałek ich ciała, ani jedna kropla ich krwi, ani jeden odłamek ich kości, ani jedno pasmo ich włosów nie ocalało, aby kalać Ziemię. Mówię dosłownie, gdyż nie można wykluczyć, że jeżeli ocaleje choć kawałek palca Eldrena, Azmobaana będzie zdolny stworzyć swoje sługi na nowo, aby nas zaatakować. Ten diabelski pomiot musi być wypalony do szczytu – każdy mężczyzna, kobieta i dziecko. Wypalić i rozsypać popiół na wietrze – oto nasze zadanie, Ereko. To zadanie całej Ludzkości. Będzie nam towarzyszyło błogosławieństwo Dobrego Boga.

Nagle usłyszałem głos Iolindy.

– Musisz poprowadzić nas do zwycięstwa Ereko – powiedziała otwarcie – Katorn powiedział prawdę. Być może przemawiał zbyt gwałtownie, ale fakty pozostają faktami.

Musisz poprowadzić nas do zwycięstwa.

Spojrzałem jej w oczy. Odetchnąłem głęboko. Poczułem chłód na twarzy.

– Poprowadzę was – powiedziałem.

Rozdział 4 **IOLINDA**

Rano obudzili mnie moi służący przygotowujący mi śniadanie. Czy rzeczywiście oni?

Może to tylko moja żona wstała, aby obudzić syna, tak jak to robiła każdego ranka?

Otworzyłem oczy w nadziei, że ją zobaczę. Nie ujrzałem jednak swojej żony ani mieszkania Johna Dakera. Nie zobaczyłem też służących, lecz Iolindę, która uśmiechnęła się do mnie przygotowując mi śniadanie osobiście. Poczułem się winny, jakby w jakiś sposób zdradził swoją żonę. Po chwili zrozumiałem, że nie mam się czego wstydzić. Winne były niepojęte siły, które rzuciły mnie tutaj. Nie byłem już Johnem Dakerem. Byłem Ereko.

Musiałem trzymać się swojej nowej osobowości, człowiek o dwóch jaźniach jest chory.

Postanowiłem zapomnieć o Johnie Drakerze tak szybko, jak to będzie możliwe. Skoro byłem Ereko nie powinienem być nikim innym. Pod tym względem byłem fatalistą. Iolinda

podała mi tacę z owocami.

– Zjedz coś Erekose.

Wybrałem nieznan mi miękki owoc o czerwono-żółtej skórce. Iolinda podała mi mały nóż. Chciałem go obrać, ale ponieważ nie znałem go, nie wiedziałem, jak się do tego zabrać.

12

Wzięła go delikatnie ode mnie i zaczęła obierać siedząc na krawędzi łóżka. Cała jej uwaga skupiała się na owocu, który trzymała w ręce.

Gdy w końcu został obrany, podzieliła go na cztery części i położyła na talerzu, który wręczyła mi, wciąż unikając mojego spojrzenia. Uśmiechnęła się tajemniczo. Ugryzłem kawałek owocu. Miał bardzo odświeżający smak – słodki i ostry jednocześnie.

– Dziękuję – powiedziałem – jest bardzo smaczny. Nigdy jeszcze nie jadłem takiego owocu.

– Nigdy – zdziwiła się – przecież ecrexy to najpospolitsze owoce w Necralali.

– Zapominasz, że nigdy nie byłem w Necralali – zauważyłem. Przekrzywiła głowę i spojrzała na mnie marszcząc brwi. Odsunęła cieką niebieską chustkę, która pokrywała jej włosy i poprawiła swoją, również niebieską suknię.

Wydawała się naprawdę zdumiona.

– Nigdy – szepnęła

– Nigdy – zgodziłem się.

– Ale przecież – urwała – przecież ty jesteś Erekosem, wielkim bohaterem Ludzkości.

Znałeś Necranal w dniach jego największej chwały, kiedy byłeś Wodzem Naczelnym. Znałeś Ziemię w starożytności, kiedy uwolniłeś ją z okowów Eldrenów. Wiesz więcej o tym świecie, niż ja.

Wzruszyłem ramionami. – Przyznaję, że przypominam sobie coraz więcej, ale aż do

wczorajszego dnia moje nazwisko brzmiało John Daker, mieszkałem w mieście zupełnie niepodobnym do Necranalu i nie byłem wojownikiem ani niczym w tym rodzaju. Nie zaprzeczam, że Erekose to ja. Znam to imię i podoba mi się ono. Ale nie wiem, kim był Erekose. Wiem o nim tyle, co ty. Wiem, że był wielkim starożytnym bohaterem, który przed śmiercią przysiągł, że powróci, aby rozstrzygnąć spór pomiędzy Eldrenami a ludźmi, gdy zaistnieje taka potrzeba.

Został pochowany w dość ponurym grobowcu na wzgórzu, razem ze swym mieczem, który tylko on mógł nosić.

– Z mieczem Kanajana – szepnęła Iolinda.

– On ma nazwę?

– Tak – Kanajan. Myślę, że to więcej niż nazwa. Coś w rodzaju mistycznego opisu. Opisu jego właściwej natury mocy, którą posiada.

– Czy istnieją legendy, które tłumaczą dlaczego tylko ja mogę go dotknąć – zapytałem.

– Jest ich sporo – odpowiedziała.

– Która podoba ci się najbardziej – uśmiechnąłem się.

Pierwszy raz tego dnia spojrzała wprost na mnie. Powiedziała ściszym głosem – Ta, która mówi, że jesteś wybranym synem Dobrego Boga – Prawdziwego boga, że twój miecz jest mieczem bogów i że możesz go nosić, gdyż sam jesteś bogiem.

Roześmiałem się – Naprawdę w to wierzysz?

Spuściła wzrok. – Jeśli mi mówisz, że to nieprawda muszę ci wierzyć – odpowiedziała.

– Nie ukrywam, że czuję się bardzo dobrze, ale bogowie z pewnością czują się znacznie lepiej. Poza tym myślę, że gdybym był bogiem, wiedziałbym o tym.

boginie... Urwałem. Iolinda wyglądała na zmartwioną. Ująłem ją za rękę i powiedziałem cicho – Być może masz rację, że jestem bogiem. W każdym razie mam szczęście znać jedną boginię.

Odepchnęła moją rękę. – Żartujesz sobie ze mnie.

– Daję słowo, że nie.

Wstała. – Muszę wydawać się głupia takiemu wielkiemu bohaterowi, jak ty.

Przepraszam, że zawracałam ci głowę swoją gadaniną.

– Nie zawracałaś mi głowy – odpowiedziałem – przeciwnie bardzo mi pomogłaś.

Otworzyła usta. – Pomogłam ci?

– Tak. Wypełniłaś luki w mojej wiedzy. Wciąż nie pamiętam jak byłem Erekosem, lecz teraz przynajmniej wiem o nim tyle, co wszyscy tutaj. To wiele znaczy.

– Zapewne długi sen wymazał wspomnienia z twego umysłu.

– Być może – zgodziłem się – albo może raczej podczas tego snu nowe wspomnienia zajęły ich miejsce – nowe światy, nowe doświadczenia.

– Co masz na myśli?

– Mam wrażenie, że byłem nie tylko Johnem Dakerem i Erekosem, lecz także wieloma innymi ludźmi. Pamiętam inne imiona – dziwne imiona w nieznanym języku.

Mam niejasne odczucie – może głupie, że kiedy spałem jako Erekose mój duch przybierał inne kształty i imiona. Myślę, że ten duch nigdy nie śpi, wciąż musi pozostawać aktywny

Urwałem. Zapuściłem się głęboko w królestwo metafizyki, która nigdy nie była moją mocną stroną. Zawsze uważałem się za pragmatyka. Takie pomysły jak reinkarnacja

wydawały mi się bzdurą. Nadal nie zmieniłem zdania mimo dowodu, który miałem przed oczyma. Lecz Iolinda skłoniła mnie do prowadzenia dalej tych rozważań, choć uważałem je

za bezpłodną spekulację.

– Mów dalej, Ereko – powiedziała – proszę cię, mów dalej.

Zrobiłem to, choćby po to, żeby zatrzymać przy sobie tak piękną dziewczynę przez chwilę dłużej.

– Tak więc – rozpocząłem – kiedy wraz z twoim ojcem próbowaliście przywołać mnie do siebie, miałem wrażenie, że pamiętam siebie w innych postaciach niż Ereko i John Daker.

Pamiętałem mgliście inne Światy. Nie potrafię powiedzieć czy leżały w przeszłości czy w przyszłości. Te pojęcia wydają mi się teraz pozbawione znaczenia. Nie umiem na przykład powiedzieć, czy ten świat leży w przeszłości, czy w przyszłości w stosunku do świata Johna Dakera. Jestem tutaj. Muszę zrobić pewne rzeczy, to wszystko, co wiem.

– Te inne wcielenia – zapytała – co o nich wiesz?

Wzruszyłem ramionami. – Nic. To tylko niejasne wrażenie, a nie dokładne wspomnienia.

Kilka imion, które już zapomniałem. Kilka obrazów, które rozwiały się jak sen. Być może to wszystko był tylko sen. Być może John Daker, którego zaczynam powoli zapominać, był również tylko snem. Z pewnością nie wiem nic o nadprzyrodzonych istotach, o których mówili twój ojciec i Katorn. Nie znam żadnego Azmobaany, Dobrego Boga, ani demonów czy aniołów.

Wiem tylko, że istnieję i że jestem człowiekiem.

14

– To prawda – odpowiedziała z poważną miną – istniejesz i jesteś człowiekiem.

Widziałam, jak się zmaterializowałeś.

– Ale skąd przybyłem?

– Z Drugiego Świata – odpowiedziała – z miejsca, do którego idą po śmierci wszyscy wielcy wojownicy wraz ze swymi kobietami, aby żyć w wiecznym szczęściu.

Stłumiłem śmiech, aby nie obrazić jej przekonań. Nie przypominałem sobie takiego

miejsca.

– Pamiętam tylko walkę. Jeżeli byłem gdziekolwiek, nie był to kraj wiecznej szczęśliwości, lecz wiele krajów, w których panowała wieczna wojna.

Poczułem się nagle zmęczony i smutny. – Wieczna wojna – powtórzyłem z westchnieniem. Spojrzała na mnie ze współczuciem. Myślisz, że taki jest twój los – wiecznie walczyć przeciwko wrogom Ludzkości?

– Niezupełnie. Wydaje mi się, że pamiętam czasy, w których nie byłem człowiekiem, w tym sensie, w jakim wy pojmujecie to słowo. Można powiedzieć, że mój duch – jeżeli go mam – wciela się w różne postacie, niektóre z nich nieludzkie... – przerwałem. Ta myśl była zbyt trudna do pojęcia, zbyt przerażająca. Iolinda podniosła się z miejsca. Spojrzała na mnie z przestraczeniem.

– Ale chyba nie byłeś... – urwała.

– Uśmiechnąłem się – Eldrenem? Nie wiem. Wydaje mi się, że nie. Ta nazwa nic mi nie mówi.

Odetchnęła z ulgą. – Tak trudno jest zaufać – powiedziała smutnym głosem.

– Zaufać czemu? Słowom?

– Czemukolwiek – odpowiedziała. – Kiedyś myślałam, że wszystko rozumiem. Być może byłam zbyt młoda. Teraz nie rozumiem nic. Nie wiem nawet czy za rok będę jeszcze żyła.

– Nikt z nas, śmiertelników tego nie wie – powiedziałem łagodnie.

– Nas śmiertelników? – uśmiechnęła się smutno – Ty jesteś nieśmiertelny Ereko.

Nie zastanawiałem się nad tym dotąd. Bądź co bądź zmaterializowałem się w cudowny sposób. Roześmiałem się.

– Niedługo się przekonamy czy naprawdę jestem nieśmiertelny. Gdy tylko wyruszę na wojnę z Eldrenami.

– Nie – jęknęła – nie mów tak.

Pobiegła w stronę drzwi. – Ty jesteś nieśmiertelny, Erekose. Żadna broń się ciebie nie ima. Jesteś wieczny, jesteś moją jedyną nadzieją. Tylko tobie mogę ufać. Nie żartuj w ten sposób. Nie żartuj w ten sposób, błagam cię.

Zaskoczył mnie jej wybuch. Chciałem wstać z łóżka, aby ją zatrzymać lecz byłem nagi.

Co prawda Iolinda widziała mnie już nagiego, gdy zmaterializowałem się w grobowcu Erekosego, lecz w dalszym ciągu zbyt mało wiedziałem o tutejszych zwyczajach, aby zgadnąć czy ten widok zgorszyłby ją, czy też nie.

– Przebacz mi Iolindo. Nie wiedziałem...

Nie wiedziałem czego? W jakim stopniu biedna dziewczyna czuje się zagrożona? Czy może czegoś ważniejszego?

– Nie odchodź – prosiłem.

15

Odwróciła się w drzwiach. W jej oczach widać było łzy.

– Jesteś nieśmiertelny Erekose. Nie możesz umrzeć.

Nic nie odpowiedziałem. Pomyślałem, że o ile wiem mogę zostać zabity w pierwszej potyczce z Eldrenami. Zdałem sobie sprawę z odpowiedzialności, jaka na mnie leżała – nie tylko wobec tej pięknej dziewczyny, lecz wobec całego gatunku ludzkiego. Przełknąłem z trudem ślinę i opadłem na poduszki. Iolinda wybiegła z pokoju.

Jak mogłem udźwignąć podobne brzemię? Czy chciałem je dźwigać?

Nie. Nie oceniałem moich możliwości zbyt wysoka. Nie miałem powodu sądzić, że są one większe niż na przykład Katorna, który był z pewnością bardziej doświadczonym wojownikiem ode mnie. Miał prawo czuć do mnie urazę. Odebrałem mu jego stanowisko, pozbawiłem władzy i odpowiedzialności, którą w przeciwieństwie do mnie był gotowy

przyjąć na siebie. Rozumiałem jego punkt widzenia i w duchu przyznawałem mu rację. Jakie miałem prawo prowadzić Ludzkość na wojnę, która mogła zdecydować o jej dalszym istnieniu? Nie miałem żadnego. Zacząłem litować się nad sobą..

Jakim prawem Ludzkość oczekiwała ode mnie tak wiele? Obudzili mnie z drzemki jaką było spokojne, wygodne życie Johna Dakera. Narzucili mi swoją wolę. Żądali żebym przywrócił im utraconą wiarę we własne siły i własną słuszność. Leżąc w łóżku zacząłem przez chwilę nienawidzić króla Rigenosa, Katorna i całej reszty ludzkiej rasy łącznie z Iolindą, która zmusiła mnie do zastanawiania się nad tymi sprawami. Erekose, obrońca Ludzkości, największy z wojowników leżał w swoim łóżu bardzo nieszczęśliwy, użalając się nad swoim losem.

Rozdział 5 **KATORN**

Wstałem w końcu i wdziałem prostą tunikę. Ku mojemu zakłopotaniu moi służący umyli mnie i ogolili. Poszedłem do zbrojowni, gdzie mój miecz wisiał zawieszony na kołku.

Wyjąłem go z futerału. Ponownie ogarnęło mnie dziwne podniecenie. Zapomniałem o swych wątpliwościach natychmiast, gdy tylko zakręciłem mieczem nad głową i poczułem jego ciężar w swych mięśniach.

Roześmiałem się w głos. Wykonałem kilka cięć mieczem. Wydało ni się, że jest on częścią mojego ciała, jakby dodatkową kończyną, z której istnienia do tej pory nie zdawałem sobie sprawy. Zamachnąłem się z całej siły i opuściłem miecz. Jego dotyk wypełniał mnie radością. Czuję się potężniejszy niż kiedykolwiek przedtem. Jak mężczyzna. Jak wojownik. Jak bohater. A przecież jako John Daker miałem miecz w ręku może ze dwa razy w życiu i zgodnie z opinią moich przyjaciół w ogóle nie umiałem się nim posługiwać. Niechętnie – widząc zbliżającego się sługę – schowałem miecz do pochwy. Pamiętałem, że tylko ja mogłem go dotknąć i pozostać przy życiu.

– O co chodzi – zapytałem.

– Przyszedł Katorn panie. Chce z tobą mówić.

Odłożyłem miecz z powrotem na miejsce.

– Wprowadź go – rozkazałem.

16

Katorn wszedł szybkim krokiem. Musiał czekać dłuższą chwilę. Jego nastrój był nie lepszy niż podczas naszego poprzedniego spotkania. Jego podkute metalem buty uderzały z trzaskiem o kamienną podłogę zbrojowni.

– Dzień dobry, Ereko – powiedział. Skinąłem głową.

– Dzień dobry Katornie. Przepraszam cię, jeśli czekałeś zbyt długo. Wypróbowałem miecz.

– Miecz Kanajana. – Katorn spojrzał na niego w zamyśleniu.

– Miecz Kanajana – zgodziłem się. – Czy zechcesz zjeść śniadanie – zapytałem.

Starałem się odnosić do niego po przyjacielsku nie tylko dlatego, że nie chciałem mieć wroga w tak doświadczonym wojowniku, lecz także dlatego, że – jak już powiedziałem – rozumiałem jego sytuację. Jednakże Katorn pozostał nieprzejednany.

– Jadłem już o świcie – odpowiedział – przyszedłem mówić z tobą o ważniejszych sprawach Ereko.

– Jakie to są sprawy – zapytałem spokojnie.

– Sprawy wojny. Czy to nie jest ważne?

– Istotnie. Co dokładnie pragniesz ze mną omówić Katornie?

– Uważam, że powinniśmy pierwsi zaatakować Eldrenów.

– Atak najlepszą obronę, nieprawdaż?

– Spojrzał na mnie zdziwiony.

Najwyraźniej nigdy dotąd nie słyszał tego powiedzenia.

– Zręcznie ujęte. Jesteś tak wymowny, że można by cię wziąć za Eldrena.

Wyraźnie starał się mnie zdenerwować, ale przełknąłem tę insynuację w milczeniu.

– A więc – powiedziałem – zaatakujemy ich. W którym miejscu?

– Będziemy musieli omówić to na radzie. Wydaje mi się jednak, że cel ataku może być tylko jeden.

– To znaczy? – Odwrócił się i wyszedł do drugiego pokoju, skąd po chwili powrócił z mapą, którą rozpostarł na ławie. To była mapa Mernadinu – kontynentu opanowanego przez Eldrenów. Wskazał sztyletem na punkt, który znałem już z poprzedniej nocy.

– Paphanaal – powiedziałem.

– To najdogodniejszy punkt początkowego ataku w kampanii, którą planujemy. Sądzę, że Eldrenowie nie będą się spodziewać tak śmiałego posunięcia z naszej strony, zwłaszcza, że wiedzą, iż jesteśmy osłabieni.

– Ale, jeżeli rzeczywiście jesteśmy słabi – odpowiedziałem – czy nie lepiej byłoby uderzyć wpierw na mniej ważne miasto?

– Nie zapominaj, panie – powiedział Katorn sucho – że twoja obecność uskrzydli naszych Wojowników.

Uśmiechnąłem się. Katorn skrzywił twarz wściekły, że nie reaguję na jego obelgi.

Odpowiedziałem spokojnie.

– Musimy nauczyć się współpracować ze sobą, mój Katornie. Uznaję twoje wielkie doświadczenie jako dowódcy. Nie wątpię, że twoja wiedza na temat Eldrenów jest bardziej aktualna niż moja. Potrzebuję twojej pomocy nie mniej niż król Rigenos potrzebuje mojej.

Katorn wydawał się usatysfakcjonowany moją odpowiedzią.

– Kiedy miasto i prowincja Paphanaal zostaną zdobyte – kontynuował – będziemy mieli przyczółek, z którego uderzymy w głąb lądu. Mając Paphanaal w naszych rękach będziemy mogli przejąć inicjatywę w wojnie. Kiedy zepchniemy ich w góry, pozostanie przed nami tylko zadanie ich wytepienia. To będzie uciążliwa praca, która zajmie całe lata, ale musimy to zrobić. Powinniśmy byli to zrobić poprzednim razem. To już będzie rutynowe, wojskowe zajęcie i nie będziemy musieli brać w tym udziału osobiście.

– Jaką obronę ma Paphanaal? – zapytałem.

Katorn uśmiechnął się.

– Polegają głównie na swojej flocie. Jeśli zniszczymy ich okręty, Paphanaal będzie praktycznie zdobyty. – Wyszczrzył zęby w parodii uśmiechu.

Gdy spojrzał na mnie odkryłem w jego wzroku podejrzliwość, jakby obawiał się, że powiedział zbyt wiele. Nie mogłem przejść nad tym do porządku dziennego.

– Co cię gnębi, Katornie? – zapytałem. – Nie ufasz mi?

Nie mogłem nic odczytać z jego twarzy.

– Muszę ci ufać, Erekose. Wszyscy musimy ci ufać. Czyż nie powróciłeś do nas, aby wypełnić swoją obietnicę?

Spojrzałem na niego badawczo. – Wierzysz w to?

– Nie mam wyboru.

– Czy wierzysz, że to ja jestem Erekose, który powrócił?

– Muszę wierzyć i w to.

– Czy wierzysz w to, ponieważ sądzisz, że jeżeli nie jestem Erekosem, o którym mówią legendy, nic już nie uratuje Ludzkości?

Schylił głowę, jakby przyznając mi rację.

– A co jeśli nim nie jestem?

- Musisz nim być, panie. Gdyby nie jeden fakt, pomyślałbym... – urwał.
- Co byś pomyślał?
- Nic.
- Pomyślałbyś, że jestem Eldrenem, prawda Katornie? Sprytnym stworzeniem, które potrafiło przybrać postać człowieka. Czy trafnie odgadłem twoje myśli?
- Zbyt trafnie – odpowiedział z zaciśniętymi ustami. – Mówi się, że Eldrenowie potrafią czytać w myślach, ale nie w myślach istot ludzkich.
- Boisz się, Katornie?
- Eldrena? Na Dobrego Boga, pokażę ci – krzyknął sięgając po swój miecz. Podniosłem rękę wskazując na miecz Kanajana zawieszony na ścianie.
- To jest właśnie ten fakt, który zaprzecza twojej teorii, nieprawdaż? Gdybym nie był Erekosem, jak mógłbym używać jego miecza? – Katorn nie wyciągnął broni, wciąż jednak trzymał rękę na rękojeści.
- Czy to prawda, że żadna żywa istota czy to człowiek, czy Eldren nie może dotknąć tego miecza i pozostać przy życiu? – Zapytałem spokojnie.
- Tak mówią legendy – zgodził się.
- Tylko legendy?
- Nigdy nie widziałem, żeby Eldren próbował dotknąć miecza Kanajana.

18

- Musisz jednak wierzyć, że to prawda. W przeciwnym razie...
- W przeciwnym razie Ludzkość nie ma szans – powiedział z wysiłkiem.
- W porządku Katornie, musisz przyjąć, że to ja jestem Ereko, którego wezwał król Rigenos i który poprowadzi Ludzkość do zwycięstwa.
- Nie mam innego wyjścia.

– Jest także coś, w co ja chciałbym uwierzyć Katornie.

– Ty? W co?

– Chcę uwierzyć, że będziesz ze mną współpracował, że nie będzie żadnych spisków za moimi plecami, że żadne istotne informacje nie będą ukrywane przede mną, że nie będziesz szukać sojuszników przeciwko mnie wśród naszych szeregów.

Widzisz Katornie, twoje podejrzenia mogą okazać się zgubne dla naszych planów.

Człowiek zazdrosny o pozycję swojego dowódcy może wyrządzić więcej szkód niż jakikolwiek nieprzyjaciel.

Skinął głową. Wyprostował się cofając rękę z uchwytu miecza.

– Wziąłem to pod uwagę, panie. Nie jestem głupcem.

– Wiem o tym Katornie. W przeciwnym razie nie zadawałbym sobie trudu, żeby rozmawiać z tobą.

Przygryzał język, zastanawiając się nad moimi słowami.

– Ty także nie jesteś głupcem, Ereko – powiedział w końcu.

– Dziękuję. Nie podejrzewałem, że mnie za niego uważasz.

– Hmm... – Zdjął hełm i podrapał się po głowie. Wciąż zastanawiał się nad czymś.

Czekałem, żeby coś powiedział, lecz założył tylko hełm z powrotem, wsadził kciuk w usta i zaczął dłubać w zębie jak gwoździem. Po chwili wyjął kciuk i obejrzał go uważnie. W końcu spojrzał na mapę i wymamrotał.

– W końcu doszliśmy do porozumienia. Ta śmierdząca wojna będzie teraz łatwiejsza.

– Dużo łatwiejsza – zapewniłem go.

Prychnął pogardliwie.

– W jakim stanie jest nasza flota? – zapytałem go.

– Wciąż jeszcze w dobrym. Nie jest tak duża jak była, ale staramy się temu zaradzić.

Nasze stocznie pracują dzień i noc, aby wybudować jak najwięcej okrętów. Nasze huty w całym kraju wykuwają dla nich potężne działa.

– Czy mamy ludzi, aby obsadzić te okręty?

– Powołujemy kogo się da. Nawet kobiety są używane do niektórych zadań. Chłopcy też.

Mówiłem ci już, Erekose – cała ludzkość walczy przeciwko Eldrenom. Taka jest prawda.

Nic nie odpowiedziałem. Zacząłem podziwiać odwagi tych ludzi. Moje wątpliwości zaczęły, zanikać, ludzie w tym dziwnym świecie, w którym się znalazłem, musieli walczyć o przetrwanie swojego gatunku.

Jednakże w tej samej chwili przyszło mi do głowy pytanie – czy tego samego nie można powiedzieć o Eldrenach? Odrzuciłem tę myśl. Ta jedna rzecz łączyła mnie z Katornem. Nie interesowały nas żadne kwestie moralne czy uczuciowe.

Mieliśmy zadanie do wykonania. Przyjęliśmy na siebie odpowiedzialność. Byliśmy gotowi uczynić wszystko, co będzie w naszej mocy.

19

Rozdział 6 **PRZYGOTOWANIA WOJENNE**

Rozmawiałem z generałami i admirałami. Pochylaliśmy się nad mapami, omawialiśmy kwestie taktyki i logistyki, zasoby ludzkie, budowę okrętów.

Tymczasem flota zbierała się i na obu kontynentach trwały poszukiwania żołnierzy – od chłopców w wieku lat dziesięciu do mężczyzn po pięćdziesiątce i od dwunastoletnich dziewcząt do kobiet sześćdziesięcioletnich. Wszyscy zgromadzili się pod podwójnym sztandarem Ludzkości, który nosiły armie Zavary i Necralali i pod sztandarami ich króla Rigenosa i ich wodza naczelnego Erekosego. Mijały dni, podczas których planowaliśmy wielką inwazję na główny port Mernadinu – Paphanaal oraz na otaczającą go prowincję, która nosiła tę samą nazwę.

W wolnych chwilach ćwiczyłem szermierkę i jazdę konną, aż zdobyłem w nich potrzebne umiejętności. Raczej przypominałem sobie te sztuki niż się ich uczyłem. Umiejętność jazdy wydawała mi się znajoma, podobnie jak przedtem mój miecz. Podobnie jak zawsze wiedziałem, że moje imię brzmi Erekoze (co, jak mi powiedziano, znaczyło w jednym ze starożytnych, nie używanych już języków ten, który jest wieczny), podobnie zawsze wiedziałem jak strzelać z łuku galopując na końskim grzbiecie. Jednakże Iolinda nie była mi znana w ten sposób. Co prawda pewna część mojej osoby wydawała się zdolna do podróży przez czas i przestrzeń i przybierania wciąż nowych wcieleń, jednakże najwyraźniej nie były to te same wcielenia. Nie powtarzałem drugi raz swojego życia, stałem się tylko ponownie tą samą osobą, podejmującą inne czynności. Nie wydawało mi się, że mój los jest z góry określony. Miałem wrażenie, że posiadam wolną wolę. Być może się myliłem.

Może mój optymizm był nieuzasadniony. Być może, wbrew temu co powiedział Katorn, byłem głupcem. Wieczny głupiec. Z pewnością byłem gotowy zrobić z siebie głupca, gdy chodziło o Iolindę. Jej uroda była nie do zniesienia. Ale przy niej nie mogłem być głupcem. Pragnęła ni mniej ni więcej nieśmiertelnego bohatera. Musiałem więc grać dla niej tego bohatera, choć nie czułem się w tej roli najlepiej.

Traktowałem ją raczej z ojcowskim sentymentem niż pożądaniem. Moje dwudziestowieczne poglądy na temat ludzkich motywacji kazały mi przypuszczać, że byłem dla niej substytutem silnego ojca, którego nie znalazła w Rigenosie.

Myślę, że Iolinda w duchu pogardzała ojcem za niedostatecznie bohaterską postawę.

Osobiście byłem po stronie tego starego człowieka (starego? Myślę, że byłem niepomiernie starszy od niego, ale dość o tym). Byłem skłonny sądzić, że Rigenos wywiązywał się ze swojego zadania zupełnie dobrze. Ostatecznie był to człowiek, który znajdował więcej przyjemności w planowaniu ogrodów niż w planowaniu bitew. Słyszałem, że był odważny w

boju i nigdy nie uchylał się od podejmowania decyzji. Nie było jego winą, że nie miał następcy tronu, z którym mógłby dzielić odpowiedzialność. Król był stworzony do spokojnego życia mimo jego gwałtownej nienawiści do Eldrenów. Ja miałem przejąć na siebie rolę bohatera, której on nie potrafił się podjąć. Mogłem się na to zgodzić, ale nie miałem zamiaru podejmować za niego również roli ojca.

Pragnąłem normalnych stosunków z Iolindą – powiedziałem sobie – albo żadnych. Nie miałem jednak wyboru. Wywierała na mnie hipnotyczny wpływ. Byłem gotowy zgodzić się

20

na wszystko, czego ode mnie zażąda. Spędziliśmy ze sobą wiele czasu. Gdy tylko mogłem uwolnić się od wojskowych obowiązków wędrowaliśmy ze sobą przez balkony Pałacu Dziesięciu Tysięcy Okien, które owijały się wokół niego jak pnącza – od jego podstaw aż po szczyt, pełne kwiatów, roślin ozdobnych, ptaków w klatkach i bez klatek, które roiły się wśród liści, przysiadaly na gałęziach pnączy i drzewek i umilały nasze wędrówki swym śpiewem. Dowiedziałem się, że wszystko to wymyślił król Rigenos w celu upiększenia balkonów. Ale było to zanim przybyli Eldrenowie.

Powoli zbliżał się dzień, w którym flota miała wyruszyć na kontynent opanowany przez Eldrenów. Początkowo oczekiwałem tego dnia z niecierpliwością, obecnie jednak myśl o nim napełniła mnie coraz większą niechęcią, gdyż miało to oznaczać rozstanie z Iolindą. Moje pożądanie stawało się coraz mocniejsze, podobnie jak moja miłość. Aczkolwiek obyczaje ludzkości w tej epoce stawały się coraz bardziej surowe, pełne niepotrzebnych i nieprzyjemnych zakazów, wciąż jeszcze nie zabraniano zakochanym sypiać ze sobą bez ślubu – o ile pochodzili z tej samej sfery. Byłem bardzo szczęśliwy, gdy się o tym dowiedziałem. Wydawało mi się, że nieśmiertelny, za którego uchodziłem, jest odpowiednim partnerem dla księżniczki. Jednakże niekonwenanse stały na przeszkodzie moim pragnieniom, lecz sama

Iolinda, czemu nie mogła zaradzić nawet największa dawka swobody obyczajów, czy rozwiążności, jakby to nazwano w czasach Johna Dakera. Osobliwy pogląd, który panował w dwudziestym wieku (ciekaw jestem, czy ty, który to czytasz wiesz, co znaczą te dwa głupie słowa) głosił, że gdyby ograniczenia dotyczące "Moralności" – zwłaszcza seksualnej – zniknęły, rozpoczęłaby się powszechna orgia.

W rzeczywistości ludzie czują pociąg tylko do nielicznych osób i zakochują się jedynie raz lub dwa razy w swoim życiu. Poza tym z różnych powodów często nawet miłość nie zbliża ich fizycznie do siebie.

W naszym przypadku, ja nie mogłem się zdecydować, gdyż jak już powiedziałem, nie chciałem, być dla Iolindy wyłącznie substytutem ojca, zaś ona dlatego, że chciała mieć pewność, że może mi zaufać. John Daker nazwałby to objawem nerwicy. Być może tak było, z drugiej strony jednak czy można nazwać nerwicą, jeżeli normalna dziewczyna czuje się nieswojo w obecności człowieka, który zmaterializował się na jej oczach? Dość już o tym.

Wszystko, co należy powiedzieć sprowadza się do tego, że choć byliśmy w sobie głęboko zakochani, nie sypialiśmy ze sobą, a nawet o tym nie rozmawialiśmy, chociaż niejednokrotnie miałem tę sprawę na czubku języka. Zresztą, co dziwne, w tym okresie moje pożądanie zaczęło zanikać. Moja miłość do Iolindy pozostawała równie silna (lub silniejsza) jak poprzednio, ale nie odczuwałem potrzeby fizycznego współżycia.

To było zupełnie nie w moim stylu, czy też raczej nie w stylu Johna Dakera.

Jednak, gdy dzień rozstania się zbliżał, odczułem potrzebę wyrażenia swojej miłości w jakiś sposób. Pewnego wieczoru, gdy wędrowaliśmy przez balkony, objąłem ją za szyję i odwróciłem jej twarz w swoją stronę. Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się. Rozchyliła lekko wargi. Nie cofnęła głowy, gdy ją pocałowałem. Moje serce skoczyło z radości. Przycisnąłem ją mocno do siebie, czując falowanie jej piersi. Ująłem ją za rękę. Zanurzyłem rękę w jej

włosy i poczułem smak ciepłego oddechu, gdy pocałowaliśmy się znowu. Zacisnęła swoją dłoń na mojej. Otworzyła oczy. Po raz pierwszy ujrzałem w nich wyraz szczęścia.

21

Odsunęliśmy się szybko od siebie na krok. Oddychała nieregularnie. Zaczęła coś szeptać, ale jej szybko przerwałem. Uśmiechnęła się do mnie wyczekująco, z mieszaną dumy i czułości.

– Kiedy powrócę – powiedziałem cicho – pobierzemy się.

Spojrzała na mnie zaskoczona. Dopiero po chwili zrozumiała, że chciałem jej powiedzieć, że może mi zaufać. Był to jedyny sposób, w jaki potrafiłem to zrobić. Zapewne sposób Johna Dakera. Skinęła głowę. Zdjęła z dłoni piękny, złoty pierścień ozdobiony perłami oraz różowymi diamentami i założyła go na mój mały palec.

– To na znak mojej miłości – powiedziała – znak, że przyjmuję twoje oświadczenia. To amulet, który przyniesie ci szczęście w bitwie. Coś, co przypomni ci o mnie gdyby kusilo cię nieludzkie piękno Eldrenek. – Uśmiechnęła się przy ostatnim zdaniu.

– Ten pierścień ma wiele różnych zadań – powiedziałem.

– Ile tylko zechcesz.

– Dziękuję ci.

– Kocham cię, Erekose.

– Kocham cię, Iolindo. – przerwałem. – Nie jestem hojnym kochankiem – dodałem po chwili – Nie mam żadnego daru dla ciebie, czuję, że cię zawiodłem.

– Wystarczy twoje słowo – powiedziała – przyrzeknij, że do mnie wrócisz.

Spojrzałem na nią zakłopotany. – Oczywiście, że wrócę.

– Przysięgnij – powiedziała.

– Przysięgam. To oczywiste.

– Jeszcze raz.

– Mogę przysiąc tysiąc razy, jeśli jeden nie wystarczy. Przysięgam, że wrócę do ciebie

Iolindo, moja ukochana.

– Dobrze. – Wyglądała na zadowoloną.

Nagle dał się słyszeć odgłos pośpiesznych kroków. Ujrzeliśmy jednego z moich sług biegnącego w naszą stronę.

– Tu jesteś panie. Król Rigenos kazał mi cię sprowadzić. Było późno.

– O co mu chodzi? – zapytałem.

– Nie powiedział, panie.

Odwróciłem się do Iolindy i ująłem ją pod rękę.

– Dobrze. Chodźmy.

Rozdział 7 **ZBROJA EREKOSEGO**

Sługa zaprowadził nas do jednego z moich pokojów. Nie było tam nikogo oprócz służby.

– Gdzie król? – zapytałem.

– Powiedział, żebyś tu zaczekał, panie.

Uśmiechnąłem się do Iolindy. Oddała mi uśmiech.

– Zgoda – powiedziałem – zaczekamy.

22

Nie czekaliśmy długo. Zaczęli się schodzić ludzie dźwigający wielkie kawały metalu zawinięte w przetłuszczony papier. Zaczęli układać je w zbrojowni. W końcu przybył król Rigenos. Wydawał się bardziej podniecony niż zwykle. Tym razem nie było z nim Katorna.

– Witaj ojczy – powiedziała Iolinda – chciałam...

Król odwrócił się i podniósł rękę, przemawiając do niewolników.

– Zdejmijcie te zasłony. Prędko.

– Królu – powiedziałem – chciałbym ci oznajmić...

– Za chwilę Erekoze. Spójrz najpierw, co przyniosłem. Leżała przez stulecia w podziemiach pałacu, czekając na ciebie.

– Na mnie?

Ściągnięto papier, który walał się na podłodze, odsłaniając widok, który wydał mi się wspaniały.

– Oto zbroja Erekozego – powiedział król – Przynieśliśmy ją ze skrytki w najgłębszych lochach pałacu, aby Erekoze mógł znowu ją założyć

Zbroja była czarna i błyszcząca. Wyglądała jakby zrobiono ją dopiero dziś.

Robota była wyśmienita, godna najlepszego kowala w historii. Dotknąłem ręką napierśnika. W przeciwieństwie do zbroi używanych przez Straż Królewską, ta była gładka, bez żadnych ozdób. Karbowane naramienniki rozkładały się nad głowę jak wachlarz, aby osłonić noszącego od ciosów miecza, topora czy też kopii. Hełm, napierśnik, nagołenniki i cała reszta były karbowane w identyczny sposób. Podobnie jak mój miecz, zbroja była zrobiona z lekkiego, lecz bardzo mocnego metalu, z tym, że zbroja błyszczała. Błyszczała jasno, niemal oślepiająco. Była piękna w swojej prostocie, tak jak każde dzieło naprawdę dobrego rzemiosła. Jej jedyną ozdobą była szkarłatna kita z końskiego włosia, wpływająca kaskadami z grzebienia hełmu w dół. Dotknąłem zbroi z czcią, jak dotyka się dzieła sztuki. Fakt, że zostało ono stworzone dla ochrony mojego życia zwiększał tylko mój podziw.

– Dziękuję ci królu – powiedziałem. Byłem naprawdę wdzięczny. – Założę ją, gdy wyruszymy przeciwko Eldrenom.

– To już jutro – powiedział król spokojnie.

– Co takiego?

– Ostatnie okręty już przybyły. Wszyscy członkowie załóg są na pokładach. Wszystkie

działa są już gotowe. Jutro będzie najwyższy przypływ. Nie zmarnować tej okazji.

Spojrzałem na króla. Czyżbym został wprowadzony w błąd? Czy Katorn przekonał króla, aby nie poinformował mnie o dacie wyjazdu? Z twarzy króla nie można było odczytać żadnych ukrytych myśli. Przyjąłem do wiadomości, co powiedział.

Spojrzałem na Iolindę. Była wstrząśnięta.

– Jutro... – powiedziała.

– Jutro – potwierdził król. Przygryzłem wargę.

– Muszę się przygotować.

– Ojczy – powiedziała. Spojrzał na nią.

– Słucham Iolindo.

Chciałem coś powiedzieć, lecz zatrzymałem się, Iolinda spojrzała na mnie, także milcząco.

Nie było łatwo powiedzieć królowi o naszej decyzji. Wyglądało na to, że musimy

23

utrzymywać naszą miłość w tajemnicy, choć żadne z nas nie wiedziało, dlaczego. Król wycofał się taktownie.

– Omówię z tobą bieżące sprawy później, Erekose.

Ukloniłem się na pożegnanie. Spojrzałem na Iolindę. Byliśmy oboje oszołomieni.

Padliśmy sobie w ramiona i zaczęliśmy płakać.

John Daker nie napisałby tego. Wyśmiałyby mnie za sentymentalizm i pogardzałyby mną za wojownicze instynkty. John Daker nie napisałby tego, ale ja muszę:

Czułem narastające podniecenie wywołane zbliżającą się wojną. Dobrze znany zapach ogarnął mnie ponownie, jednakże moja miłość do Iolindy przerastała go. To była zupełnie inna rzecz niż zwykła cielesna miłość. Była czystsza i spokojniejsza. Niosła ze sobą znacznie więcej zadowolenia. Być może to właśnie była rycerska miłość, którą opiewano w

średniowieczu. John Daker nazwałby to stłumieniem libido. Powiedziałyby coś o mieczu, jako symbolu seksualnym i tak dalej. Być może miałby rację. Ja jednak byłem innego zdania, chociaż znałem dobrze wszystkie racjonalistyczne argumenty przemawiające za takim punktem widzenia. Jest ogólnoludzką tendencją widzieć wszystkie epoki w świetle swoich własnych zwyczajów. Zwyczaje tego społeczeństwa były odmienne. Dopiero zaczynałem zdawać sobie niejasno sprawę z wielu różnic. Zachowywałem się wobec Iolindy stosownie do obyczajów tej epoki. To wszystko. Późniejsze wypadki, jak sądzę, również przebiegały stosownie do tych zwyczajów.

Ująłem twarz Iolindy w dłonie. Nachyliłem się i pocałowałem ją w czoło. Pocałowała mnie w usta na pożegnanie.

– Czy zobaczę cię jeszcze przed odjazdem? – zapytała stojąc przy drzwiach.

– Tak kochanie – odpowiedziałem – jeśli to tylko będzie możliwe.

Nie czułem się smutny, gdy odeszła. Obejrzałem zbroję jeszcze raz, po czym zszedłem do wielkiej sali, gdzie stał król Rigenos w towarzystwie ważniejszych dowódców, studiując wielkie mapy Mernadinu oraz mórz oddzielających go od Necralali.

– Wyruszamy stąd nad ranna – powiedział, wskazując na port w Necranalu. Rzeka Droonaa płynęła przez Necranal do morza. U jej ujścia znajdował się port Noonos, gdzie zgromadziła się flota.

– Niestety nie unikniemy pewnych ceremonii, Erekoze. Trzeba odprawić różne rytuały.

Naszkirowałem już twoją rolę.

– Mam nadzieję – odpowiedziałem – Uroczystości męczą mnie bardziej niż wojna.

Zebrani dowódcy roześmieli się. Aczkolwiek odnosili się do mnie z wielką ostrożnością miałem wrażenie, że mnie lubią, gdyż ku mojemu wielkiemu zdziwieniu okazało się, że mam duże zdolności do taktyki i innych sztuk wojennych.

– Jednak uroczystość jest niezbędna dla ludu – powiedział Rigenos – to da im poczucie uczestnictwa w tym, co będziemy robić.

– Będziemy? – zapytałem – czyżbyś miał zamiar pożegłować z nami?

– Tak – odpowiedział Rigenos cicho – zdecydowałem, że to konieczne.

– Konieczne?

– Tak. – Nie chciał powiedzieć nic więcej, zwłaszcza w obecności swoich marszałków.

– Pośpieszmy się – rzekł – musimy wszyscy wstać wcześniej rano.

24

Podczas gdy omawialiśmy ostatnie sprawy starałem się odgadnąć motywy postępowania króla. Nikt nie oczekiwał od niego, że popłynie z armią. Nie utraciłby twarzy gdyby zastał w stolicy. Mimo to podjął decyzję, która narażała go na niebezpieczeństwo i zmuszała do akcji sprzecznej z jego naturą. Dlaczego to zrobił? Aby udowodnić, że potrafi walczyć? Dowiódł już tego. Dlatego, że zazdrościł mi sławy? Dlatego, że mi nie ufał? Spojrzałem na Katorna, lecz na jego twarzy nie było widać zadowolenia.

Był równie ponury jak zawsze. Wzruszyłem ramionami. Nie było sensu się nad tym zastanawiać. Fakt pozostawał faktem – król, mimo niemłodego wieku, płynął z nami. To mogło dodać ducha naszym żołnierzom. Mogło również ułatwić mi hamowanie zapędów Katorna. Na koniec rozeszliśmy się każdy w swoją stronę. Poszedłem prosto do łóżka. Przed zaśnięciem długo myślałem o Iolindzie i o naszych planach wojennych. Zastanawiało się jak będzie wyglądała walka z Eldrenami. Na pytanie jak walczyć Eldrenowie udzielano ni tylko odpowiedzi w rodzaju "zdradziecko" czy "okrutnie". Nie mogłem się nawet dowiedzieć, jak wyglądają, oprócz tego, że przypominają "demony z piekielnych otchłani". Wiedziałem, że niedługo poznam odpowiedzi na te pytania. Po chwili zasnąłem. Miałem dziwne sny tej nocy zanim wyruszyliśmy do Mernadinu.

Widziałem wieże i bagna, jeziora i armie. Widziałem włócznie strzelające płomieniami i metalowe latające maszyny, które poruszały skrzydłami jak olbrzymie ptaki. Widziałem niewiarygodnie wielkie flamingi, dziwne hełmy-maski przypominające głowy zwierząt... Widziałem smoki – olbrzymie gady ziejące ogniem unoszące się na ciemnym ponurym niebie. Widziałem piękne miasta trawione płomieniami.

Widziałam niezwykle stworzenia, o których wiedziałem, że są bogami.

Widziałem kobietę, której imienia nie znałem, niskiego rudego mężczyznę, który był Mim przyjacielem, wielki czarny miecz, potężniejszy niż miecz Kanejana. Miecz, który w jakiś dziwny sposób był mną.

Widziałem Świat pokryty lodem, po którym pływały statki z wydętymi żaglami i czarne zwierzęta podobne do wielorybów, które pędziły przez niekończące się białe płaszczyzny.

Widziałem Świat, a może wszechświat, w którym nie było horyzontu, wypełniony błyszczącą atmosferą, zmieniającą się jak w kalejdoskopie, z której przedmioty i ladzie wyłaniały się tylko na chwilę, aby zaraz zniknąć.

Byłem pewny, że jestem poza Ziemię – tak, byłem na pokładzie statku kosmicznego, ale statek ten podróżował przez wszechświat niepojęty dla człowieka.

Widziałem pustynię, przez którą wlokłem się płacząc. Byłem samotny, bardziej samotny niż jakikolwiek człowiek przede mną.

Widziałem dżunglę pełną pierwotnych drzew i gigantycznych paproci, poprzez które widać było wielkie, dziwaczne budynki. W rękę miałem broń, która nie była mieczem ani pistoletem, lecz czymś potężniejszym.

Dosiadałem dziwnych wierzchowców i spotykałem jeszcze dziwniejszych ludzi.

Poznawałem piękne i straszliwe krajobrazy. Pilotowałem maszyny latające i statki kosmiczne.

Powoziliś rydwanami. Budowałem imperia i niszczyłem narody. Wiele razy zabijałem i wiele

razy byłem zabijany.

25

Zwycięzałem i ponosiłem klęski. Miałem wiele imion. Wszystkie huczały mi w głowie.

Zbyt wiele imion. Zbyt wiele... Nigdzie nie było pokoju. Była tylko wojna.

Rozdział 8 **ŻEGLUGA**

Następnego ranka obudziłem się w złym nastroju. Moje sny zniknęły. Pragnąłem tylko jednej rzeczy – cygara Upmanna. Na próżno starałem się o tym nie myśleć. O ile pamiętałem,

John Daker nie palił cygar Upmanna. Nie potrafiłby ich nawet odróżnić od innych gatunków.

Skąd więc znałem tę nazwę? Przyszło mi myśl imię – Jeremiaś... Wydawało mi się znajome.

Wstałem z łóżka.. Poznałem swój pokój... Imię Jeremiaś zmieszało się z innymi, o których

śniłem i zniknęło. Udałem się do sąsiedniej komnaty, gdzie służba przygotowała mi kąpiel.

Myjąc się, starałem się skupić na bieżących problemach, jednakże poczucie depresji nie opuszczało mnie jeszcze przez pewien czas. Przez moment ponownie zastanawiałem się, czy nie zwariowałem, czy wszystko wokoło nie było tylko skomplikowaną schizofreniczną fantazją.

Poczułem się znacznie lepiej, gdy służby przynieśli moją zbroję. Ponownie zachwyciło mnie jej piękne wykonanie. W końcu nadszedł czas, aby ją założyć. Najpierw wdziałem bieliznę, później coś w rodzaju watowanego kombinezonu, na koniec zacząłem nakładać zbroję. Z łatwością odnalazłem wszystkie sprzączki i rzemyki, tak jakbym nakładał ją codziennie przez całe życie. Pasowała doskonale. Była wygodna i zdawała się nic nie ważyć, chociaż pokrywała dokładnie całe moje ciało. Następnie udałem się do zbrojowni po miecz, który wisiał tam w swym ochronnym futerale. Zapiąłem metalowy pas, przypiąłem miecz do lewego biodra, rozpuściłem szkarłatną kitę na hełmie i podniosłem przyłbicę. Byłem gotowy. Niewolnicy zaprowadzili mnie do wielkiej sali, w której dowódcy naszej armii zebrali się,

aby pożegnać się z Necranalem. Gobeliny, które uprzednio wisiały na ścianach zostały usunięte. W ich miejsce rozwieszono setki barwnych sztandarów. Były tam sztandary marszałków, kapitanów i rycerzy, którzy ustawili się w imponującym szeregu stosownie do rangi. Tron królewski stał na specjalnie wzniesionym podium, pokrytym szmaragdowy suknem. Z tyłu wisiały bliźniacze sztandary dwóch kontynentów. Zająłem swe miejsce przed podium. Wszyscy czekaliśmy w napięciu na przybycie króla. Zostałem już pouczony, co mam mówić podczas nadchodzącej uroczystości. Na koniec dał się słyszeć głośny dźwięk trąb i bębnow na galerii nad nami. Wszedł Król. Miał na sobie pozłocaną zbroję, na którą narzucił biało-czerwoną kurtkę. Wyglądał w tym stroju bardziej po królewsku niż zwykle. Swoją żelazną koronę osadził na hełmie. Wkroczył dumnie na podium i zasiadł na tronie, opierając obie ręce na poręczach. Podnieśliśmy ręce na znak pozdrowienia.

– Niech żyje król Rigenos – krzyknęliśmy.

Uklękliśmy. Ja jako pierwszy. Za mną mała grupka marszałków. Później stu kapitanów i pięć tysięcy rycerzy. Wokół nas pod ścianami stali przedstawiciele szlachty, damy dworu, żołnierze na warcie, służący i ziemianie, burmistrzowie wszystkich dzielnic stolicy oraz różnych miast dwóch kontynentów. Wszyscy byli wpatrzeni w króla i wodza naczelnego. Król podniósł się z tronu i postąpił krok naprzód. Jego twarz była poważna i surowa. Nigdy

26

dotąd nie widziałem go wyglądającego tak po królewsku. Nagle poczułem, że uwaga wszystkich skupiona jest na mnie. Ja, Erekoś miałem być ich zbawcą. Byli tego pewni. Ja w swojej dumie byłem także tego pewien. Król Rigenos rozpostarł ręce i zaczął mówić:

– Erekoś, Wodzu Naczelnym, marszałkowie, kapitanowie i rycerze Ludzkości. Wyruszamy na wojnę przeciwko odwiecznemu złu. Walczymy nie tylko z nieprzyjacielem, którego należy pokonać, lecz z niebezpieczeństwem, które zagraża całemu naszemu gatunkowi. Musimy

ocalić nasze dwa kontynenty od całkowitego zniszczenia. Zwycięzca będzie władał całą ziemią. Pokonany obróci się w pył i zostanie zapomniany, jak gdyby nigdy nie istniał. Ta wyprawa, na którą wyruszamy będzie decydująca. Pod dowództwem Erekoego zdobędziemy port i prowincję Paphanaal. Będzie to jednak tylko pierwsza faza naszej kampanii. Król przerwał na chwilę. W sali zapadła niemal zupełna cisza.

– Musimy stoczyć wiele bitew – kontynuował – zanim przeklęte Psy Zła zostaną zniszczone. Wszyscy muszą zginąć – mężczyźni i kobiety, nawet dzieci. Już raz zepchnęliśmy ich do ich kryjówek w górach smutku, ale tym razem nie możemy pozwolić im sobie przeżyć. Niech pozostanie po nich tylko wspomnienie – aby przypominać nam, czym jest zło. Wciąż klęcząc podniosłem ręce nad głową i zacisnąłem pięści. – Erekoese – powiedział król Rigenos – ty, który siłą swej wiecznej woli przybrałeś na nowo ciało i przybyłeś do nas w tej potrzebie, ty będziesz siłą, która zniszczy Eldrenów. Będziesz kosą Ludzkości, która zetnie, Eldrenów jak chwasty. Będziesz łopataą Ludzkości, która wykopie ich korzenie, gdziekolwiek je zapaścili. Będziesz płomieniem Ludzkości, który spali ich na najdrobniejszy popiół. Będziesz wiatrem, który rozwieje ich popioły, jak gdyby nigdy nie istnieli. Ty zniszczysz Eldrenów.

– Zniszczę Eldrenów – krzyknąłem. Mój głos odbił się echem po sali, jak głos jakiegoś boga.

– Wyruszę przeciwko nim z Bieczem Kanajana w ręku. Moje serce przepojone będzie nienawiścią, okrucieństwem i zemstą. Zwycięzę Eldrenów. Za moimi plecami rozległ się krzyk "Zwyciężymy Eldrenów". Król podniósł rękę, twarz miał surową, oczy mu błyszczały.

– Przysięgnijcie – powiedział. Wszyscy byliśmy przesiąknięci atmosferą gniewu i nienawiści, jaka panowała w sali głównej.

– Przysięgamy zniszczyć Eldrenów – ryknęliśmy. Nienawiść kipiała w oczach króla,

przepajała jego głos.

– Naprzód Rycerze Ludzkości. Ruszajcie zniszczyć Eldreńskie plugastwo. Oczyszcie Ziemię z ich ohydy.

Podnieśliśmy się jak jeden mąż i wydając okrzyki wojenne opuściliśmy salę.

Wymaszerowaliśmy z Pałacu Dziesięciu Tysięcy Okien na zewnątrz, gdzie tłum skandował okrzyki na naszą cześć. Podczas marszu prześladowała mnie jedna myśl: gdzie Iolinda?

Dlaczego nie przyszła? Przed uroczystością było mało czasu, ale myślałem, że przyśle przynajmniej wiadomość. Maszerowaliśmy we wspólnym pochodzie przez ulice Necranalu.

Szliśmy przez wiwatujący tłum, słońce odbijało się jasno w naszych mieczach i zbrojach.

Nasze flagi o tysiącu różnych barwach łopotały na wietrze. To ja ich prowadziłem –

Erekose, nieśmiertelny wojownik, zwiastun zemsty. Uniosłem ramiona, jak gdybym już świętował triumf. Duma wypełniała mnie. Wiedziałem, czym jest chwała i radowałem się nią.

27

To było prawdziwe życie – życie wojownika, dowódcy wielkich armii, człowieka wojny.

Maszerowaliśmy w dół, w stronę statków, które czekały na nas na nabrzeżu. Na moje wargi wypłynęła pieśń w archaicznym odmianie języka, którym mówiłem obecnie. Wszyscy

wojownicy maszerujący za mną podchwycili ją. Odezwały się trąby i bębny. Śpiewaliśmy o krwi i śmierci, o wielkim, czerwonym zniwie, które nadciąga nad Mernadin. W ten sposób szliśmy. Takie były nasze uczucia.

Nie sądźcie mnie zanim nie opowiem wam więcej. W końcu dotarliśmy do rzeki, gdzie czekały na nas statki. Pięćdziesiąt okrętów przybiło do dwóch nabrzeży po obu stronach rzeki.

Pięćdziesiąt okrętów pod pięćdziesięcioma sztandarami pięćdziesięciu dumnych paladynów, ale była to tylko część. Cała flota czekała na nas w porcie Noonos. Ludność Necranalu zebrała się nad brzegami rzeki. Wiwatowali na naszą cześć tak długo, że przestaliśmy już

słyszeć ich głosy, tak jak na morzu przestaje się z czasem słyszeć odgłos fal. Spojrzałem na okręty. Na ich pokładach wzniesiono bogato zdobione kabiny. Na masztach rozwinięto żagle z wielobarwnego płótna. Niosła zanurzały się już w spokojnych wodach rzeki. Na ławach zasiadali silni mężczyźni – trzech do każdego wiosła. Nie byli to niewolnicy, lecz wolni wojownicy. Na czele eskadry płynął wspaniały okręt królewski. Miał osiemdziesiąt par wioseł i osiem wysokich masztów. Jego burty pomalowane były czerwoną, czarną i złotą farbą, pokłady lśniły karmazynowo, żagle miał żółte, ciemnoniebieskie i pomarańczowe, zaś wielka figura dziobowa przedstawiająca boginię trzymającą miecz w wyciągniętych rękach była w przeważającej części szkarłatna i srebrna. Bogato ozdobione kabiny lśniły od świeżego werniksu, którym pokryto wizerunki starożytnych bohaterów Ludzkości (mnie tam także przedstawiono, choć podobieństwo było nikłe), starożytnych zwycięstw, a także legendarnych potworów, demonów i bogów. Odłączyłem się od grupy posuwającej się wzdłuż molo i wkroczyłem na statek po trapie pokrytym dywanem. Marynarze rzucili się, aby mnie przywitać.

– Wasza wysokość, księżniczka Iolinda oczekuje cię w głównej kabinie – powiedział jeden z nich. Odwróciłem się patrząc na wspaniały wystrój kabiny. Uśmiechnąłem się na widok swojej podobizny, która była tam namalowana. Poprzez, stosunkowo niskie drzwi wkroczyłem do pokoju, który był cały – podłoga, ściany i sufit – pokryty czerwonymi, złotymi i czarnymi gobelinami, U sufitu wisały lampy. W cieniu, ubrana w prostą sukienkę i ciemny płaszcz stała Iolinda.

– Nie chciałam zakłócać porannych uroczystości – powiedziała. Ojciec powiedział, że jest mało czasu, tak, że myślałam, iż nie będziesz chciał mnie widzieć. Uśmiechnąłem się.

– Wciąż nie wierzysz w to, co ci powiedziałem, Iolindo? Wciąż nie chcesz mi uwierzyć, gdy wyznaję ci moją miłość, gdy mówię ci, że jestem gotowy zrobić wszystko dla ciebie? –

Zbliżyłem się do niej, biorąc ją w ramiona. – Kocham cię Iolindo, zawsze będę cię kochał.

– Ja również zawsze będę cię kochała, Erekose. Będziesz żył wiecznie, ale...

– Nie ma na to żadnego dowodu – odpowiedziałem spokojnie – z pewnością można mnie zranić, Iolindo. Wiele razy zraniłem się w czasie ćwiczeń z bronią, tak, że wiem to na pewno.

– Ty nie możesz umrzeć, Erekose.

– Chciałbym móc w to uwierzyć.

– Nie śmieję się ze mnie Erekose. Nie traktuj mnie z góry.

28

– Nie śmieję się z ciebie, Iolindo. Mówię tylko prawdę. Musisz spojrzeć prawdzie w oczy.

– Dobrze – powiedziała – spojrzę prawdzie w oczy. Myślę jednak, że nigdy nie umrzesz.

Mam takie dziwne przeczucia, boję się, że może nas spotkać coś gorszego niż śmierć.

– To zrozumiałe, że jesteś niespokojna, ale naprawdę nie ma powodu bać się. Nie smuć się kochanie. Spójrz na moją wspaniałą zbroję, na potężny miecz, na wielką armię, którą dowodzę.

– Pocałuj mnie Erekose. Pocałowałem ją. Trzymałem ją długo w objęciach aż wyrwała mi się i uciekła. Patrzyłem na drzwi, chcąc pobiec za nią, aby ją uspokoić. Wiedziałem jednak, że to niemożliwe. Jej obawy nie były w pełni racjonalne, odzwierciedlały jej głębokie poczucie zagrożenia. Obiecałem sobie, że w przyszłości sprawię, że poczuje się bezpieczna, że wprowadzę w jej życie element oparcia. Rozległ się głos trąb. Król Rigenos wkroczył na pokład. Po chwili wszedł do kabiny ściągając z głowy swój hełm z koroną. Katorn przyszedł z nim, posępny jak zawsze.

– Entuzjazm był wielki – powiedziałem – ceremonia wywarła spodziewane wrażenie.

Rigenos skinął głową. – Tak – powiedział zmęczonym głosem. Uroczystość kosztowała go

wiele sił. Upadł ciężko na wiszące krzesło w kącie i zażądał wina.

– Wkrótce wyruszamy. Jak długo jeszcze, Katornie?

– Jeszcze kwadrans, mój panie. Katorn wziął dzban wina z rąk sługi i napełnił puchar królowi nie częstując mnie. Król skinął dłonią.

– Napijesz się trochę wina, Erekose? – Odmówiłem.

– Twoja przemowa była świetna – powiedziałem – napełniłeś nas prawdziwą żądzą krwi. Katorn skrzywił się.

– Miejmy nadzieję, że pozostanie ona w nas, gdy staniemy naprzeciwko nieprzyjaciela.

Mamy ze sobą wielu niedoświadczonych żołnierzy. Połowa naszych wojowników nigdy nie brała udziału w walce, a z nich połowa to jeszcze chłopcy. Słyszałem, że w niektórych oddziałach mamy nawet kobiety.

– Jesteś pesymistą, Katornie.

– To naturalne – burknął – cały ten szyk jest dobry na pokaz, dla cywilów, ale my sami nie powinniśmy w to wierzyć. Powinieneś wiedzieć Erekose jak naprawdę wygląda wojna. To ból, strach i śmierć – nic więcej.

– Zapominasz – odpowiedziałem – że moje wspomnienia są niejasne. Parsknął śmiechem i wychleptał swoje wino. Odstawił puchar z brzękiem i wyszedł.

– Pójdę zobaczyć jak odbijamy od brzegu. Król odkaszlnął – Ty i Katorn... – zaczął, ale przerwał – Wy...

– Nie jesteśmy przyjaciółmi – odpowiedziałem – nie podoba mi się jego grubiaństwo, a on podejrzewa, że jestem oszustem, zdrajcą, szpiegiem, czy kimś w tym rodzaju. Król skinął głową. – Wspominał mi o tym – popił łyk wina – powiedziałem mu, że widziałem jak się zmaterializowałeś, że nie ma wątpliwości, że jesteś Erekosem, że nie ma powodu, żeby ci nie ufać, ale on się upiera. Nie rozumiem dlaczego. Jest przecież dobrym, rozsądnym żołnierzem.

– Jest zazdrosny – odpowiedziałem – odebrałem mu jego pozycję. Ale przecież sam twierdził, że potrzebujemy nowego wodza, który natchnie naszych żołnierzy wolą walki.

29

– Być może powiedział to w sensie ogólnym. Wzruszyłem ramionami. – To nie ma znaczenia. Myślę, że doszedłem z nim do porozumienia. Rigenos zatopił się w swoich myślach.

– Myślę – mruknął – że przyczyna mogła być inna.

– To znaczy? Spojrzał na mnie.

– Miłość, Erekose. Iolinda zawsze podobała się Katornowi.

– Możliwe, że masz rację. Ale nic na to nie poradzę. Iolinda najwyraźniej woli mnie.

– Katorn może myśleć, że to zaślepienie, że Iolinda widzi ideał, a nie żywą osobę.

– Czy ty również tak uważasz?

– Nie wiem. Nie rozmawiałem z Iolindą na ten temat.

– Być może dowiemy się, gdy powrócimy. – Jeżeli powrócimy – odpowiedział król –

Muszą przyznać, że w tej sprawie zgadzam się z Katornem. Nadmierne zaufanie we własne siły było przyczyną wielu klęsk.

– Zapewne masz rację. – Na zewnątrz dały się słyszeć nagłe krzyki. Statek zakołysał się,

gdy zwolniono liny i podniesiono kotwicę. – Chodźmy na pokład – powiedział król –

oczekują tego od nas. Pośpiesznie wypił wino i założył swój hełm z koroną. Wyszliśmy

razem z kabiny. Okrzyki na molo stały się głośniejsze. Stanęliśmy na pokładzie machając

rękami. Bębny zaczęły podawać rytm wioślarzom. Ujrzałem Iolindę wychyloną ze swego

powozu. Patrzyła w naszą stronę. Pomachałem do niej ręką. Uniosła rękę w pożegnalnym

pozdrowieniu.

– Żegnaj Iolindo – szepnąłem.

Katorn obdarzył mnie cynicznym spojrzeniem i udał się nadzorować wioślarzy. Żegnaj Iolindo. Wiatr uspokoił się. Pociłem się w swojej zbroi. Dzień był gorący. Słońce jaśniało na bezchmurnym niebie. Wciąż machałem ręką stojąc na rufie kołyszącego się statku, patrząc na Iolindę siedzącą prosto w swoim powozie, aż minęliśmy zakręt rzeki, za którym widać było tylko wieże Necranalu i słychać tylko odległe okrzyki tłumu. Płynęliśmy szybko w dół rzeki Droonaa w kierunku Noonos o wieżach ozdobionych klejnotami, gdzie czekała na nas flota.

Rozdział 9 **NOONOS**

– Te wszystkie bezmyślne i krwawe wojny...

– Doprawdy biskupie, czy nie potrafisz zrozumieć, że ludzie rozwiązują swoje problemy drogą czynów...

Wątpliwe argumenty, absurdalne preteksty, cynizm pod maską pragmatyzmu.

– Czy nigdy nie zaznasz odpoczynku, mój synu?

– Ojczy, nie mogę stać spokojnie, gdy pogańskie hordy stoją już na brzegu Dunaju.

– Pokój.

– Czy pokój ich zadowoli?

– Być może.

– Wietnam im nie wystarczy. Nie zatrzymają się zanim nie zdobędą Azji, a potem całego świata.



30

- Nie jesteśmy zwierzętami.
- Oni postępują jak zwierzęta. Nie możemy pozostać im dłużni.
- Ale jeśli spróbujemy...
- Próbowaliśmy już.
- Czyżby?
- Ogień trzeba zwalczać ogniem.
- Czy nie ma innego wyjścia?
- Nie ma innego wyjścia.
- Ale dzieci...
- Nie ma innego wyjścia.

Karabin, miecz, bomba, łuk, pistolet wibracyjny, lanca ognista, topór, maczuga... Nie ma

innego wyjścia.

Spałem źle tej nocy na pokładzie okrętu flagowego, gdy wiosła podnosiły się i opadały, bęben wybijał swój nieustanny rytm, belki trzeszczały i fale uderzały o kadłub. W moim

31

zmęczonym mózgu kłębiły się fragmenty rozmów, zdania, wyobrażenia. Nie chciały zostawić mnie w spokoju. Tysiąc różnych okresów historycznych. Milion różnych twarzy. Ale sytuacja była zawsze ta sama. Argumenty powtarzane w tysiącach różnych języków nie zmieniały się.

Gdy w końcu podniosłem się z koi poczułem się od razu lepiej i postanowiłem wyjść na pokład.

Kim byłem? Dlaczego zawsze musiałem wędrować z jednej epoki do drugiej i grać wszędzie tą samą rolę? Byłem ofiarą jakiegoś kosmicznego żartu.

Odczułem chłód nocnego powietrza na twarzy. Światło księżyca przebijało się przez obłoki w regularnych odstępach tak, że promienie wyglądały jak osie gigantycznego koła, jakby chmury zarwały się pod rydwanem boga, który ugrzązł w gęstym powietrzu pod nimi.

Patrzyłem na wodę, widząc odbite w niej obłoki. Nagle rozstały się one ukazując księżyc.

Był to ten sam księżyc, który znałem jako John Daker. Można było ujrzeć tę samą łagodną twarz patrzącą z uśmiechem w dół, na szaleństwa istot zamieszkujących Ziemię. Ile nieszczęść widział ten księżyc? Ile idiotycznych krucjat? Ile wojen, bitew i morderstw?

Chmury ponownie zasnuły niebo. Wody rzeki stały się czarne, jakby chciały mi powiedzieć, że nigdy nie znajdę odpowiedzi na te pytania. Spojrzałem na brzegi. Mijaliśmy gęsty las.

Szczyty drzew były widoczne na tle nieco jaśniejszego nieba. Od czasu do czasu słychać było krzyki nocnych zwierząt. Wydawały mi się smutne, samotne i beznadziejne. Westchnąłem.

Oparłem się o nadburcie i obserwowałem wodę pluskającą pod wiosłami. Musiałem przyjąć do wiadomości, że znowu będę walczyć. Znowu? Kiedy walczyłem ostatnio? Co

znaczyły moje niejasne wspomnienia? O czym mówiły moje sny? Najprostsza zdroworozsądkowa odpowiedź – taka, którą zrozumiałby John Daker, mówiła, że jestem szalony. Moja wyobraźnia była nadmiernie pobudzona. Możliwe, że nigdy nie byłem Johnem Dakerem. Być może on również był wytworem chorej wyobraźni. Znowu musiałem walczyć. To wszystko. Zgodziłem się przyjąć tę rolę i musiałem odegrać ją do końca.

Moje myśli stały się jaśniejsze. Księżyc zaszedł i jutrzienka delikatnie dotknęła horyzontu. Patrzyłem na wschodzące słońce – wielki czerwony dysk wznoszący się statecznie nad horyzontem, jakby zdziwiony dźwiękami, które zakłóciły spokój świata – uderzeniami bębna i skrzypieniem wioseł.

Nieoczekiwanie pojawił się Katorn.

–Widzę, że nie śpisz Ereko. Nie możesz się doczekać bitwy?

Nie miałem ochoty znosić w tej chwili kpin Katorna.

– Chciałem popatrzeć na wschód słońca – odpowiedziałem.

– I zachód księżyca też? – w głosie Katorna zabrzmiała sugestia, której nie zrozumiałem.

– Mam wrażenie, że lubisz noc, Ereko.

– Niekiedy – odpowiedziałem – w nocy jest spokojnie. Nic nie zakłóca ludzkich myśli – dodałem z naciskiem.

– Masz jednak coś wspólnego z naszymi wrogami.

– O czym mówisz? – Odwróciłem się z gniewem.

– Powiedziałem tylko, że Eldrenowie podobno również wolą noc od dnia.

– Jeśli tak jest – odpowiedziałem – to będzie dla nas wielkim atutem, jeżeli będę mógł walczyć z nimi zarówno w nocy, jak i we dnie.

– Dłaczego mi nie ufasz, Katornie?

Wzruszył ramionami. – Nie ukrywam tego.

– Czy nie zawarliśmy umowy?

– Dotrzymuję swojej części. – Odparł.

– Ja również.

– Cokolwiek bym podejrzewał, będę wykonywał twoje rozkazy.

– W takim razie rozkazuję ci, żebyś zaprzestał swoich złościwości. To jest naiwne i nie służy żadnemu celowi.

– Mam w tym swój cel Erekoze. To poprawia mój nastrój. W ten sposób mogę wyrazić swoje uczucia.

– Złożyłem przysięgę Ludzkości – powiedziałem mu – będę wierny królowi i jego sprawie. Mam dość własnych trudności Katornie.

– Rozumiem to.

Odwróciłem się. Niemal zrobiłem z siebie idiotę, błagając Katorna o zrozumienie dla moich trudności.

– Dziękuję ci Katornie – powiedziałem chłodno.

Statek mijał właśnie zakręt rzeki. Wydawało mi się, że widać już morze przed nami.

– Dziękuję ci za zrozumienie.

Uderzyłem się w twarz. Statek przepływał właśnie przez chmurę komarów unoszących się nad rzeką.

– Te insekty są nie do zniesienia.

– Byłoby lepiej gdybyś nie wystawiał się na ich ukąszenia, panie – odpowiedział Katorn.

– Masz rację, Katornie. Zejdę na pokład.

– Do widzenia, Erekoze.

– Do widzenia.

Zostawiłem go, jak stał na pokładzie, patrząc przed siebie w zamyśleniu. *W innej sytuacji*

– pomyślałem – *zabiłbym go*. Tymczasem wyglądało na to, że Katorn zrobi, co będzie mógł, aby zabić mnie.

Ciekawe – pomyślałem – czy Rigenos miał rację, mówiąc, że Katorn odczuwa zazdrość zarówno o moją wojenną sławę, jak i o miłość Iolindy.

Umyłem się i włożyłem zbroję. Wszystkie jałowe myśli uciekły mi z głowy. Po chwili usłyszałem okrzyk sternika. Poszedłem na pokład zobaczyć, co się stało. Zbliżaliśmy się do Noonos. Wszyscy wdrapaliśmy się na maszty, aby ujrzeć to legendarne miasto. Blask bijący z wież niemal nas oślepił. Klejnoty na nich były prawdziwe. Całe miasto świeciło białym blaskiem zmieszonym z setką innych kolorów. Zielone, fioletowe, różowe, żółte i czerwone błyski tańczyły w jasnej łunie tworzonej przez milion drogich kamieni. Za Noonos leżało morze błyszczące w słońcu. Zbliżaliśmy się do ujścia rzeki. Brzegi oddalały się od siebie coraz bardziej. Trzymaliśmy się prawego brzegu, na którym leżało Noonos. Na lesistych wzgórzach wokół ujścia rzeki leżało wiele innych miast i wiosek. Niektóre z nich były malownicze, ale wielki port Noonos zaćmiewał je wszystkie. Usłyszeliśmy głos mew, które z trzepotem skrzydeł usiadły na rejach i zaczęły walczyć ze sobą o najlepsze miejsca.

33

Wiosła zwolniły swój rytm. Podpływając do portu zaczęliśmy wiosłować do tyłu.

Wszystkie nasze statki zakotwiczyły za nami. Miały dołączyć do nas później, gdy pilot wskaże im miejsce cumowania. Zostawiając resztę eskadry za sobą wpłynęliśmy powoli do Noonos pod sztandarem królewskim oraz pod sztandarem Erekoiego, przedstawiającym srebrny miecz na czarnym poli.

Znowu zaczęły się wiwaty na naszą cześć. Tłum powstrzymywany przez żołnierzy w

skórzanych strojach wyciągał szyje, aby zobaczyć jak wychodzimy na ląd. Gdy zszedłem ze statku na molo rozległ się głośny śpiew. Zdumiałem się, zrozumiawszy, co śpiewają: Erekose, Erekose, Erekose. Podniosłem prawą rękę w pozdrowieniu. Hałas stał się niemal nie do zniesienia. Z trudnością powstrzymałem się od zatkania sobie uszu.

Księżę Bładagh władca, Noonos, pozdrowił nas z należytą czcią i odczytał mowę, z której nic nie zrozumiałem z powodu panującego hałasu. Następnie zaprowadzono nas do mieszkań, które mieliśmy zajmować w czasie krótkiego pobytu w mieście. Wieże Noonos były imponujące, jednakże pozostałe domy różniły się od nich znacznie. Wiele z nich było nędznymi budami. Było jasne skąd brały się pieniądze na ozdabianie wież perłami, rubinami i szmaragdami. W Necranalu nie zauważyłem tak wielkich kontrastów między bogatymi a biednymi. Być może nadmiar nowych wrażeń utrudnił mi obserwację, albo też w stolicy starano się ukryć dzielnice nędzy, jeżeli takie rzeczywiście istniały. Widziałem tutaj wielu ludzi w łachmanach, którzy jednak krzyczeli na moją cześć równie głośno jak inni, jeżeli nie głośniej. Zapewne winili Eldrenów za swoją nędzę.

Księżę Bładagh był bliska czterdziestopięcioletnim człowiekiem o żółtej twarzy. Miał długie, obwisłe wąsy i raczej puste spojrzenie. Jego ruchy przywodziły na myśl pedantycznego sępa. Tak jak przypuszczałem okazało się, że nie weźmie udziału w wyprawie, lecz pozostanie na miejscu, "aby bronić miasta", czy też raczej swych bogactw.

– Mój panie – mruknął, gdy wchodziliśmy do pałacu (zauważyłem, że klejnoty na bramie świeciłyby jaśniej gdyby je wyczyścić) – mój pałac jest na twoje usługi. I na twoje także, Erekose. Czego wam potrzeba?

– Proste go, gorącego posiłku – odpowiedział król. Zgodziłem się z nim w duchu. Żadnych bankietów. Mówiłem ci, żebyś nie urządzał wielkich uroczystości, Bładaghu.

– Tak też zrobiłem, mój panie – Bładagh odetchnął z ulgą.

Nie sprawiał wrażenia człowieka, który lubi wydawać pieniądze. Posiłek był prosty, choć niezbyt smaczny. Zjedliśmy go w towarzystwie księcia Bładagha, jego tłustej, głupiej żony Ionante i ich dwojga wychudzonych dzieci, rozbawił mnie kontrast pomiędzy miastem widzianym z daleka, a wyglądem i sposobem życia jego władcy.

Po chwili dowódcy wojsk, które oczekiwały na nas w Noonos już od kilku tygodni przybyli, aby naradzić się z królem i ze mną. Katorn, który przyszedł wraz z nimi, przedstawił zwięzłe plany wojenne, które opracowaliśmy w Necranalu. Wśród przybyłych byli sławni bohaterowie dwóch kontynentów – hrabia Roldero – tęgi arystokrata, którego zbroja była równie dobrze zrobiona jak moja i równie wolna od wszelkich ozdób, książę Malihar i jego brat diuk Ezak, którzy brali udział w wielu wojnach, hrabia Shanura z Karakoa – jednej z najdalszych i najbardziej barbarzyńskich prowincji Shanaura nosił długie włosy zaplecione w trzy warkocze opadające mu na plecy. Jego blada, wychudzona twarz była pokryta licznymi

34

bliznami. Odzywał się rzadko, tylko aby odpowiedzieć na zadane pytania. Różnorodność twarzy i strojów zaskoczyła mnie.

Przynajmniej – pomyślałem – ludzkość na tym świecie była zjednoczona, w przeciwieństwie do świata Johna Dakera.

Ale prawdopodobnie zjednoczyli się tylko czasowo, aby pokonać wspólnego wroga. Ta jedność – pomyślałem – nie przetrwa długo po zwycięstwie. Na przykład hrabia Shanura nie wydawał się zachwycony, że rozkazuje mu król Rigenos, którego prawdopodobnie uważał za słabeusza. Miałem nadzieję, że będę potrafił utrzymać razem tak różnorodną grupę podkomendnych podczas bitew, które miały nastąpić. Gdy zakończyliśmy dyskusję, udało mi się zamienić kilka słów z każdym z zebranych dowódców.

Król Rigenos spojrział na zegar z brązu, który stał na stole. Jego tarcza była podzielona na

szesnaście godzin.

– Wkrótce będzie pora odpłynąć – powiedział – czy statki są gotowe?

– Moje są gotowe od miesięcy – odpowiedział hrabia Shanura opryskliwie – zacząłem się już bać, że zgniją zanim wyruszymy.

Wszyscy zgodzili się, że ich okręty będą gotowe do drogi za niewiele ponad godzinę.

Rigenos i ja podziękowaliśmy Bładaghowi i jego rodzinie za gościnność. Wydawał się zadowolony, że odpływamy. Zamiast uroczystego wymarszu z pałacu udaliśmy się pośpieszenie powozami na molo i natychmiast wsiedliśmy na pokład. Okręt królewski nosił nazwę "Iolinda". Nie zauważyłem tego dotychczas mając głowę pełną myśli o kobiecie o tym samym imieniu. Pozostałe okręty, które przybyły z Necranalu znajdowały się już w porcie. Marynarze wykorzystywali jak mogli krótkie chwile odpoczynku, podczas gdy niewolnicy wnosili na pokład niezbędne zapasy i uzbrojenie.

Wciąż odczuwałem lekką depresję, którą pozostawiły po sobie sny poprzedniej nocy.

Stopniowo ustępowała ona jednak miejsca narastającemu podnieceniu. Czekał nas jeszcze przynajmniej miesiąc żeglugi na Mernadin, ale już nie mogłem doczekać się nadchodzącej walki, która mogła pomóc mi zapomnieć o pozostałych problemach. Przypomniało mi się coś, co Pierre powiedział Andrzejowi w "Wojnie i Pokoju" – że każdy, człowiek znajduje swój sposób żeby zapomnieć o śmierci. Jedni uganiaли się za kobietami, inni uprawiali hazard czy pili, a jeszcze inni – paradoksalnie – wyruszali na wojnę. Jednakże nie strach przed śmiercią mnie prześladował – raczej strach przed nieśmiertelnością – wiecznym życiem wypełnionym nieustanną wojną.

Czy kiedykolwiek poznam prawdę? Nie byłem pewny czy chcę ją znać. Sama myśl o tym przerażała mnie. Być może jakiś bóg czułby się dobrze w takiej roli. Lecz ja nie byłem bogiem. Byłem tylko człowiekiem. Wiedziałem o tym. Moje pragnienia i uczucia były na

ludzką miarę – z wyjątkiem uporczywych pytań – jak to się stało, że jestem tym czym jestem?

Czy naprawdę jestem wieczny? Czy moja egzystencja nie miała początku ani końca? Sama natura czasu wydawała mi się niejasna. Nie mogłem dłużej rozpatrywać czasu w kategoriach linearnych jak John Daker. Nie można było traktować czasu tak, jak przestrzeni.

Potrzebowałem kogoś – filozofa, czarodzieja czy uczonego, kto pomógłby mi rozwiązać ten problem. A może mogłem o nim zapomnieć? Postanowiłem spróbować.

35

Mewy krzyczały zataczając koła nad żaglami wydętymi przez gorący wiatr. Belki trzeszczały, gdy podnoszono kotwicę i zwalniano liny. Wielki okręt flagowy Iolinda powoli dźwignął się z miejsca, Wiosła podnosiły się i opadały coraz szybciej w miarę jak wypływaliśmy na otwarte morze.

Rozdział 10 **PIERWSZE SPOTKANIE Z ELDRENAMI**

Flota była ogromna. Płynęły w niej najróżniejsze rodzaje okrętów. Jedne przypominały znane Johnowi Dakerowi dziewiętnastowieczne klipry, drugie wyglądały jak dżonki. Niektóre płynęły pod łacińskim ożaglowaniem inne przywodziły na myśl elżbietańskie karawele.

Żeglowały w oddzielnych formacjach, stosownie do prowincji, z których pochodziły.

Symbolizowały różnorodność i jedność ludzkości. Byłem z nich dumny. Podnieceni, napięci, czujni i pewni zwycięstwa płynęliśmy do Paphanaalu, który miał nam otworzyć drogę do podboju Mernadinu. Wciąż próbowałem dowiedzieć się czegoś więcej o Eldrenach.

W moich niejasnych wspomnieniach z poprzedniego życia Erekosego mogłem odnaleźć tylko pomieszane obrazy różnych bitew i być może uczucie głębokiego bólu. To wszystko.

Słyszałem, że ich oczy były pozbawione oczodołów, co było główną cechą odróżniającą ich od ludzi. Mówiono, że byli okrutni, nadludzko piękni i mieli nadludzkie apetyty seksualne.

Byli nieco wyżsi niż przeciętny człowiek, mieli długie czaszki, wystające kości palczkowe i

lekkie skośne oczy. To wszystko mi nie wystarczało. Nigdzie na dwóch Kontynentach nie było obrazów przedstawiających Eldrenów. Uważano, że to przynosi pecha, szczególnie jeżeli były przedstawione ich oczy zdolne rzucić urok.

Podczas żeglugi łączność między statkami była ożywiona. Kapitanowie przemieszczali się między swoimi okrętami a "Iolindą" w szalupach lub byli przenoszeni w nosidłach w zależności od pogody. Wypracowaliśmy naszą zasadniczą strategię, a także zgodnie z moją propozycją plany rezerwowe na wypadek, gdyby zawiodła. Ta idea była nieznaną dla pozostałych, jednakże szybko zrozumieli, o co mi chodzi i plany zostały opracowane w najdrobniejszych szczegółach. Codziennie żołnierze na wszystkich statkach ćwiczyli czynności, jakie mieli wykonać podczas spotkania z flotą Eldrenów, gdyby do tego spotkania w ogóle miało dojść, W przeciwnym razie mieliśmy wylądować częścią floty w Paphanaalu i rozpocząć bezpośredni atak na miasto. Jednakże uważaliśmy, że Eldrenowie wyślą swoją flotę przeciwko nam, zanim osiągniemy Paphanaal i na tym założeniu oparte były nasze zasadnicze plany.

Katorn i ja staraliśmy się unikać siebie nawzajem, gdy tylko było to możliwe. W ciągu pierwszych dni żeglugi ani razu nie doszło między nami do utarczki słownej podobnej do tych w Necranalu czy na rzece Droonaa. Gdy zaszła potrzeba rozmowy byłem dla niego uprzejmy i on na swój szorstki sposób był uprzejmy dla mnie. Król Rigenos wydawał się być zadowolony. Powiedział mi, że cieszy się, iż doszliśmy do porozumienia. Oczywiście w rzeczywistości tak nie było. Odłożyliśmy tylko nasz spór do czasu, kiedy będziemy mogli rozstrzygnąć go raz na zawsze. Wiedziałem, że prędzej czy później będę musiał walczyć z Katornem lub też on spróbuje mnie zamordować.

silniejsza niż u innych, John Daker nazwałby tego człowieka reakcjonistą, ale z pewnością spodobałby mu się on. Był to twardy, uczciwy człowiek, który mówił to, co myślał i pozwalał innym na to samo, oczekując od nich tej samej tolerancji, jaką im okazywał. Gdy powiedziałem mu pewnego razu, że widzi wszystko zbyt prosto – w czarnym i białym kolorze – uśmiechnął się blado i odpowiedział: Erekose, przyjacielu, gdybyś widział tyle co ja w czasie mojego życia na tej planecie, byłbyś tego samego zdania, co ja. Ludzi można sądzić tylko po ich czynach, nie po ich zapewnieniach. Ludzie postępują dobrze albo źle, ci którzy czynią zło są źli, a ci którzy czynią dobro są dobrzy.

– Ale ludzie mogą czynić dobro przypadkowo, działając w złych intencjach i na odwrót mogą czynić zło, mimo najlepszych intencji – powiedziałem rozbawiony jego sugestią, że żył dłużej i widział więcej rzeczy niż ja, chociaż myślę, że powiedział to żartem.

– Właśnie – odpowiedział hrabia – powtórzyłeś tylko to, co powiedziałam. Nie ma znaczenia, co ludzie mówią o swoich intencjach. Liczą się tylko skutki ich poczynań. Na przykład Eldrenowie... Przerwałem mu ze śmiechem. – Wiem, jacy niegodziwi są Eldrenowie.

Wszyscy opowiadali mi o ich chytrłości, ich podstępach i ich czarnej magii

– Myślisz, że nienawidzę Eldrenów za to, jacy są? Nie. O ile wiem mogą kochać swoje żony i dzieci i być dobrzy dla zwierząt. Nie twierdzę, że Eldrenowie jako jednostki są potworami. Musimy na nich spojrzeć jak na gatunek, na zagrożenie, jakie stanowią dla nas.

Na tym musimy oprzeć nasz stosunek do nich.

– Na czym polega to zagrożenie? – zapytałem.

– Eldrenowie nie są ludźmi, więc ich interesy są różne, niż interesy ludzi. Dlatego we własnym interesie muszą nas zniszczyć. W tym przypadku, ponieważ Eldrenowie nie są ludźmi, zagrażają nam przez sam fakt swojego istnienia. W ten sam sposób, my zagrażamy im. Oni to rozumieją i chcą nas zniszczyć. My również to rozumiemy i chcemy ich zniszczyć

zanim oni zniszczą nas. Rozumiesz? Ten argument wydawał się wystarczający dla pragmatyka, za którego się uważałem. Jednakże przyszła mi do głowy pewna myśl.

– Zapominasz o czymś Roldero. Sam powiedziałaś, że Eldrenowie nie są ludźmi, tymczasem twierdzisz, że ich dążenia są analogiczne do ludzkich.

– Są żywymi istotami z krwi i kości, tak samo jak my – odpowiedział – zrozum, są takimi samymi zwierzętami jak my i mają te same potrzeby i instynkty.

– Ale wiele gatunków zwierząt żyje ze sobą w pokoju – przypomniałem mu. – Lew nie toczy nieustannej wojny z lampartem. Koń nie wojuje z krową. Rzadko nawet zabijają się wzajemnie, nawet gdy mają ku temu powody.

– Ale robiłyby to – odpowiedział hrabia Roldero nie zniechęcony – gdyby umiały przewidywać wypadki. Gdyby umiały obliczyć jak szybko konkurencyjny gatunek spożywa ich pokarm, rozmnaża się i rozszerza swoje terytorium. Zrezygnowałem. Miałem wrażenie, że obaj znaleźliśmy się na niepewnym gruncie. Siedzieliśmy w mojej kabine podziwiając spokojne wieczorne morze przez otwarty luk. Nalałem hrabiemu wina z mych topniejących zapasów. Przywykłem ostatnio wypijać sporo wina przed położeniem się do łóżka, aby zapewnić sobie odpoczynek nie zakłócany przez sny i wspomnienia. Hrabia opróżnił swój kielich i wstał.

37

– Robi się późno. Muszę wracać na swój okręt, bo inaczej moi ludzie pomyślą, że się utopiłem i upiją się z radości. Widzę, że kończy ci się wino. Następnym razem przyniosę ci bukłak albo dwa. Do widzenia, Erekose. Nie wątpię, że w głębi duszy stoisz po właściwej stronie. Jesteś po prostu zbyt sentymentalny, nie możesz temu zaprzeczyć.

– Uśmiechnąłem się. – Dobranoc, Roldero – podniosłem swój na wpół wypełniony kielich

– Wypijmy za pokój, który zapanuje po końcu tej wojny.

Roldero parsknął śmiechem – Tak, pokój, jak między koniem a krową.

Wyszedł śmiejąc się. Rozebrałem się i upadłem pijany na koję śmiejąc się głupkowato z pożegnalnego zdania Roldera. Jak między koniem a krową. Racja. Kto chciałby tak żyć.

Naprzód, na wojnę. Wyrzuciłem puchar przez otwarty luk i zasnąłem natychmiast, gdy tylko zamknąłem oczy.

Tej nocy śniłem o kielichu, który wyrzuciłem przez luk. Widziałem, jak tańczy na falach błyszcząc złotem i klejnotami, widziałem jak prąd znosi go daleko od floty, do odludnego miejsca, gdzie nigdy nie docierają statki, skąd nie widać lądu, jak unosi się przez wieki na pustym morzu. Przez cały miesiąc naszej podróży morze było spokojne, wiatry sprzyjające i pogoda, ogólnie rzecz biorąc, piękna. Podniosło nas to na duchu. Uznaliśmy pogodę za szczęśliwy znak. Wszyscy byliśmy w wesołym nastroju. To znaczy wszyscy oprócz Katorna, który utyskiwał, że może to być cisza przed burzą i te powinniśmy oczekiwać wszystkiego najgorszego od Eldrenów, gdy ich w końcu spotkamy.

– Są sprytni – mówił – Te bydlaki są sprytne. Może już wiedzą, że przybywamy i przygotowują dla nas jakąś niespodziankę. Nawet ta pogoda może być ich sprawką.

Nie mogłem nie roześmiać się w głos usłyszawszy to. Katorn opuścił pokład zagniewany.

– Przekonasz się, Ereko – powiedział na pożegnanie – już wkrótce się przekonasz.

Następnego dnia nadeszła okazja, aby się przekonać. Według naszych map zbliżaliśmy się do wybrzeży Mernadinu. Wystawiliśmy więcej obserwatorów, ustawiliśmy flotę Ludzkości w szyku bojowym, dokonaliśmy przeglądu naszego uzbrojenia i zmniejszyliśmy prędkość, czas dłużył się nam, gdy czekaliśmy, okręt flagowy na samym czele floty unosił się na falach, wiosła były uniesione, żagle zrefowane. Zbliżało się południe. Nagle człowiek na bocianim gnieździe krzyknął przez tubę.

– Statki przed nami. Pięć żagli.

Rigenos, Katorn i ja stanęliśmy na dziobie wpatrując się przed siebie. Spojrzałem na króla zdziwiony. Pięć statków? Tylko pięć? Rigenos potrząsnął głową.

– Może to nie Eldrenowie.

– Na pewno Eldrenowie – mruknął Katorn. – Kogo jeszcze można spotkać na tych wodach? Żadni ludzie nie handlują z tymi potworami. Znowu dobiegł nas okrzyk z bocianiego gniazda.

– Dziesięć żagli. Dwadzieścia. Cała flota. To Eldrenowie. Płyną prosto na nas.

Teraz i ja ujrzałem biały blask na horyzoncie. Czyżby to były fale? Nie. To z pewnością żagiel.

– Spójrzcie. Tam. – wskazałem.

Król Rigenos osłonił oczy dłonią wyrażając wzrok.

– Nic nie widzę. Wydawało ci się. Niemożliwe, żeby przybyli tak szybko.

38

Katorn również spoglądał naprzód.

– Tak. Widzę żagiel. Są już. Na łuski boga morza. To znowu ich obmierzłe czary. Nie widzę innego wytłumaczenia.

– Ich okręty są lżejsze od naszych – wtrącił król Rigenos z niedowierzaniem – i płyną z wiatrem.

– Być może nasz rację panie – Odburknął Katorn bez przekonania.

– Czy używali już kiedyś czarów – zapytałem go. Skoro uwierzyłem w to, co stało się ze mną, byłem gotowy uwierzyć we wszystko.

– Tak – Katorn splunął – wiele razy. Wszystkich rodzajów. Uff. Czuję smród ich czarów w powietrzu.

– Kiedy? – Zapytałem go – i jakich. Chcę to wiedzieć, żeby móc podjąć środki zaradcze.

– Potrafią uczynić siebie niewidzialnymi. Podobno w ten sposób zdobyli Paphanaal.

Potrafią chodzić po wodzie i unosić się w powietrzu.

– Widziałeś to?

– Osobiście nie. Ale słyszałem o tym wiarygodne opowieści od ludzi, którzy nigdy nie kłamią.

– A ci ludzie widzieli czary Eldrenów na własne oczy?

– Nie, ale znali tych, którzy widzieli.

– Tak więc Eldreńska magia pozostaje w sferze pogłosek – odpowiedziałem.

– Mów, co chcesz – krzyknął Katorn – Jak możesz mi nie wierzyć ty, który samo swe istnienie zawdzięczasz czarom. Jak myślisz, dlaczego poparłem pomysł wezwania ciebie, Ereko? Dlatego, że uważałem, że potrzebujemy czarów silniejszych niż czary Eldrenów.

Może powiesz, że miecz, który masz u boku nie jest czarnoksiężką bronią? Wzruszyłem

ramionami. – Poczekamy, zobaczymy. Król krzyknął do marynarza na bocianim gnieździe –

Jak wielka jest ich flota?

– Połowa naszej, mój panie – odkrzyknął głosem zniekształconym przez tubę – Z

pewnością nie więcej. Myślę, że to już wszystko. Nikt więcej nie nadpływa.

– Wydaje mi się, że nie zbliżają się do nas – szepnąłem do króla – spytaj go, czy się poruszają.

– Czy flota Eldrenów zatrzymała się? – krzyknął król.

– Tak mój panie. Nie zbliżają się do nas i wydaje się, że zwijają żagle.

– Czekają na nas – mruknął Katorn – chcą żebyśmy zaatakowali pierwsi. W porządku. My też na nich zaczekamy.

Skinąłem głową – To właśnie mamy zamiar zrobić.

Tak więc czekaliśmy, aż słońce zaszło i zapadła noc. Na horyzoncie widać było srebrne

błyski, które równie dobrze mogły być falami, jak okrętami. Okręty naszej floty wymieniały między sobą pośpieszne rozkazy przenoszone przez pływaków. Czekaliśmy nadal, śpiąc ile mogliśmy, wciąż niepewni czy Eldrenowie zaatakują.

Leżałem nie śpiąc w swojej kabinie, starając się zachować siły na następny dzień. Na pokładzie słychać było kroki Katorna. Z nas wszystkich on oczekiwał bitwy z największą niecierpliwością. Miałem wrażenie, że gdyby to zależało od niego, ożaglowalibyśmy wprost na Eldrenów wyrzucając za burtę nasze starannie opracowane plany. Ale, na szczęście to ja

39

podejmowałam decyzje. Nawet król Rigenos nie miał prawa zmieniać moich rozkazów, poza wyjątkowymi okolicznościami. Leżałem, nadaremnie próbując zasnąć. Widziałem już żagle Eldrenów, ale wciąż nie miałem pojęcia jak wyglądają same okręty, ani jakie wrażenie wywrą na mnie ich załogi. Leżałam czekając niecierpliwie na bitwę. Flota o połowę mniejsza od naszej. Uśmiechnąłem się, nie czując radości. Wiedziałem, że zwyciężymy. Kiedy Eldrenowie zaatakują? Może nawet dziś w nocy. Katorn powiedział, że kochają noc. Było mi to obojętne. Chciałem walczyć. Potężna żądza bitwy wzbierała we mnie. Chciałem walczyć.

Rozdział 11 **POJEDYNEK FLOT**

Upłynął cały dzień i następna noc, a Eldrenowie wciąż pozostawali na horyzoncie. Czyżby chcieli nas zmęczyć lub zdenerwować? Być może przeraziła ich wielkość naszej floty? A może po prostu ich plany opierały się na założeniu, że to my zaatakujemy pierwsi? Drugiej nocy udało mi się zasnąć. Nie był to pijacki sen, do którego bytem ostatnio przyzwyczajony. Nie miałem już nic do picia. Hrabia Roldero nie miał okazji przynieść mi swoich bukłaków. Moje sny były gorsze niż kiedykolwiek przedtem. Widziałem całe światy ogarnięte wojną, niszczone w bezsensownych bitwach. Widziałem Ziemię, ale była to Ziemia pozbawiona księżyca. Nie obracała się wokół osi – połowa skąpana w świetle słonecznym, połowa ukryta

w wiecznej ciemności rozświetlanej tylko gwiazdami. Trwała ta wojna. Wykonywałem absurdalną Misję, której omal nie przypłaciłem życiem. Jak miałem na imię – Clarvis? Coś w tym rodzaju. Starłem się zapamiętać swoje imiona, lecz niemal zawsze umykały mi. Wydaje mi się, że były one najmniej ważną częścią snów.

Znowu widziałem inną Ziemię – tak starą, że nawet morza zaczęły na niej wysychać.

Jechałem przez mroczny krajobraz pod małym słońcem i rozmyślałem o czasie. Starłem się skupić na tym śnie, halucynacji czy wspomnieniu, cokolwiek to było. Wydawało mi się, że tutaj znajdę klucz do tego, czym byłem i gdzie zaczęła się moja historia. Następne imię Chronarch. Umknęło mi. Poczulem, że ten sen nie miał większego znaczenia niż inne. Nagle urwał się.

Byłem w mieście, stałem przy wielkim samochodzie, w ręku trzymałem osobliwy pistolet.

Z samolotów spadały bomby niszcząc miasto. Zapaliłem cygaro Upmanna. Obudziłem się, aby niemal natychmiast znowu zapaść w sen. Wędrowałem oszalały poprzez stalowe korytarze, za ich ścianami była próżnia. Ziemia była daleko. Stalowa maszyna, w której się znajdowałem mknęła ku gwiazdom. Byłem zrozpaczony. Prześladowały mnie myśli o mojej rodzinie. John Daker? Nie John...

I wtedy, jakby po to, aby zdezorientować mnie do końca zaczęły pojawiać się nazwy.

Widziałem i słyszałem. Były napisane różnymi hieroglifami, recytowane w wielu językach. Aubec. Byzantium. Cornelius. Colvin. Bradbury. London. Melnibone. Hawkmoon. Lanjis Liho. Powys. Marca. Elric. Muldoon. Dietrich. Arflane. Simon. Kane. Allard. Corom. Traven. Ryan. Asguinol. Pepin. Seward. Mennell, Tallow. Hallner. Koeln...

Coraz więcej nazw i imion. Obudziłem się z krzykiem. Był poranek. Zerwałem się z koi i zimną wodą zmyłem pot z ciała. Dlaczego się nie zaczyna? Dlaczego? Wiedziałem z całą

pewnością, że gdy tylko walka się rozpocznie sny natychmiast znikną. Nagle drzwi mojej kajuty otworzyły się na oścież. Wszedł sługa.

– Panie...

Słychać było dźwięk trąb i odgłosy stóp biegnących ludzi.

– Panie, nieprzyjaciel nadciąga.

Z wielkim westchnieniem ulgi założyłem ubranie. Wskoczyłem w zbroję tak szybką, jak tylko mogłem i przypasałem miecz. Wybiegłem na pokład, gdzie stał król Rigenos w swojej zbroi. Jego twarz była posępna. Wszędzie wzniesiono flagi wojenne. Było słychać krzyki, trąby warczały jak metalowe bestie. Zaczęto bić w bębny. Teraz już widziałem wyraźnie, że okręty Eldrenów zbliżyły się.

– Nasi dowódcy są gotowi – szepnął król w napięciu – spójrz, okręty już zajmują wyznaczone pozycje.

Patrzyłem z przyjemnością, jak flota ustawiała się zgodnie z naszym staraniem przygotowanym planem. Teraz, jeżeli tylko Eldrenowie będą postępować tak, jak przewidzieliśmy, zwyciężymy z pewnością. Spojrzałem do przodu na zbliżające się okręty Eldrenów. Zachwyciło mnie ich niespotykane piękno. Unosiły się na falach jak delfiny. To nie są delfiny – pomyślałem – to rekiny. Rozszarpiają nas wszystkich, jeśli zdołają. Zaczynałem rozumieć podejrzliwość Katorna w stosunku do Eldrenów. Gdybym nie wiedział, że mam przed sobą wroga, który zamierza nas zniszczyć stanąłbym w miejscu porażony zachwytem. W przeciwieństwie do naszych, okręty Eldrenów nie miały wiosel. Pływały tylko pod żaglami – przezroczystymi żaglami na smukłych masztach. Ich białe kadłuby jaśniały na nieco ciemniejszym tle fal, gdy mknęły bez wytchnienia w naszą stronę. Przyjrzałem się dokładnie ich uzbrojeniu. Mieli działa, ale nie tak liczne jak my. Były srebrzyste i smukłe. Gdy patrzyłem na nie, obawiałem się ich mocy. Katorn zbliżył się do nas.. Uśmiechał się z

zadowoleniem.

– Tak – mruknął – Widzisz ich działa Erekoze? Strzeż się ich. To są magiczne działa, uwierz mi.

– Magiczne? Co masz na myśli?

Odszedł już, pokrzykując na ludzi przy żaglach. Zauważyłem drobne figurki na pokładach nieprzyjacielskich statków. Widziałem ich nieludzkie twarze, ale z tej odległości nie mogłem dostrzec żadnych szczegółów. Poruszali się szybko po pokładach, podczas gdy ich okręty płynęły, w naszą stronę.

Nasza flota ustawiła się już zgodnie z planem. Okręt flagowy zajął swoją pozycję. Sam wydałem rozkaz, aby zakotwiczyć. Czekaliśmy na okręty – rekiny mknące w naszą stronę. Tak, jak zaplanowaliśmy nasza flota ustawiła się w kwadrat o trzech bokach mocnych, a czwartym, zwróconym w stronę Eldrenów, słabym. Najdalszy bok kwadratu składał się z około stu najeżonych armatami okrętów połączonych rufami. Pozostałe dwie mocne strony miały również około sto okrętów każda i były ustawione w takiej odległości od siebie, aby nie mogły pozatapiać się wzajemnie wystrzałami z dział. Ta ściana kwadratu, którą mieli zaatakować Eldrenowie była cieńsza – dwadzieścia pięć okrętów.. Chcieliśmy, aby nieprzyjaciel odniósł wrażenie, że jesteśmy ściśle zamkniętą kwadratową formacją z kilkoma okrętami w środku, które płynęły pod królewskimi sztandarami. Eldrenowie mieli wziąć je za

41

okręt flagowy i jego eskortę. Była to przynęta. Prawdziwy okręt flagowy, w którym się znajdowałem, opuścił tymczasowo swoje flagi i stał ukryty w prawej ścianie kwadratu. Eldrenowie podpływali coraz bliżej i bliżej.

Wydawało się, że Katorn mówił prawdę. Okręty wyglądały, jakby unosiły się w powietrzu a nie płynęły po falach. Moje ręce zaczęły się pocić. Czy połkną przynętę? Mój plan wydał

się oryginalny pozostałym dowódcom, co znaczyło, że nie był to tak powszechnie znany manewr, jak w niektórych okresach ziemskiej historii. Gdyby się nie udał utraciłbym resztkę zaufania Katorna, nie poprawiłoby to również z pewnością mojej pozycji wobec króla, którego córkę zamierzałem poślubić. Nie było teraz, czasu martwić się o to. Czekałem. Eldrenowie połączyli przynętę. Z hukiem dział ich flota ustawiona w trójkątną formację przedarła się przez cienką ścianę naszych okrętów i płynąc dalej siłą rozpędu znalazła się w okrążeniu.

– Podnieście flagi – krzyknąłem do Katorna – podnieście flagi. Niech ujrzą sprawcę swojej klęski.

Katorn wydał rozkazy. Najpierw wciągnięto mój sztandar – srebrny Miecz na czarny polu, następnie sztandar królewski. Ruszyliśmy naprzód by zamknąć pułapkę i zmiażdżyć Eldrenów. Wtem zdali sobie sprawę, że zostali oszukani.

Nigdy przedtem nie widziałem statków manewrujących z taką łatwością. Niewiele mniejsze od naszych okrętów miały się szukać przejścia w ścianach pułapki. Ale przejścia nie było. Zadbalem o to. Działa Eldrenów zagrzmiały donośnie, wyrzucając ogniste kule. Czy to Katorn nazywał Magią? Ich amunicja przypominała raczej bomby zapalające niż kule armatnie, jakich używaliśmy wy. Kule ogniste śmigły w powietrzu jak komety. Wiele naszych okrętów stanęło w ogniu. Palily się z głośnym trzaskiem, powoli pożerane przez rekiny. Ale te rekiny zostały schwytane w sieć, z której nie mogły się wyrwać. Nieubłaganie zaciskaliśmy pułapkę. Nasze działa miały ciężkie żelazne pociski, które rozbijały białe kadłuby, pozostawiając czarne ziejące rany, łamały smukłe maszty i strącały reje.

Przezroczyście żagle opadały bezsilnie w dół jak skrzydła umierających ciem. Nasze olbrzymie okręty o ciężkich belkach okutych blachą i ciemnych wydętych żaglach ruszyły naprzód, aby zmiażdżyć przeciwnika wzburzając wodą swoimi potężnymi wiosłami.

Flota Eldrenów podzieliła się na dwie punkty. Niektórym udało się przebić na zewnątrz, ale byliśmy na to przygotowani i nasze okręty z łatwością schwytały je. Flota Eldrenów podzieliła się na drobne grupki, co uczyniło nasze zadanie łatwiejszym. Nieubłaganie podążaliśmy za nimi, aby ich zmiażdżyć. Niebo wypełniło się dymem, na morzu unosiły się płonące wraki, słychać było krzyki rannych i zawołania bojowe, gwizd pocisków Eldrenów oraz ryk naszych dział.. Pociłem się cały z powodu bliskości ognia. Moja twarz pokryta była warstwą popiołu i smaru. Od czasu do czasu migąła mi przed oczyma napiętą twarz Eldrena. Zachwycało mnie ich piękno. Obawiałem się, że przedwcześnie święciliśmy zwycięstwo. Mieli na sobie lekkie zbroje, poruszali się po pokładach z gracją zawodowych tancerzy, ich srebrne działa nie przestawały bombardować naszych okrętów ani na chwilę. Gdziekolwiek padały kule ogniste pokłady stawały natychmiast w gwałtownym, wszystko pochłaniającym ogniu. Zielononiebieskie płomienie pochłaniały metal z równą łatwością jak drewno.

42

Wychyliłem się przez poręcz na dziobie, starając się ujrzeć coś przez piekący dym. Tuż przed nami ujrzałem okręt Eldrenów.

– Przygotować się do taranowania – krzyknąłem.

Tak jak większość naszych okrętów "Iolinda" miała okuty żelazem taran tuż poniżej linii zanurzenia. Teraz nadeszła okazja, aby go użyć. Widziałem eldreńskiego kapitana na jego stanowisku na rufie, jak wydawał rozkaz obrócenia okrętu. Było już jednak za późno, nawet dla szybkich Eldrenów. Rzuciliśmy się na ich okręt i z potężnym trzaskiem uderzyliśmy w jego bok. Żelazo i drewno pękły z trzaskiem, fale strzeliły w górę. Straciłem grunt pod nogami i uderzyłem w maszt. Gdy wstałem na nogi ujrzałem, że okręt Eldrenów pękł na dwoje. Patrzyłem na to z mieszaniną przerażenia i zachwytu. Nie zdawałem sobie sprawy z brutalnej siły "Iolindy". Po obu jej stronach połowy nieprzyjacielskiego okrętu unosiły się w

górze na wodzie i zaczęły iść na dno. Przerażenie, które malowało się na mojej twarzy nie ustępowało przerażeniu eldreńskiego kapitana, który starał się ustać prosto na swoim pochyłym się mostku, podczas, gdy jego ludzie rzucali się z wyciągniętymi ramionami w czarne wzburzone morze pełne już pływających zwłok i szczątków okrętów. Morze szybko połknęło smukły statek. Usłyszałem za sobą szyderczy śmiech Rigenosa. Odwróciłem się. Jego twarz pokryta była sadzą. Patrzył dziko swymi przekrwionymi oczyma. Jego żelazna korona sterczała przekrzywiona na hełmie. Śmiał się szaleńczo, triumfująco.

– Dobra robota, Erekose. Najlepszy sposób postępowania z tymi bydlakami. Rozwalić ich na kawałki i posłać na dno morza. Tam będą bliżej swego pana – Władcy Piekła. Katorn wspiął się do nas na górę. On również był rozradowany.

– Muszę ci to przyznać, Erekose. Pokazałeś nam, że umiesz zabijać Eldrenów.

– Umiem zabijać różne istoty – odpowiedziałem spokojnie. Ich zachowanie nappełniło mnie niesmakiem. Podziwiałem odwagę eldreńskiego kapitana. – Po prostu wykorzystałem okazję – odpowiedziałem – to żadna sztuka. Taki wielki okręt może z łatwością staranować mniejszy. Nie mieliśmy czasu na dalszą dyskusję. Nasz okręt posuwał się po morzu pokrytym szczątkami, otoczony pomarańczowymi językami ognia, Wkoło słyhać było krzyki. Gęsty dym zasłaniał widoczność we wszystkich kierunkach, tak że nie można było powiedzieć, jak powodzi się naszej flocie.

– Musimy wydostać się stąd na czyste morze – powiedziałem – załogi naszych okrętów muszą wiedzieć, że nic się nam nie stało. Katornie, wydaj rozkazy.

– Tak jest. – Katorn powrócił do swych obowiązków.

Głowa bolała mnie od zgiełku bitwy. Wszystko stało się jedną ścianą hałasu, jedną falą dymu i ognia. Nad morzem unosił się zapach śmierci. Wszystko to wydawało mi się dobrze znajome. Do tej pory moja taktyka opierała się na rozumowaniu, a nie instynkcie. Teraz

jednak stare instynkty wzięły górę. Wydawałem rozkazy nie zastanawiając się ani chwili. Byłem pewien, że są to odpowiednie rozkazy. Nawet Katorn wydawał się je akceptować. Tak było z rozkazem staranowania eldreńskiego statku. Nie zastanawiałem się ani przez chwilę. Prawdopodobnie na szczęście.

Cieżko pracując wiosłami "Iolinda" wydostała się z kłębowiska dymu. Jej trąby i bębny oznajmiły reszcie floty naszą obecność. Z najbliższych okrętów słychać było okrzyki radości, gdy wypłynęliśmy na stosunkowo wolną przestrzeń. Niektóre z naszych okrętów nawiązały

43

już walkę z jednostkami Eldrenów przystępując do abordażu. Potężne haki naszych łańcuchów łamały maszty, rozdierały żagle, urywały ręce i nogi. Nasze olbrzymie okręty przyciągały do siebie mniejsze statki Eldrenów, tak jak wielorybnicy wciągają na pokład na wpół martwą ofiarę. Łucznicy usadowieni na masztach zaczęli strzelać do siebie nawzajem. Dziury uderzały o pokład przebijając zbroje wojowników obydwu stron, obalając ich na deski. Huk dział był wciąż słyszalny, lecz nie był to już nieustanny łoskot. Strzały stały się rzadsze, zastąpił je szcęk mieczy i krzyki żołnierzy walczących ze sobą twarzą w twarz. Dym unosił się nad polem bitwy jak ostre, palące kwiaty. Patrząc przez mrok na zielony, pokryty szczątkami ocean zauważyłem, że grzbiety fal nie były już białe. Były czerwone. Morze pokryte było warstwą krwi. Gdy nasz okręt ruszył naprzód, aby dołączyć do bitwy, ujrzałem w wodzie twarze zabitych ludzi i Eldrenów patrzące na mnie ku górze. Na wszystkich malował się wyraz zdumienia i żalu. Po chwili udało mi się przestać zwracać na nie uwagę.

– Mówi król Rigenos i nieśmiertelny Erekose, wasz pradawny nieprzyjaciel, który powrócił, aby was pokonać. Na razie chcemy mówić z waszym dowódcą w ramach zwyczajowego rozejmu – ryknął król Rigenos ze swojego pokładu w stronę Eldrena, który

patrzył na niego swymi niezwykłymi oczyma, równie teraz czerwonymi od dymu jak nasze.

Spod płóciennego dachu na mostku kapitańskim wyłonił się wysoki mężczyzna. Poprzez dym ujrzałem niewyraźnie złocistą twarz o ostrych rysach. Oczy o barwie mleka, usiane niebieskimi plamkami, patrzyły smutno spod skośnych brwi. Niezwykły, melodyjny głos rozległ się ponad falami.

– Jestem diuk Baynahn, dowódca floty Eldrenów. Nie będziemy z wami zawierać skomplikowanych układów. Jeżeli pozwolicie teraz nam odpłynąć zaprzestaniemy walki.

– Co to za łaska – uśmiechnął się Rigenos.

– Wie, że jest skazany – mruknął Katorn. Rigenos parsknął śmiechem.

– Twoja propozycja wydaje mi się cokolwiek naiwna – krzyknął do diuka. Baynahn wzruszył ramionami

– Więc kończmy z tym – westchnął. Uniósł rękę, aby wydać rozkaz swoim łucznikom.

– Zaczekaj chwilę – krzyknął Rigenos – jeśli chcesz oszczędzić swoich ludzi jest inny sposób.

Baynahn opuścił powoli rękę.

– Co znowu? – w jego głosie słychać było ostrożność.

– Jeśli wasz władca Arjavh z Mernadinu jest na pokładzie, tak jak powinien, niech wystąpi, aby stoczyć pojedynek z Erekosem wodzem naczelnym Ludzi. – Król Rigenos rozpostarł ręce. – Jeśli Arjavh zwycięży, będziecie mogli odejść w pokoju, jeśli zwycięży Erekose, staniecie się naszymi jeńcami.

Diuk Baynahn założył ręce na piersi.

– Muszę wam powiedzieć, że książe Arjavh nie zdążył do Paphanaalu na czas, aby popłynąć z naszą flotą. Jest na zachodzie – w Loos Ptokai.

Król Rigenos odwrócił się w stronę Katorna – Zabij go Katornie – powiedział spokojnie.

Diuk Baynahn mówił: – Jednakże jestem gotów walczyć z waszym wodzem, jeżeli...

– Nie – krzyknąłem do Katorna – stój. Rigenosie to niehonorowe, trwa rozejm.

44

– Erekose, tępienie robactwa nie jest kwestią honoru. Wkrótce to pojdziesz. Katornie, zabij go.

Diuk Baynahn zmarszczył brwi, wyraźnie zdziwiony naszą dyskusją, starając się uchwycić z niej choć słowo.

Rozdział 12 **ZŁAMANY ROZEJM**

Staranowaliśmy jeszcze dwa okręty nie odnosząc sami prawie żadnej szkody. "Iolinda" poruszała się po polu bitwy jak pełen godności olbrzym przekonany o własnej niezniszczalności. Nagle król Rigenos wybałuszył oczy wskazując na coś palcem. Jego otwarte usta wyglądały jak czerwona plama na czarnej pokrytej sadzą twarzy.

– Patrz Erekose. Tam. – Widziałem przed nami wspaniały okręt Eldrenów, ale nie miałem pojęcia, dlaczego król go wskazał.

– To jest okręt flagowy, Erekose – powiedział Rigenos – okręt flagowy Eldrenów.

Możliwe, że ich wódz jest na pokładzie. Jeśli ten przeklęty sługa Azmobaany jest na tym okręcie zniszczymy go. Wtedy nic już nie odbierze nam zwycięstwa. Oby księżę Eldrenów był na pokładzie, módl się o to Erekose.

– Chciałbym zastrzelić go osobiście – warknął Katorn za naszymi plecami. Miał w swych rękach ciężką kuszę. Głaskał jej nasadę tak, jak inny człowiek głaskałby ulubioną kotkę.

– Niech księżę Arjavh tam będzie. Niech tam będzie. – szepnął król Rigenos z tęsknotą.

Nie zwracając na tych dwóch wielkiej uwagi rozkazałem przygotować łańcuchy do abordażu. Szczęście nadał nam sprzyjało, "Iolinda" uniosła się na falach w najbardziej odpowiednim momencie, tak, że opadając otarliśmy się o okręt Eldrenów ustawiając go w

pozycji, w której nasze łańcuchy mogły z łatwością, go sięgnąć. Żelazne haki wbiły się w pokład, owinęły wokół masztów, zahaczyły o poręcze. Okręt Eldrenów był teraz przywiązany do naszego. Trzymaliśmy go w uścisku jak mężczyzna trzyma swą kochankę. Śmiech triumfu pojawił się na mej twarzy.

Poczułem na ustach słodki smak zwycięstwa, najśłodszy smak na świecie. Skinąłem na sługę, aby wytarł mi twarz wilgotną ścierką. Ja, Ereko, wyprężyłem się dumnie na pokładzie. Tuż za mną po prawej stronie stał król Rigenos. Po lewej stanął Katorn. Nagle poczułem uczucie wspólnoty z nimi. Spojrzałem dumnie w dół, na pokład Eldrenów. Ich żołnierze wyglądali na wyczerpanych, stali jednak z łukami gotowymi do strzału, podniesionymi tarczami i mieczami w dłoniach. Patrzyli na nas w milczeniu, nie starając się przeciąć lin. Czekali aż zrobimy pierwszy ruch. Gdy spotykają się dwa okręty flagowe zawsze następuje krótka przerwa w walce, tak żeby obaj dowódcy mogli przemówić i jeśli tak zdecydują, zawrzeć rozejm i ustalić jego warunki.

– Będę walczył z waszym Ereko – powiedział – zgadzacie się?

Katorn uniósł kuszę, strzała zafurkotała w powietrzu. Usłyszałem cichy jęk, gdy wbiła się w gardło Eldreńskiego dowódcy. Spróbował jeszcze sięgnąć rękę w kierunku drgającego grotu. Oczy zaszyły lnu mgłą. Upadł. Rozwścieczyła mnie zdrada, której dopuścił się ten, który tak czysto ostrzegał nas przed zdradą Eldrenów. Nie było jednak czasu na protesty, gdyż

45

strzały Eldrenów posypały się w naszą stronę. Musiałem zapewnić nam ochronę i poprowadzić atak abordażowy przeciw zdradzonej załodze nieprzyjacielskiego okrętu, chwyciłem zwisającą linę i wyciągnąłem miecz. Choć wciąż pełen byłem gniewu przeciwko Katornowi i królowi, słowa same popłynęły mi z ust.

– Za Ludzkość – krzyknąłem – śmierć Psom Zła.

Skoczyłem w dół. Gorące powietrze uderzyło mnie w twarz podczas lotu. Wylądowałem wśród Eldrenów, za mną ryczący żołnierze Ludzkości. Zaczęła się walka. Moi żołnierze starali się trzymać jak najdalej ode mnie, gdy miecz Kanajana zadawał Eldrenom białe rany, zabijając nawet tych, których tylko lekko dotknął. Wielu nieprzyjaciół zginęło pod ciosami mojego miecza, ale nie odczuwałem radości, gdyż wciąż żyła we mnie wściekłość spowodowana czynami moich ludzi, a poza tym zabijanie Eldrenów nie wymagało żadnego wysiłku, gdyż byli załamani śmiercią swego wodza i ledwie żywi ze zmęczenia. Tym niemniej walczyli dzielnie. Wydawało się, że ich smukłe statki miały załogę liczniejszą niż przewidywałem. Długogłowi Eldrenowie, świadomi, że dotyk mojego miecza jest śmiertelny rzucali się na mnie z desperacką odwagą. Wielu z nich miało topory o długiej rękojeści, którymi rzucali we mnie z bezpiecznej odległości. Mój miecz nie był ostrzejszy niż inne i choć uderzałem nim w topory nie udawało mi się ich rozłupać. Wciąż musiałem uchylać się przed ich wirującymi ostrzami.

Młody, złotowłosy Eldren skoczył na mnie wywijając toporem. Uderzył mnie w bark tak, że straciłem równowagę. Zatoczyłem się, starając się ustać na nogach na pokrytym krwią pokładzie. Topór uderzył mnie jeszcze raz w napierśnik. Zachwiałem się. Przysiadłem, zanurkowałem poniżej topora i ciąłem Eldrena w nieosłonięty nadgarstek. Wydał z siebie osobliwy jęk i umarł. "Trucizna" na ostrzu jeszcze raz wykonała swoje zadanie. Nadal nie rozumiałem, w jaki sposób metal może być zatruty, nie miałem jednak wątpliwości, co do skuteczności tej trucizny. Cały posiniaczony stanąłem na równe nogi. Zadrzałem patrząc na młodego dzielnego Eldrena, który leżał u moich nóg. Potem spojrzałem na siebie. Widziałem, że zwyciężamy. Ostatnia garstka Eldrenów broniła się jeszcze na głównym pokładzie wokół swego sztandaru przedstawiającego srebrnego bazyliiszka Mernadinu na szkarłatnym polu. Powlokłem się z trudem w kierunku walczących. Eldrenowie bronili się do ostatniego

żołnierza. Wiedzieli, że ze strony ludzi nie mogą liczyć na żadne miłosierdzie.

Zatrzymałem się. Moja pomoc nie była potrzebna. Schowałem miecz do pochwy i patrzyłem na topniejącą garstkę Eldrenów. Aczkolwiek wszyscy byli ciężko ranni, walczyli aż do śmierci. Rozejrzałem się wokół. Na obydwu okrętach panowała głęboka cisza, choć w oddali słychać jeszcze było huk dział. Wtem Katorn, który dowodził atakiem na niedobitki Eldrenów zerwał ich sztandar z bazyliszkiem i rzucił go w kałuże płynącej krwi. Deptał flagę w furii aż stała się nie do rozpoznania.

– Tak zginą wszyscy Eldrenowie – krzyczał w szaleńczym triumfie – Wszyscy. Wszyscy. Wszyscy.

Po dokonaniu tego zbiegł pod pokład w poszukiwaniu łupów. Znowu zapanował cisza.

Rozpraszający się dym uniósł się w górę zasłaniając słońce. Po zdobyciu okrętu flagowego bitwa była praktycznie zakończona. Nie wzięliśmy ani jednego jeńca. W oddali nasi zwycięscy żołnierze podpalali eldreńskie okręty. Wydawało się, że ani jeden z nich nie ocalał.

46

Również wiele naszych okrętów zostało zniszczonych. Niektóre płonęły jeszcze, zanurzając się powoli pod wodę. Obie floty były rozsiane na znacznym obszarze morza pokrytego dywanem szczątków i zwłok, co sprawiało wrażenie, że ocalałe statki są uwięzione w nich jak w Morzu Sargassowym. Ja przynajmniej czułem się uwięziony. Chciałem opuścić to miejsce tak szybko, jak to tylko będzie możliwe. Zapach śmierci dławił mnie. Nie taką bitwę spodziewałem się stoczyć. Nie taką sławę pragnąłem zyskać. Katorn wynurzył się spod pokładu. Na jego ciemnej twarzy widniał uśmiech zadowolenia.

– Wracasz z pustymi rękami? Z czego się tak cieszysz? – Wytarł ręką usta.

– Diuk Baynahn miał ze sobą swoją córkę.

– Czy ona żyje?

– Już nie... – Przeszedł mnie dreszcz. Katorn uniósł głowę i rozejrzał się wkoło.

– No, skończyliśmy z nimi. Wydam rozkaz, żeby podpalono pozostałe okręty.

– To marnotrawstwo. Możemy zastąpić nimi te, które utraciliśmy.

– Nigdy nie będziemy używać ich przeklętych statków – odpowiedział wykrzywiając usta
j oddalił się w kierunku burty, pokrzykując do swych ludzi, aby wracali z nim na nasz okręt.

Udałem się powoli za nim. Spojrzałem jeszcze tam, gdzie wciąż leżało ciało zdradzonego
diuka Baynahna ze strzałą sterczącą z jego szczupłej szyi. W końcu wdrapałem się na pokład
"Iolindy" i wydałem rozkaz żeby odciąć te haki, których nie można było wydobyć. Przywitał
mnie król, który nie brał udziału w walce.

– Świetnie się spisales, Ereko. Mogłeś zdobyć ten okręt sam jeden.

– Mogłem – odpowiedziałem mu – Mogłem zdobyć w pojedynkę całą flotę.

Roześmiał się – Całą flotę. Jesteś zanadto pewny siebie.

– Tak. Był na to sposób.

– Jaki? – Zmarszczył brwi.

– Gdybyście pozwolili mi walczyć z diukiem Baynahnem, tak jak tego chciał. Można było
ocalić wiele ludzi i okrętów. Naszych ludzi. Naszych okrętów.

– Czyżbyś był gotów mu zaufać? Eldrenowie zawsze mają jakąś sztuczkę na podorędziu.

Gdybyś zgodził się na jego plan, musiałbyś wejść na pokład ich statku, gdzie przeszłyby cię
setka strzał. Uwierz mi, Ereko, im nie można ufać. Nasi przodkowie pozwolili się oszukać i
spójrz jak teraz musimy przez to cierpieć.

Wzruszyłem ramionami. – Może masz rację.

– Oczywiście, że mam rację. – Król odwrócił głowę i krzyknął w stronę załogi – Podpalić
te przeklęte statki. Szybciej, wy barany. Król Rigenos był w dobrym humorze. W bardzo
dobrym humorze. Patrzyłem jak w kierunku bel z łatwopalnych materiałów umieszczonych

na eldreńskim statku wystrzelono płonące strzały. Smukły żaglowiec stanął w płomieniach. Ciała zabitych zaczęły płonąć, oleisty dym uderzył w niebo. Nieprzyjacielski okręt odpłynął powoli od nas. Jego lśniące żagle opadały na stojący w płomieniach pokład. Srebrne działa wyglądały jak paszcze zabitych zwierząt. Zadrżał jeszcze, jak gdyby wydając ostatnie tchnienie.

– Władujcie parę kul pod linię zanurzenia – krzyknął Katorn do artylerzystów.

Upewnijmy się, że pójdzie na dno. Ciężki pocisk z naszego mosiężnego działa uderzył w eldreński okręt łamiąc belki i wzbijając fontannę wody. Żaglowiec zboczył z kursu, lecz

47

zachował pozycję pionową. Płynął coraz wolniej zanurzając się pod wodę, aż zatrzymał się całkowicie i w jednej chwili poszedł na dno. Pomyślałem o eldreńskim diuku i jego córce. Na swój sposób zazdrościłem im. Poznali w końcu wieczny pokój, podczas gdy ja miałem znać tylko wieczną wojnę. Nasza flota zaczęła się przegrupowywać. Straciliśmy trzydzieści osiem wielkich okrętów i sto dziesięć mniejszych. Z floty Eldrenów nie pozostało nic, oprócz płonących kadłubów, które zostawiliśmy za sobą, aby zatonęły.

Rozdział 13 PAPHANAAL

Podczas podróży do Paphanaalu starałem się unikać zarówno króla, jak i Katorna. Być może mieli rację, że nie można było ufać Eldrenom, ale czy nie powinniśmy sami dać przykładu? Drugiej nocy – po wielkiej bitwie z Eldrenami odwiedził mnie hrabia Roldero.

– Doskonale się spisałeś – powiedział – twój plan bitwy był znakomity. Słyszałem też, że dobrze radziłeś sobie w walce wręcz.

Rozejrzał się wkoło udając przerażonego i szepnął wskazując kciukiem gdzieś ponad siebie.

– Słyszałem też, że Rigenos uznał, że nie powinien narażać swojej królewskiej osoby na

niebezpieczeństwo, gdyż w przeciwnym razie moglibyśmy utracić odwagę.

– Myślę, że można go usprawiedliwić. Ostatecznie popłynął z nami na tę wyprawę. Mógł zostać w stolicy. Wszyscy spodziewaliśmy się, że tak zrobi. Słyszałeś, jaki rozkaz wydał podczas rozejmu, który zawarliśmy z eldreńskim wodzem?

Roldero skrzywił się pogardliwie.

– Kazał Katornowi go zastrzelić, tak?

– Zgadza się.

– No tak. – uśmiechnął się – Ty możesz usprawiedliwić jego tchórzostwo, a ja jego zdradę. – Wybuchnął gwałtownym śmiechem – to chyba sprawiedliwe, co?

Nie mogłem powstrzymać się od śmiechu. Po chwili jednak zapytałem poważnie.

– Czy zrobiłbyś to samo?

– Myślę, że tak. W końcu wojna to wojna.

– Ale Baynahn chciał ze mną walczyć. Musiał wiedzieć, że ma małe szanse i że nie można ufać Rigenosowi.

– Gdyby miał okazję zrobiłby to samo. Rigenos był po prostu szybszy. Na tym polega taktyka, rozumiesz? Trzeba umieć wybrać odpowiedni moment do popełnienia zdrady..

– Baynahn nie sprawiał wrażenia planującego zdradę.

– Był prawdopodobnie bardzo sympatycznym człowiekiem i dobrze traktował swoją rodzinę. Mówiłem ci już, Erekose, że jego charakter nie ma znaczenia. Po prostu jako żołnierz zrobiłbym to samo co Rigenos – starałbym się wyeliminować nieprzyjacielskiego dowódcę.

To jedna z podstawowych zasad sztuki wojennej.

– Jeśli tak uważasz, Rolderze.

– Tak uważam. Napijmy się.

Napiłem się. Wypiłem dużo. Upiłem się do nieprzytomności. Tym razem musiałem zagłuszyć nie tylko sny, lecz również całkiem świeże wspomnienia.

Następnej nocy zbliżyliśmy się do portu Paphanaal i zarzuciliśmy kotwicę w odległości około mili marsekiej od brzegu. O świcie podnieśliśmy kotwicę i ponieważ pogoda była bezwietrzna, powiosłowaliśmy w kierunku Paphanaalu. Podpłynęliśmy bliżej lądu. Ujrzałem stromy brzeg i czarne góry na horyzoncie. Coraz, bliżej. Na wschodzie dostrzegłem jasną poświatę.

– Paphanaal – krzyknął człowiek na bocianim gnieździe.

Bliżej. Przed nami był Paphanaal.

Nie było widać żadnych obrońców. Zostawiliśmy ich wszystkich za sobą na dnie morza.

Miasto nie miało kopuł ani minaretów. Były tam wieżyczki, przybudówki i tarasy usytuowane blisko siebie. Miasto wyglądało jak jeden wielki pałac. Materiał, z którego je zbudowano zapierał dech w piersiach. Biały marmur z zielonymi, żółtymi, różowymi i niebieskimi żyłkami. Pomarańczowy marmur z czarnymi żyłkami. Marmur wykładany wielkimi ilościami złota, bazaltu, kwarcu i piaskowca. Całe miasto błyszczało.

Nie było widać nikogo na molo, ani na ulicach czy balkonach. Doszedłem do wniosku, że miasto jest opuszczone.

Byłem w błędzie.

Zawinęliśmy do wielkiego portu i zesłaliśmy z okrętów. Ustawiłem naszą armię w równe szeregi i ostrzegłem przed możliwymi pułapkami, choć nie wierzyłem żebyśmy na nie natrafili. Żołnierze spędzili ostatnie dni podróży łatając swoje ubrania i zbroje, czyszcząc broń, czy usuwając uszkodzenia statków.

Wszystkie nasze okręty stłoczyły się w porcie. Sztandary powiewały na lekkim wietrze, który zaczął wiać, gdy tylko postawiliśmy stopę na molo.. Zachmurzyło się. Wojownicy

stanęli naprzeciwko króla, Katorna i mnie. Stali w równych szeregach. Ich zbroje błyszcząły.

Chorągwie łopotały leniwie na wietrze. Armia składała się z siedmiuset dywizji.

Marszałkowie dowodzili setką dywizji każdy. Mieli pod swoimi rozkazami kapitanów, z których każdy dowodził dwudziestoma pięcioma dywizjami oraz rycerzy, – po jednym na dywizję. Wino pomogło mi zapomnieć o ostatniej bitwie. Poczuję ponownie znajomą dumę, gdy patrzyłem na armię zgrupowaną przede mną. Przemówiłem do nich.

– Marszałkowie, kapitanowie, rycerze i żołnierze Ludzkości. Widzieliście już, że jestem zwycięskim wodzem.

– Tak jest – krzyknęli z radością.

– Zwyciężymy tutaj i wszędzie w Mernadinie. Ruszajcie naprzód. Przeszukajcie wszystkie budynki w poszukiwaniu Eldrenów. Bądźcie ostrożni.

W tym mieście może kryć się cała armia.

Hrabia Roldero stojący w pierwszym rzędzie zapytał:

– A łupy? Co z łupami?

Król Rigenos skinął dłonią.

– Bierzcie takie łupy, jakie zechcecie. Pamiętajcie tylko, co powiedział Erekose.

Uważajcie na zatrutą żywność i podobne rzeczy. Nawet kubki od wina mogą być wysmarowane trucizną. Wszystko w tym przeklętym mieście może być zatrute.

49

Żołnierze przemaszerowali przed nami, po czym rozeszli się w różnych kierunkach.

Spojrzałem na nich myśląc, że miasto nie przywita ich dobrze, choć dotarli do samego jego serca. Zastanawiałem się, co znajdziemy w Paphanaalu. Pułapki?. Ukrytych strzelców?

Truciznę, jak powiedział Rigenos?

Znaleźliśmy miasto pełne kobiet i dzieci.

Ani jednego mężczyzny.

Ani jednego chłopca powyżej dwunastu lat. Ani jednego starca.

Zabiliśmy ich wszystkich nad brzegiem morza.

Rozdział 14 **ERMIZHAD**

Nie wiem, w jaki sposób zabito dzieci. Błagałem Rigenosa, żeby nie wydawał takiego rozkazu. Wstawiałem się za nimi u Katorna, mówiąc żeby wygnał je z miasta, jeśli musi, zamiast zabijać. Zabili je wszystkie. Nie wiem, ile ich było.

Zajęliśmy pałac, który należał do diuka Baynahna. Jak się okazało Baynahn nosił tytuł Strażnika Paphanaalu. Zamknąłem się szczelnie w swoim pokoju, podczas, gdy na zewnątrz trwała rzeź. Pomyślałem z ironią, że cała ich gadanina o ohydzie Eldrenów nie przeszkadzała im gwałcić eldreńskich kobiet. Nie mogłem nic na to poradzić. Nie byłem nawet pewien, czy mam prawo się wtrącać. Król Rigenos wezwał mnie abym walczył za Ludzkość, a nie osądzał jej. Musiał istnieć jakiś powód, dla którego zgodziłem się przybyć na jego wezwanie, Jednak nie mogłem sobie przypomnieć żadnego powodu.

Siedziałem w pięknie umeblowanym pokoju. Na ścianach wisały lekkie gobeliny.

Podziwiałem dzieła eldreńskiego rzemiosła popijając aromatyczne eldreńskie wino i starałem się nie słyszeć krzyków eldreńskich dzieci, mordowanych w swoich domach i na ulicach za cienkimi ścianami pałacu. Spojrzałem na miecz Kanajana stojący w kącie. Nienawidziłem tego trującego narzędzia.

Zdjąłem zbroję i usiadłem w samotności, aby napić się wina. Jednakże wino Eldrenów miało dla mnie smak krwi. Odrzuciłem puchar i wyjąłem bukłak, który dał mi Roldero.

Wypiłem do dna gorzkie wino, które zawierał. Nie mogłem się upić. Nie mogłem uciszyć krzyków na ulicach. Nie mogłem nie widzieć cieni migoczących na zasłonach, które zawiesiłem na oknach. Nie mogłem się upić, więc nie próbowałem nawet zasnąć.

Wiedziałem, co mi się przyśni. Bałem się tych snów prawie tak samo, jak myśli o tym, co zrobiliśmy mieszkańcom Paphanaalu. Dlaczego znalazłem się tutaj? Dlaczego musiałem się tu znaleźć?

Usłyszałem hałas, a następnie pukanie do drzwi.

– Proszę wejść – powiedziałem. Nikt nie wszedł, widocznie mój głos był zbyt cichy.

Pukanie powtórzyło się. Wstałem i poszedłem chwiejnym krokiem otworzyć drzwi.

– Nie możecie zostawić mnie w spokoju? – Za drzwiami stał wystraszony żołnierz straży królewskiej.

– Panie, wybacz, że ci przeszkadzam. Przynoszę wiadomość od króla.

– Jaką wiadomość? – spytałem bez zainteresowania.

50

– Pragnie abyś do niego dołączył, panie. Mówi, że trzeba omówić dalsze plany.

Westchnąłem.

– Dobrze, przyjdę za chwilę.

Żołnierz popędził przez korytarz. Niechętnie poszedłem dołączyć do pozostałych zdobywców. Wszyscy marszałkowie leżeli na kanapach, świętując zwycięstwo. Król był z nimi. Był tak pijany, że mu zazdrościłem.

Ku mojej uldze nie było Katorna. Z pewnością znajdował się wśród grabieżców. Gdy wszedłem do sali marszałkowie wstali z miejsc i wznieśli kielichy na moją cześć.

Zignorowałem ich. Podszedłem do króla, który siedział gapiąc się bezmyślnie przed siebie.

– Chciałeś omówić ze mną dalsze działania wojenne – powiedziałem – czy jesteś pewien...

– O, Erekose, mój przyjaciel, nieśmiertelny wojownik, zbawca ludzkości. Witaj Erekose.

Położył mi rękę na ramieniu w pijackim geście.

– Widzę, że, potępiasz moje, niegodne króla pijaństwo.

– Niczego nie potępiam – odpowiedziałem – sam dużo wypięm.

– Ale, ty jako nieśmiertelny mozesz pomieścić swój... – czknał – swój trunek.

Spróbowałem się uśmiechnąć.

– Być może masz mocniejszy trunek. Jeśli tak, pozwól mi go spróbować.

– Sługa – krzyknął król – więcej wina dla mojego przyjaciela Erekosego. – Zastona odchyliła się i ujrzałem wystraszzonego eldreńskiego chłopca dźwigającego bukłak prawie tak wielki jak on sam.

– Widzę, że nie pozabijałeś wszystkich dzieci – powiedziałem.

– Na razie nie – król zachichotał – jeszcze się przydają.

Wziąłem bukłak od chłopca.

– Możesz odejść – powiedziałem mu. Podniosłem bukłak do ust i zacząłem pić. Wino wciąż nie mogło zaćmić mojego umysłu. Odrzuciłem bukłak, który upadł ciężko na podłogę.

Wino rozlało się po dywanach. Król znowu zaśmiał się.

– Brawo. Brawo.

Ci ludzie byli barbarzyńcami. Nagle zapragnąłem znowu stać się Johnem Dakerem.

Pilnym, nieszczęśliwym Johnem Dakerem wiodącym swoje spokojne życie z dala od świata w poszukiwaniu nikomu niepotrzebnej wiedzy. Wstałem, kierując się w stronę wyjścia.

– Zostań Erekose. Zaśpiewam ci piosenkę. To będzie świńska piosenka o świńskich Eldrenach.

– Jutro.

– Już jest jutro.

– Muszę odpocząć .

– Jestem, twoim królem Erekose. Zawdzięczasz mi swoją cielesną postać. Nie zapominaj o tym.

Nie zapomniałem.

Nagle drzwi sali otworzyły się na oścież i wprowadzono dziewczynę. Katorn wszedł pierwszy. Uśmiechał się jak najedzony wilk. Prowadził czarnowłosą dziewczynę o rysach elfa. Jej nieludzka twarz była spokojna. Nie okazywała strachu. Jej niezwykła uroda

51

wydawała się zmieniać z każdym oddechem. Suknię miała rozdartą, twarz i ramiona posiniaczone.

– Erekose – zaczął Katorn. Był również kompletnie pijany. – Erekose, Rigenosie, mój panie, spójrzcie. – Król zmrużył oczy i spojrzał na dziewczynę z obrzydzeniem.

– Co nas obchodzi ta eldreńska dziwka, Katornie. Użyj jej jak chcesz to twoja sprawa, ale zanim opuścimy Paphanaal upewnij się, że nie żyje.

– Nie – roześmiał się Katorn – spójrzcie na nią.

Król wzruszył ramionami i powrócił do swego pucharu z winem.

– Dlaczego przyprowadziłeś ją tutaj, Katornie? – zapytałem spokojnie.

Katorn wybuchnął śmiechem. Otworzył szeroko usta i krzyknął nam prosto w twarz.

– Nie wiecie, kim ona jest, to jasne.

– Zabieraj stąd tą eldreńską dziwkę, Katornie – król podniósł głos w pijackiej irytacji.

– Mój panie, to jest Ermizhad.

– Co? Ta kurwa? Ermizhad ze Świata Duchów? – król poderwał się, aby spojrzeć na dziewczynę.

– Ta sama – Katorn skinął głową. Król wytrzeźwiał nagle.

– Mówiono mi, że zwabiła wielu ludzi w śmiertelną pułapkę. Za jej wyuzdane zbrodnie czeka ją śmierć w męczarniach. Pójdzie na stos.

Katorn potrząsnął głową.

– Nie panie. Jeszcze nie teraz. Czyżbyś zapomniał, że to siostra Arjavha?

– Oczywiście. Siostra Arjavha – król skinął głową udając powagę.

– Rozumiesz o co mi chodzi, panie? Możemy wziąć ją do niewoli. Będzie świetnym zakładnikiem. Nie znajdziemy lepszego obiektu przetargu.

– Oczywiście Katornie, masz rację. Weźmiemy ją do niewoli – król uśmiechnął się głupkowato – Nie, to nie w porządku. Powinieneś się zabawić tej nocy. Kto nie chce się zabawić? – spojrzał na mnie – Erekose. Erekose, który nie może się upić. Zostawimy ją pod twoją strażą.

Skinąłem głową. – Zgadza się – powiedziałem. Żał mi było dziewczyny niezależnie od tego, jak straszliwe zbrodnie popełniła. Katorn spojrzał na mnie podejrzliwie. – Nie przejmuj się Katornie – powiedziałem – Idź zabaw się, jak powiedział król. Zgwałć i zabij jeszcze kilka kobiet. Na pewno sporo jeszcze zostało.

Twarz Katorna rozjaśniła się.

– Może kilka – powiedział – byliśmy dokładni. Myślę, że tylko ona jedna dożyje do świtu

– dźgnął kciukiem Ermizhad. – Idziemy kończyć robotę – skinął na swoich ludzi i wyszedł.

Hrabia Roldero podniósł się z miejsca i powoli podszedł do mnie. Król podniósł wzrok.

– W porządku. Pilnuj, żeby nikt jej nie zrobił krzywdy Erekose. – powiedział – Może być użytecznym pionkiem w naszej grze z Arjavhem.

– Zabierzcie ją do moich pokoi we wschodnim skrzydle – powiedziałem strażnikom – pilnujcie, żeby nie uciekła i żeby nikt jej nie napastował.

Gdy tylko wyprowadzono dziewczynę, Rigenos spróbował wstać, lecz zachwiał się i upadł z hukiem na podłogę. Hrabia Roldero uśmiechnął się.

– Nasz pan nie jest w formie – powiedział – ale Katorn ma rację. Eldreńska dziwka może

nam się przydać.

– Rozumiem jej użyteczność jako zakładnika – odpowiedziałem – ale nie rozumiem wzmianki o światach Duchów. Słyszałem już kiedyś tę nazwę.

– Co to za światy, Roldero?

– Światy Duchów? Wszyscy o nich wiedzą. Myślałem, że ty również.

Nie mówimy o nich często.

– Dlaczego?

– Ludzkość tak bardzo boi się sojuszników Arjavha, że nie wymienia się nawet ich nazwy z obawy, żeby ich nie przywołać, rozumiesz?

– Nie rozumiem. – Roldero wytarł nos. Kaszlnął.

– Nie jestem przesądny Erekose, tak samo jak ty.

– Wiem o tym. Ale powiedz mi, czym są Światy Duchów.

Roldero stał się nerwowy – Powiem ci, ale wolałbym nie robić tego w tym przeklętym miejscu. Eldrenowie wiedzą o światach Duchów więcej od nas. Myśleliśmy z początku, że byłeś tam uwięziony. Dlatego zdziwiłem się, że nic o nich nie wiesz.

– Gdzie one się znajdują?

– Światy Duchów leżą poza Ziemię, poza czasem i przestrzenią, połączone z naszym światem tylko wątłymi nićmi – Roldero ściszył głos do szeptu, ale nie przestawał mówić – Tam, w Światach Duchów mieszkają węże o wielu zwojach, które są postrachem ośmiu wymiarów. Żyją tam także duchy i ludzie i inne istoty, niektóre podobne do ludzi, inne nie. Ci, którzy wiedzą, że ich przeznaczeniem jest żyć poza czasem i ci, którzy są nieświadomi swego losu. Tam też mieszkają widma – kuzyni Eldrenów.

– Ale czym są naprawdę te światy – zapytałem niecierpliwie.

Roldero oblizał wargi – Są to światy, do których nasi czarnoksiężnicy zapuszczają się

niekiedy w poszukiwaniu obcej mądrości. Mogą sprowadzić stamtąd potężnych sojuszników zdolnych do straszliwych czynów. Mówi się, że wtajemniczeni mogą spotkać tam swych dawno nieżyjących przyjaciół, którzy służą im pomocą, swych dawno zmarłych krewnych, czy ukochane kobiety, a w szczególności wrogów – tych, do których śmierci się przyczynili. Okrutnych wrogów o wielkiej potędze lub szczątki ludzi niemal pozbawione duszy.

Jego wygłaszane szeptem słowa przekonały mnie, być może dlatego, że byłem pijany.

Możliwe, że w światach Duchów leżała przyczyna moich snów. Chciałem wiedzieć więcej.

– Ale czym one są, Roldero? Gdzie leżą?

Roldero potrząsnął głową.

– Nie znam się na tych sprawach, Erekose. Nigdy nie byłem mistykiem.

Wierzę w nie, ale wolę nie sprawdzać. Nie znam odpowiedzi na twoje pytania. Te światy

są pełne cieni, straszliwych mórz o posepnych brzegach. Można niekiedy wezwać ich

Mieszkańców przy użyciu potężnych czarów, by przybyli na Ziemię niosąc pomoc lub strach.

Niektórzy uważają, że Eldrenowie pochodzą w rzeczywistości z tamtych światów, a nie się,

jak głoszą nasze legendy potomstwem przeklętej królowej, która oddała swe dziewictwo

Azmobaanie w zamian za nieśmiertelność, którą odziedziczyło po niej jej potomstwo. Jednak

53

Eldrenowie są całkowicie materialni, choć nie mają duszy, natomiast armie duchów nie przybierają normalnych ciał.

– A Ermizhad?

– Ta nierządnicą?

– Dlaczego tak ją nazywają?

– Mówią o niej, że oddaje się wampirom – mruknął Roldero. Wzruszył ramionami

popijając kolejny łyk wina. – podobno w podzięce za swe usługi dla nich może sprawować

władzę nad widmami, które są przyjaciółmi wampirów. Widma kochają ją, tyle, o ile takie istoty są w ogóle zdolne do miłości.

Nie mogłem w to uwierzyć. Dziewczyna wydawała mi się młoda i niewinna.

Powiedziałem to hrabiemu. Roldero zachnął się.

– Trudno jest ocenić wiek istoty nieśmiertelnej. Spójrz na siebie, Ereko. Ile masz lat?

Trzydzieści? Nie wyglądasz na więcej.

– Ale ja nie żyłem bez przerwy. Przynajmniej nie w tym samym ciele.

– A na ile lat się oceniasz?

Oczywiście nie umiałem mu odpowiedzieć.

– Myślę, że większa część tego, co mi opowiedziałeś to przesady – powiedziałem – nie spodziewałem się, że wierzysz w takie rzeczy, przyjacielu.

– Możesz mi wierzyć lub nie – mruknął Roldero – ale lepiej byś zrobił, gdybyś mi wierzył tak długo, dopóki nie dowiedziesz mi kłamstwa.

– Być może masz rację.

– Czasami zdumiewasz mnie Ereko. Zawdzięczasz swe własne istnienie magii i jesteś najbardziej sceptycznie nastawionym człowiekiem, jakiego znam.

Uśmiechnąłem się.

– Masz rację Roldero. Powinienem uwierzyć w niektóre rzeczy.

– Chodźmy – powiedział Roldero wskazując na króla, który leżał na brzuchu z twarzą w kałuży wina – zabierzmy naszego pana do łóżka, zanim się utopi.

Wspólnymi siłami podnieśliśmy króla i przy pomocy żołnierzy zawlekliśmy go na górę i cisnęliśmy do łóżka. Roldero położył mi rękę na ramieniu.

– Nie przejmij się przyjacielu – powiedział – to nic nie pomoże.

Czy myślisz, że mnie raduje mordowanie dzieci? Gwałcenie młodych dziewcząt?

Wytarł usta dłonią, jakby chciał zetrzeć z nich ohydny smak.

– Jeśli nie zrobimy tego dziś, jutro oni zrobią to naszym dzieciom i naszym dziewczętom.

Wiem, że Eldrenowie są piękni. Tak samo jak węże czy wilki polujące na owce. Trzeba mieć odwagę zrobić, to co należy, a nie udawać przed samym sobą, że nic się nie dzieje.

Rozumiesz mnie? Staliśmy w sypialni króla patrząc na siebie.

– Jesteś bardzo uprzejmy Roldero.

– Daję ci dobrą radę.

– Wiem o tym.

– Nie ty wydałeś rozkaz zabicia dzieci – dodał.

– Ale nie przeciwstawiłem się rozkazowi Rigenosa.

54

Na dźwięk swojego imienia król poruszył się i zaczął coś mamrotać. – Chodźmy stąd – powiedział Roldero – zanim przypomni sobie słowa tej świńskiej piosenki, którą obiecał nam zaśpiewać.

Rozstaliśmy się na korytarzu przed komnatą. Roldero spojrzał na mnie z troską.

– Musimy to zrobić – powiedział – jest naszym losem abyśmy byli narzędziami wykonującymi decyzje, które zapadły przed wiekami. Nie zaprzataj sobie głowy sprawami sumienia. Przyszłe pokolenia mogą nazwać nas krwawymi zbrodniarzami. My jednak wiemy, że nimi nie jesteśmy. Jesteśmy mężczyznami i żołnierzami. Prowadzimy wojnę z wrogiem, który chce nas zniszczyć.

Nie powiedziałem nic, położyłem mu tylko rękę na ramieniu. Odwróciłem się i poszedłem do swojego pokoju. Zajęty własnymi sprawami, zapomniałem o dziewczynie, zanim nie ujrzałem strażnika przed swymi drzwiami.

– Czy więzień jest bezpieczny? – zapytałem.

– Nie można stąd uciec – odpowiedział strażnik – człowiek nie może. Chyba żeby zawezwała widma.

– Będziemy się o to martwić jak się zmaterializują – odpowiedziałem mu.

Otworzył drzwi. W środku paliła się tylko jedna lampa tak, że nie było prawie nic widać. Wziąłem ze stołu ogarek i zapaliłem następną. Dziewczyna leżała na łóżku z zamkniętymi oczyma. Jej policzki były pokryte łzami.

Umieją płakać tak samo jak my – pomyślałem. Staralem się jej nie niepokoić, otworzyła jednak oczy. Zdawało mi się, że dostrzegłem w nich strach. Nie mogłem być tego pewien, gdyż jej oczy były naprawdę niezwykle – pozbawione oczodołów, usiane złotymi i niebieskimi plamkami. Patrząc w nie byłem gotowy uwierzyć w to, co powiedział Roldero.

– Jak się czujesz? – zapytałem cokolwiek bezmyślnie. Poruszyła wargami, ale nie wypowiedziała ani słowa.

– Nie zrobię ci krzywdy – powiedziałem cicho – oszczędziłbym dzieci gdybym mógł.

Oszczędziłbym też żołnierzy. Potrafię jednak tylko prowadzić ludzi do walki. Nie potrafię ratować ich życia.

Zmarszczyła brwi.

– Jestem Erekoze – powiedziałem.

– Erekoze – usłyszałem jej melodyjny głos. Wymawiała moje imię, jakby znała je lepiej niż ja.

– Wiesz, kim jestem? – zapytałem.

– Wiem, kim byłeś.

– Narodziłem się ponownie – powiedziałem – nie pytaj mnie, w jaki sposób.

– Nie wydajesz się być szczęśliwy z tego powodu, Erekoze.

Wzruszyłem ramionami.

– Erekose – powtórzyła. Zaśmiała się gorzko.

– Czemu się śmiejesz?

Nie odpowiedziała mi. Próbowałem jeszcze z nią rozmawiać. Zamknęła oczy. Zamknąłem za sobą drzwi i położyłem się do łóżka w następnym pokoju. Wino (a może coś innego) pomogło mi. Spałem zupełnie dobrze.

55

Rozdział 15 **POWRÓT**

Rankiem wstałem, umyłem się, ubrałem i zapukałem do drzwi Ermizhad. Odpowiedzi nie było. Pomyślałem, że jeżeli uciekła, Katorn będzie podejrzewał, że jej pomogłem.

Otworzyłem drzwi na oścież i wszedłem do środka. Nie uciekła. Leżała na łóżku patrząc w sufit szeroko otwartymi oczyma. Jej spojrzenie wydawało mi się równie tajemnicze, jak usiane gwiazdami głębin wszechświata.

– Dobrze spałaś? – zapytałem. Nie odpowiedziała.

– Źle się czujesz? – zadałem następne głupie pytanie. Najwyraźniej zdecydowała nie rozmawiać ze mną więcej. Uczyniłem jeszcze jedną próbę i wyszedłem. Udałem się na dół, do głównej komnaty zamordowanego Strażnika Paphanaalu. Czekał tam na mnie Roldero i kilku pozostałych marszałków. Wyglądali wszyscy fatalnie, Król i Katorn byli nieobecni.

Roldero mrugnął – Widzę, że nie słyszysz bębnow pod czaszką?

Miał rację. Nie zastanowiłem się nad tym do tej pory, ale istotnie nie odczuwałem żadnych efektów olbrzymich ilości wina, które wypłem ostatniej nocy.

– Czuję się świetnie – odpowiedziałem.

– Teraz wierzę, że rzeczywiście jesteś nieśmiertelny – roześmiał się – ja tak nie potrafię.

Król i Katorn jak się zdaje również muszą cierpieć wraz z innymi, którzy tak wesoło bawili się tej nocy. Nachylił się ku mnie i ściszył głos – Mam nadzieję, że jesteś dzisiaj w lepszym

nastroju.

– Myślę, że tak – odpowiedziałem. Czułem się całkowicie wyprany z jakichkolwiek uczuć.

– Cieszę się. A co z tą eldreńską dziewczuchą? W porządku?

– Tak.

– Nie starała się ciebie uwieść?

– Wprost przeciwnie. W ogóle się do mnie nie odzywa.

– I bardzo dobrze. – Roldero rozejrzał się z niecierpliwością – mogliby już wstać. Jest wiele spraw do omówienia. Posuwamy się w głąb lądu czy nie?

– To już ustalone. Zgodziliśmy się, że zostawimy tutaj garnizon dostatecznie silny, aby się obronić i powrócimy na dwa kontynenty po rezerwy, a także, aby zapobiec próbie ataku na nie pod nieobecność floty. – Roldero skinął głową.

– To rozsądny plan, ale mnie się nie podoba. Jest logiczny, ale nie zaspokaja mojej niecierpliwości, chciałbym się zmierzyć z nieprzyjacielem jak najprędzej.

– Ja również pragnąłbym skończyć z tym jak najprędzej – zgodziłem się z nim.

Nie mieliśmy pojęcia, gdzie przebywa reszta sił Eldrenów. Na Mernadinie były cztery duże miasta poza Paphanaalem. Najważniejsze z nich było Loos Ptokai, leżące w pobliżu Płaskowyzu Topniejącego Lodu. Tam mieściła się główna kwatera Arjavha i zgodnie z tym, co powiedział diuk Baynahn przebywał on tam lub też wyruszył ze swymi siłami, aby odbić Paphanaal. Sądziliśmy, że spróbuje to zrobić, gdyż była to najważniejsza pozycja strategiczna na wybrzeżu. Tylko w tym porcie mogliśmy wylądować z naszą armią. Gdyby Arjavaha wyruszył przeciw nam, wystarczyłoby nam czekać, oszczędzając swoje siły. Planowaliśmy pozostawić główne siły w Paphanaalu, powrócić do naszej bazy w Noonos i zabrać stamtąd

żołnierzy, którzy nie mogli wyruszyć z nami na poprzednią wyprawę z powodu niewystarczającej ilości okrętów. Jednakże Roldero miał inny plan.

– Nie możemy zapomnieć o czarnoksiężskiej fortecy na Wyspach Zewnętrznych – powiedział mi – Te wyspy leżą na Krańcu świata. Powinniśmy zdobyć je jak najprędzej.

– Co to za wyspy? – zapytałam go – dlaczego są takie ważne? Dlaczego nikt mi o nich nie powiedział?

– To dlatego, że nie lubimy mówić o Światach Duchów, zwłaszcza gdy jesteśmy w domu.

– Znowu Światy Duchów – złapałem się za głowę udając rozpacz.

– Wyspy Zewnętrzne są bramą do Światów Duchów – odpowiedział Roldero poważnie – stamtąd Eldrenowie mogą wezwać swych straszliwych sprzymierzeńców. Myślę, że teraz, kiedy zdobyliśmy Paphanaal, powinniśmy uderzyć na Eldrenów na zachodzie – na Krańcu Świata.

Czyżbym był zbyt sceptyczny. A może Roldero przeceniał możliwości mieszkańców Światów Duchów?

– Roldero czy kiedykolwiek widziałeś widmo? – zapytałem.

– Oczywiście, przyjacielu – odpowiedział – Jeśli myślisz, że to tylko legenda, jesteś w błędzie. Widma są jak najbardziej rzeczywiste.

To mnie przekonało. Byłem skłonny wierzyć opiniom Roldera.

– Być może należałoby zmienić strategię. Możemy zostawić główne siły tutaj, żeby czekały na Arjavha. Niech trwoni swe siły próbując zdobyć miasto od strony lądu.

Tymczasem my popłynęlibyśmy do Noonos po nowe okręty i wojowników i popłynęlibyśmy z nimi w stronę Wysp Zewnętrznych, podczas gdy Arjavh oblegałby Paphanaal.

Roldero skinął głową.

– Myślę, że to mądry plan, Erekose... Ale co z naszą zakładniczką? W jaki sposób

możemy ją najlepiej wykorzystać? – Zamyśliłem się. Nie chciałem wykorzystywać jej w jakikolwiek sposób. Zastanawiałem się, gdzie będzie najbardziej bezpieczna.

– Uważam, że powinniśmy ją trzymać jak najdalej stąd – powiedziałem – najlepszy byłby w Necranalu. Mało prawdopodobne, żeby jej współplemieńcy zdołali odbić ją stamtąd, a jeśli uda jej się uciec, będzie jej trudno dotrzeć do domu. Co o tym myślisz?

Roldero skinął głową?

– Masz rację. Tak będzie najlepiej.

– Musimy oczywiście zapytać o zdanie króla – powiedziałem poważnie.

– Oczywiście – Roldero mrugnął.

– I Katorna.

– Tak, zwłaszcza Katorna.

Minęło południe zanim mieliśmy okazję z nimi porozmawiać. Ich twarze były blade.

Zgodzili się szybko na nasze propozycji. Zgodziliby się na wszystko byle tylko zostawić ich w spokoju.

– Ustanowimy tutaj przyczółek – powiedziałem królowi – i w najbliższym tygodniu poześlujemy z powrotem do Noonos. Nie mamy czasu do stracenia. Teraz, gdy zdobyliśmy Paphanaal możemy w każdej chwili oczekiwać gwałtownego kontrataku Eldrenów.

– Zgoda – mruknął Katorn. Oczy miał zupełnie czerwone.

57

– Masz rację. Musimy odciąć Arjavha od jego straszliwych sojuszników. Cieszę się, że akceptujesz mój plan Katornie – powiedziałem.

Uśmiechnął się krzywo.

– Zaczynasz dowodzić swojej wartości panie, muszę ci to przyznać. Wciąż jesteś zbyt miękki w stosunku do nieprzyjaciół, ale wkrótce zrozumiesz, jacy oni są.

– Zapewne – odpowiedziałem.

Pozostało jeszcze wiele szczegółów do omówienia. Podczas gdy nasi zwycięscy żołnierze radowali się łupami zdobytymi na Eldrenach opracowaliśmy plan do końca. To był dobry plan. Musiałoby nam się udać, gdyby Eldrenowie postąpili tak, jak się spodziewaliśmy.

Byliśmy pewni, że tak się stanie.

Ustaliliśmy, że król wróci z flotą wraz ze mną, natomiast Katorn pozostanie w Paphanaalu jako dowódca armii. Roldero zdecydował, że powróci z nami. Zdecydowana większość wojowników miała pozostać. Mieliśmy nadzieję, że Eldrenowie nie mają w pobliżu drugiej floty, gdyż wracaliśmy z minimalną liczbą ludzi na pokładzie, co postawiłoby nas w trudnej sytuacji, gdybyśmy zostali zaatakowani na morzu. Tak czy inaczej nie mogliśmy uniknąć ryzyka. Musieliśmy dopasować swoje posunięcia do tego, co prawdopodobnie mogli zrobić Eldrenowie. Po kilkudniowych przygotowaniach flota była gotowa do odpłynięcia.

Odpłynęliśmy z Paphanaalu z porannym odpływem. Nasze okręty objuczone zrabowanymi skarbami wlokły się leniwie po wodzie. Król zgodził się niechętnie dać Ermizhad przyzwoitą kabinę w sąsiedztwie mojej. Miałem wrażenie, że jego stosunek do mnie zmienił się od czasu, gdy upił się w Paphanaalu. Wyraźnie czuł się zakłopotany w mojej obecności. Zapewne przypominał sobie, że wygłupił się przede mną. Możliwe, że pamiętał, że nie chciałem świętować naszego triumfu, bądź też zazdrościł mi sławy, którą zdobyłem, choć bogowie świadkami, że nie pragnąłem ani odrobiny takiej sławy. Możliwe też, że wyczuwał, iż wojna, którą zgodziłem się prowadzić dla niego napełniała mnie niesmakiem i obawiał się, że mogę zrezygnować z roli wodza naczelnego, którego tak bardzo potrzebował. Nie miałem okazji porozmawiać z nim na ten temat. Hrabia Roldero nie potrafił mi tego wytłumaczyć.

Stawał tylko w obronie króla mówiąc, że być może rozlew krwi znużył go podobnie jak mnie.

Nie byłem tego pewien. Król zdawał się nienawidzić Eldrenów jeszcze bardziej niż przedtem.

Było to widoczne ze sposobu, w jaki traktował Ermizhad.

Eldrenka w dalszym ciągu nie mówiła ani słowa. Jadła bardzo mało i prawie nigdy nie wychodziła ze swej kabiny. Jednakże pewnego wieczoru, gdy spacerowałem na pokładzie ujrzałem ją jak stała wychylona przez burtę i patrzyła w morze, jakby miała zamiar rzucić się w jego głębinę. Przyśpieszyłem kroku, aby znaleźć się przy niej gdyby próbowała wyskoczyć za burtę. Spojrzała w moją stronę i ponownie odwróciła się. W tej chwili na mostku kapitańskim pojawił się król.

– Widzę, że zbliżasz się do eldreńskiej dziwki tylko mając wiatr w plecy, Erekose – zawołał da mnie. Spojrzałem na niego. W pierwszej chwili nie rozumiałem, o co mu chodzi. Spojrzałem na Ermizhad. Zachowywała się tak, jakby nie słyszała obelgi. Postanowiłem również udawać, że nie rozumiem, co na myśli. Skinąłem uprzejmie głowę, następnie celowo stanąłem obok Ermizhad i spojrzałem w morze.

– Czyżbyś utracił węch, Erekose – krzyknął król. W dalszym ciągu ignorowałem go.

58

– To fatalne, że musimy tolerować robactwo na pokładzie po tym jak zadaliśmy sobie tyle trudu by zmyć ich nieczystą krew – nie ustawał Rigenos.

Odwróciłem się wściekły, ale zdążył już zejść z mostka.

Ponownie spojrzałem na Ermizhad. Nadal patrzyła w dół na wodę poruszaną naszymi wiosłami. Wyglądała jak zahipnotyzowana ich rytmem. Zastanawiałem się, czy w ogóle słyszała obelgi. Podobna sytuacja powtarzała się na pokładzie "Iolindy" podczas naszej podróży do Noonos kilkanaście razy. Przy każdej okazji król wyrażał swoją pogardę do Ermizhad i całego jej gatunku nie zwracając zupełnie uwagi na jej obecność. Udawało m się zapanować nad swoim gniewem, choć przychodziło mi to z coraz większą trudnością.

Ermizhad, ze swojej strony zachowywała się, jakby grubiańskie uwagi króla w ogóle do niej

nie docierały. Rzadko miałem okazję ją widywać, jednakże mimo ostrzeżeń króla polubiłem ją.

Była z pewnością najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałem. Jej uroda była zupełnie inna od chłodnej urody Iolindy – mojej narzeczonej. Czym jest miłość? Nie wiem tego nawet teraz, gdy wydaje się, że moje przeznaczenie wypełniło się. Oczywiście nadal kochałem Iolindę, ale myślę, że nie wiedząc o tym zakochałem się również w Ermizhad. Nie chciałem mierzyć w historii, które mi o niej opowiadano.

Z drugiej strony jednak nie pozwalałem, żeby moja sympatia wpłynęła na sposób, w jaki ją traktowałem. Starałem się traktować ją jak strażnik więźnia – bardzo ważnego więźnia, który mógł rozstrzygnąć wojnę z Eldrenami na naszą korzyść. Zastanawiałem się kilkakrotnie nad sensem trzymania Ermizhad jako zakładnika. Jeżeli Eldrenowie byli rzeczywiście tak nieludscy i bezlitośni, jak twierdził Rigenos, to co mogło obchodzić Arjavha czy zamordujemy jego siostrę, czy nie? Ermizhad nie sprawiała wrażenia tak złej, jak twierdził król. Wprost przeciwnie okazywała niezwykłą szlachetność duszy, co pozostawało w kontraście z chamskim zachowaniem Rigenosa. Być może król zdawał sobie sprawę z moich uczuć do Ermizhad i obawiał się, że związek pomiędzy jego córką i Wodzem Naczelnym jest w niebezpieczeństwie. Ja jednak pozostawałem lojalny wobec Iolindy. Nie przychodziło mi do głowy, że moglibyśmy nie pobrać się po naszym powrocie – tak, jak postanowiliśmy. Istnieją niezliczone postacie miłości. Która z nich jest najmocniejsza? Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie.

Uroda Ermizhad była na tyle bliska ideałom piękności mojego gatunku, że mogła mnie ona pociągać, a jednocześnie dostatecznie daleka by fascynować mnie swoją obcością. Miała długą, szczupłą, eldreńską twarz. John Daker opisałby ją zapewne jako "elfią", co nie oddałoby jednak jej szlachetności. Jej skośne oczy sprawiały wrażenie ślepych ze względu na

swój mleczny kolor. Uszy miała nieco zaostrome, kości policzkowe ustawione wysoko. Jak wszystkie Eldrenki miała szczupłe, niemal chłopięce ciało o drobnych piersiach i wąskiej talii. Jej czerwone, szerokie wargi były skierowane lekko ku górze, tak, że wydawało się, że cały czas się uśmiecha..

Przez pierwsze dwa tygodnie naszej podróży nie odezwała się do mnie ani słowem, choć traktowałem ją jak najuprzejmiej. Starałem się by miała wszystko, czego potrzebuje.

Dziękowała mi za pośrednictwem strażników. Pewnego dnia, gdy stałem przed kabinami, w

59

których mieszkaliśmy wychylając się za burtę i patrzyłem na szare morze i zachmurzone niebo ujrzałem, że zbliżyła się do mnie.

– Witaj wodzu – powiedziała na wspólnie. Byłem zdumiony.

– Witaj pani – odpowiedziałem. Ubrana była w błękitną suknię. Na ramiona zarzuciła narzutkę z jasnoniebieskiej wełny.

– Dzień pełen złych znaków – powiedziała wskazując na ponure niebo pełne sinych i brudnożółtych obłoków.

– Dlaczego tak sądzisz? – zapytałem. Roześmiała się. Jej śmiech brzmiał cudownie – jak kryształ czy harfa o złotych strunach. To była muzyka niebiańska, nie piekielna.

– Wybacz mi – powiedziała – chciałam cię nastraszyć. Widzę jednak, że nie jesteś tak podatny na sugestie jak inni przedstawiciele twojej rasy.

– Dziękuję za komplement, pani – uśmiechnąłem się – Muszę przyznać, że drażnią mnie przesady moich pobratymców, nie mówiąc już o ich obelgach.

– Nie warto się tym przejmować – odpowiedziała – to są doprawdy małe, nędzne obelgi.

– Jesteś bardzo miłosierna.

– My, Eldrenowie jesteśmy miłosierną rasą.

– Słyszałem inne opinie na ten temat.

– Tak przypuszczam.

– Mam bliźny, które dowodzą, że jest inaczej. – uśmiechnąłem się – Wasi wojownicy nie okazali nam miłosierdzia podczas bitwy morskiej pod Paphanaalem.

Pochyliła głowę.

– Wasi z pewnością nie okazali go, gdy zdobyli Paphanaal, nieprawdaż? Czy tylko ja jedna ocalałam?

Oblizałem wargi, które nagle stały się suche.

– Myślę, że tak – powiedziałem cicho.

– Zatem mam szczęście – odpowiedziała podnosząc nieco głos. Na to oczywiście nie mogłem odpowiedzieć nic. Staliśmy w milczeniu patrząc na morze. Po chwili odezwała się.

– Tak, więc ty jesteś Erekoze. Nie przypominasz innych przedstawicieli swojej rasy.

Sprawiasz wrażenie, jakbyś pochodził z innego gatunku.

– Proszę – odpowiedziałem – teraz wiem, że jesteś moim wrogiem.

– Dlaczego tak uważasz?

– Moi wrogowie, zwłaszcza Katorn, podejrzewają, że nie jestem człowiekiem.

– A jesteś nim?

– Z pewnością nie jestem niczym innym. Niczym nie różnię się od normalnych śmiertelników. Moja wiedza nie jest większa niż ich. Nie wiem skąd się tutaj wzięłem.

Powiedzieli mi, że jestem wielkim bohaterem, który narodził się ponownie, aby wspomóc ich w walce z twoim narodem. Wezwali manie tutaj za pomocą zaklęcia. Jednakże moje sny mówią mi, że byłem wieloma bohaterami.

– I wszyscy z nich byli ludźmi?

– Nie jestem pewien. Wydaje mi się, że w różnych wcieleniach jestem zasadniczo tą samą

istotę. O ile wiem, nie posiadam żadnej specjalnej wiedzy, czy nadprzyrodzonych zdolności.

Nie sądzisz, że nieśmiertelny powinien nagromadzić olbrzymi zasób wiedzy?

60

Skinęła głowę. – Myślę, że tak, panie.

– Nie wiem nawet gdzie jestem czy przybyłem z dalekiej przeszłości, czy z przyszłości.

– Eldrenowie nie przywiązują wielkiej wagi do tych terminów – odpowiedziała –

Niektórzy z nas uważają, że przeszłość i przyszłość są tę samą rzeczą. Ich zdaniem czas ma charakter cykliczny.

– Interesująca teoria – odpowiedziałem – ale wydaje mi się zbyt prosta.

– Myślę, że masz rację – szepnęła – czas jest skomplikowaną rzeczą. Nawet najmądrzejsi z naszych filozofów nie rozumieją w pełni jego natury. W normalnych warunkach nie myślimy dużo o czasie – po prostu nie musimy tego robić: Oczywiście mamy swoją historię, ale jest ona dla nas tylko zapisem wydarzeń.

– Rozumiem to – odpowiedziałem.

Stała spokojnie, jedną ręką oparta o nadburbie. Uczucie, jakie czułem do niej w tamtej chwili można porównać do uczucia ojca do córki. Ojca, którego cieszy zrównoważona niewinność jego dziecka. Wydawało mi się, że ma nie więcej niż dziewiętnaście lat. Jednakże okazywała dużą znajomość świata, zachowywała się z dumą i pewnością siebie. Zdałem sobie sprawę, że Rigenos mógł mówić prawdę. Jak oceniać wiek istoty, nieśmiertelnej?

– Początkowo myślałem, że przybywam z waszej przyszłości – powiedziałem – ale teraz nie jestem tego pewien. Możliwe, że jest na odwrót i wasz świat jest przyszłością w stosunku do czasów, które znałem jako dwudziesty wiek.

– Nasz świat jest bardzo stary – zgodziła się.

– Czy istnieją zapiski z czasów, kiedy tylko ludzie zamieszkiwali Ziemię?

– Nie mamy takich zapisków – uśmiechnęła się – istnieją niejasne mity, strzępki legend, które mówią, że były czasy, kiedy tylko Eldrenowie zamieszkiwali Ziemię. Mój brat badał te sprawy. Z pewnością mógłby ci powiedzieć więcej na ten temat.

Zadrżałem. Poczułem się jakby serce we mnie zamarło. Nie byłem zdolny kontynuować rozmowy. Ermizhad wydawała się nie zauważać mojego stanu.

– Dzień dobrych znaków, pani. Mam nadzieję, że wkrótce znów się spotkamy – powiedziałem na koniec. Ukłoniłem się i odszedłem do swojej kabiny.

Rozdział 16

KONFRONTACJA Z KRÓLEM

Tej nocy spałem bez swoich zwykłych środków ostrożności w postaci dzbana z winem, który zapewniłby mi głęboki sen. Zrobiłem tak celowo, choć z niepokojem.

EREKOSE!

Usłyszałem głos, który wołał mnie, jak uprzednio Johna Dakera. Tym razem jednak nie był to głos Rigenosa.

Erekose!

Głos był bardziej melodyjny.

Ujrzałem zielone lasy kołysane wiatrem, wysokie wzgórza, zamki, polany i zwierzęta o nie znanej mi nazwie...

Erekose?

61

– Nie nazywam się Erekose! Jestem Coram. Coram Bannan Flurunn – księżę w szkarłatnej todze. Szukam swojego ludu. Gdzie jest mój lud?

Czy nigdy go nie odnajdę?

Jechałem na obwieszonym jukami koniu, przystrojonym żółtym welwetem. Miałem

okrągłą tarczę, dwie włócznie, łuk i kołczan pełen strzał. Na głowie miałem stożkowaty, srebrny hełm, na ciele podwójną kolczugę o dolnej warstwie z mosiądzu a górnej ze srebra. U boku miałem długi, mocny miecz, który nie był mieczem Kanajana.

– Erekose!

– Nie jestem Erekose!

– Erekose!

– Jestem John Daker!

– Erekose!

– Jestem Jerry Cornelius!

– Erekose!

– Jestem Konrad Arflane!

– Erekose!

– Czego chcecie ode mnie?

– Potrzebujemy twojej pomocy!

– Pomogłem wam już!

– Erekose!

– Jestem Karl Glogauer!

Imiona nie miały znaczenia. Wiedziałem to już. Liczyło się tylko jedno – to, że nigdy nie mogłem umrzeć. Byłem wieczny. Skazany na życie w wielu postaciach, pod wieloma imionami, w nieustannej walce. Być może myliłem się, twierdząc, że jestem człowiekiem. Być może przybierałem tylko cechy człowieka, gdy przebywałem w ludzkim ciele.. Zdawało mi się, że krzychałem z rozpacz. Kim byłem? Kim byłem, jeśli nie byłem nawet człowiekiem? Głos wciąż wołał, ale przestałem go słuchać, jakże żałowałem, że usłuchałem go wtedy, leżąc w wygodnym łóżku Johna Dakera.

Obudziłem się spocony. Nie dowiedziałem się niczego o tajemnicy swojego pochodzenia.

Wydawało się, że wiem jeszcze mniej niż przedtem. Nadal była noc, lecz nie miałem odwagi zasnąć ponownie. Spojrzałem w ciemność, na zasłony w oknach na białą kołdrę na łóżku, na moją żonę leżącą przy mnie. Zacząłem krzyczeć.

– EREKOSE, EREKOSE, EREKOSE!

– Jestem John Daker! – krzyknąłem – Spójrzcie na mnie! Jestem John Daker!

– EREKOSE

– Nie znam takiego imienia. Jestem Elric, książę Melnibone, zabójca swych krewnych.

Mam wiele imion.

Wiele imion – wiele imion – wiele imion. Jak można być jednocześnie dziesiątkami różnych istot? Przemieszczać się w przypadkowy sposób z jednej epoki w drugą? Opuścić nawet samą Ziemię, aby powędrować tam, gdzie świecą zimne gwiazdy?

Usłyszałem nagły hałas. Runąłem w dół poprzez ciemną pustkę.

62

W całym wszechświecie nie było nic oprócz unoszącego się bezładnie gazu. Nie było grawitacji, kolorów ani powietrza. Nie było nikogo oprócz mnie i – być może – gdzieś kogoś jeszcze.

Krzyknąłem ponownie. Nie chciałem wiedzieć nic więcej.

Jakikolwiek jest mój los – pomyślałem rankiem – nigdy go nie zrozumiem.

I tym lepiej dla mnie.

Wyszedłem na pokład. Ermizhad stała w tym samym miejscu przy burcie, jakby nie poruszyła się przez całą noc. Niebo przejaśniło się. Promienie słońca przebijały się przez obłoki, padając na wzburzone morze, tak że wydawało się ono w jednym miejscu jasne, w następnym ciemne. Dzień był ponury. Staliśmy przez chwilę w milczeniu patrząc za burtę na

przesuwające się fale, śledząc monotony rytm wioseł. I tym razem odezwała się do mnie pierwsza.

– Co macie zamiar ze mną zrobić? – zapytała spokojnie.

– Będiesz zakładnikiem na wypadek gdyby twój brat, księżę Arjavh zaatakował Necranal

– odpowiedziałem. Była to tylko część prawdy. Były inne sposoby, w jakie mogliśmy ją użyć przeciw jej bratu, ale wolałem ich nie wymieniać.

– Nic ci nie grozi – powiedziałem – król nie uzyskałby nic od Arjavha, gdyby cię skrzywdził.

Westchnęła.

– Dlaczego nie uciekliście przed nami, gdy flota przybyła do Paphanaalu? – zapytałem.

– Eldrenowie nigdy nie uciekają – odpowiedziała – Nie z miast, które sami zbudowali.

– Przed kilkoma wiekami uciekli w Góry Smutku – zauważyłem.

Potrząsnęła głową.

– Nie uciekli. Zostali wyparci. To jest różnica.

– Tak – zgodziłem się – to jest różnica.

– Kto mówi o różnicy? – usłyszałem szorstki głos króla. Wszedł cicho ze swojej kabiny i stanął cicho na kołyszącym się pokładzie za naszymi plecami. Nie patrzył na Ermizhad, lecz spoglądał mi prosto w oczy.

Nie wyglądał zdrowo.

– Witaj panie – powiedziałem – dyskutowaliśmy o znaczeniu słów.

– Nazbyt zaprzyjaźniłeś się z tą eldreńską dziwką – powiedział uśmiechając się szyderczo.

Jak było możliwe, że człowiek, który wielokrotnie okazywał odwagę i szlachetność stawał się brutalnym barbarzyńcą, gdy sprawa dotyczyły Eldrenów. Nie mogłem dłużej znosić tego w spokoju.

– Panie – powiedziałem – mówisz o osobie, w której żyłach płynie szlachetna krew, choć jest ona naszym nieprzyjacielem.

Roześmiał się.

– Szlachetna krew. Ohydna ciecz, która płynie w ich parszywych żyłach nie jest żadną krwią. Strzeż się, Erekose. Widzę, że nie przyswoiłeś sobie naszej wiedzy ani obyczajów, te twoje wspomnienia są niejasne. Pamiętaj, że eldreńska nierządnicą ma język z płynnego złota, który może sprowadzić zagładę na ciebie i na nas wszystkich. Nie dawaj posłuchu jej słowom.

63

Nigdy jeszcze nie przemawiał do mnie w taki sposób.

– Panie... – powiedziałem.

– Rzuci na ciebie taki czar, że będziesz łąsił się do jej nóg jak pies. Powiadam ci Erekose, strzeż się. Powinieneś oddać ją wioślarzom, żeby się z nią zabawili, a potem, wyrzucić za burtę.

– Oddałeś ją pod moją opiekę mój panie – powiedziałem zagniewany – a ja przysięgłem bronić jej przed wszystkimi niebezpieczeństwami.

– Głupcze. Ostrzegłem cię. Nie chcę utracić twojej przyjaźni Erekose, i tym bardziej nie chcę utracić naszego Wodza Naczelnego. Jeżeli nadal będzie próbowała rzucić na ciebie urok, zabiję ją. Nikt mnie nie powstrzyma.

– Choć wykonuję swoje zadanie dla ciebie – powiedziałem królowi – i na twoją prośbę.

Pamiętaj jednak – ja jestem Erekose. Byłem wieloma wojownikami. Służę całej Ludzkości.

Nie przyrzekałem wierności tobie, ani żadnemu innemu królowi. Jestem Erekose – bojownik Ludzkości, a nie bojownik Rigenosa.

Oczy mu się zwęziły.

– Czy to zdrada, Erekoze?

Sprawiał wrażenie, że chce, aby tak było.

– Nie, panie. Różnica zdań z pojedynczym przedstawicielem gatunku nie oznacza zdrady Ludzkości jako takiej.

Nie odpowiedział mi. Wyglądał, jakby nienawidził mnie równie mocno jak Ermizhad.

Oddychał ciężko i chrapliwie.

– Strzeż się, abym nie zaczął żałować, że cię wezwałem, martwy Erekoze – powiedział na koniec i odwrócił się wracając do swojej kabiny.

– Wydaje mi się, że będzie lepiej, jeżeli przerwiemy naszą rozmowę – powiedziała spokojnie Ermizhad.

– Martwy Erekoze, co? – odpowiedziałem uśmiechając się – Jak na trupa jestem dziwnie skłonny do gwałtownych reakcji.

Naświetliłem pokrótce Ermizhad sytuację. Wypadki przybrały taki obrót, że zacząłem obawiać się, czy król nie odmówi mi na przykład ręki Iolindy.

Wciąż nie wiedział, że jesteśmy zaręczeni.

Ermizhad spojrzała na mnie. Wykonała lekki ruch ręką, jakby chciała mnie uspokoić.

– Być może rzeczywiście jestem martwy – powiedziałem. Widziałaś w Światach Duchów istoty podobne do mnie?

Potrząsnęła głową.

– Raczej nie.

– Czy Światy Duchów naprawdę istnieją – zapytałem. Pytanie było raczej, retoryczne.

Roześmiała się.

– Oczywiście, że istnieją. Jesteś największym sceptykiem, jakiego kiedykolwiek spotkałam.

– Opowiedz mi o nich, Ermizhad.

64

– Co tu jest do opowiadania? – Potrząsnęła głową – Jeśli nie wierzysz w to, co opowiedziano ci o nich do tej pory, nie ma sensu, żebym opowiadała ci więcej rzeczy, w które nie uwierzysz.

Wzruszyłem ramionami.

– Myślę, że masz rację. – Uważałem, że jest zanadto tajemnicza, ale nie chciałem na nią naciskać.

– Powiedz mi jedno – czy w światach Duchów można znaleźć rozwiązanie mojej tajemnicy?

Uśmiechnęła się życzliwie.

– Skąd mam to wiedzieć, Erekoze?

– Nie wiem. Wydawało mi się, że Eldrenowie wiedzą więcej o czarach.

– Okazuje się, że jesteś równie przesądny, jak twoi pobratymcy – odrzekła – Nie wierzysz chyba...

– Pani – przerwałem jej – nie wiem, w co mam wierzyć. Obawiam się, że logika tego świata, zarówno ludzka, jak i eldreńska jest dla mnie zupełną zagadką.

65

Rozdział 17 **NECRANAL PO RAZ DRUGI**

Aczkolwiek król powstrzymywał się od dalszych napaści na mnie czy na Ermizhad, jednakże pozostawał chłodny w stosunku do mnie. Odprężył się nieco dopiero, gdy przybyliśmy do brzegów Necralali. Ujrzeliśmy nareszcie Noonos, gdzie pozostawiliśmy większą część floty w celu dokonania napraw i ponownego zaopatrzenia, podczas gdy sami pożeglowaliśmy w górę rzeki Droonaa do Necranalu. Wieści o naszym wielkim zwycięstwie

na morzu dotarły już do stolicy. W opowieściach było wiele przesady. Mówiono, że w pojedynkę zatopiłem kilka tuzinów okrętów i zniszczyłem ich załogi. Nie starałem się temu zaprzeczyć, gdyż obawiałem się, że król Rigenos może spróbować wystąpić przeciwko mnie. Jednakże podziw, którym mimie otaczano sprawił, że nie mógł mi się publicznie przeciwstawić. Moja pozycja znacznie się poprawiła, gdyż to ja osiągnąłem zwycięstwo. Dowiodłem, że jestem wodzem, jakiego pragnął lud. Gdyby król wystąpił przeciwko mnie to on padłby ofiarą gniewu ludu, który mógłby okazać się tak wielki, że Rigenos straciłby koronę razem z głową. Nie znaczyło to oczywiście, że polubił mnie ponownie jednakże, gdy powróciliśmy do Pałacu Dziesięciu Tysięcy Okien stał się nader układowy. Myślę, że uprzednio obawiał się, że jestem groźbą dla jego panowania, jednakże widok jego pałacu, jego ludzi i jego córki upewnił go, że to on jest i pozostanie królem. Osobiście nie pragnąłem jego korony, a wyłącznie jego córki.

Strażnicy odprowadzili Ermizhad do jej pokoi zanim Iolinda zbiegła ze schodów z promieniejącą twarzą i wpadła do Głównej Sali całując najpierw ojca a potem mnie.

– Czy zdradziłeś ojcu naszą tajemnicę? – zapytała.

– Myślę, że wiedział o tym zanim odpłynęliśmy – roześmiałem się. Odwróciłem się w kierunku Rigenosa, który patrzył na nas roztargnionym wzrokiem.

– Mamy zamiar się pobrać, panie. Czy udzielisz nam swojej zgody?

Rigenos otworzył szeroko usta, wytarł rękę pot z czoła, przełknął ślinę. Po chwili skinął głową...

– Oczywiście. Udzielę wam, błogosławieństwa. To jeszcze bardziej umocni naszą przyjaźń.

Iolinda zmarszczyła lekko brwi.

– Ojczy, powiedz, cieszysz się?

– Oczy... tak, cieszę się. Czuję się tylko zmęczony walką i podróżą, kochanie. Muszę odpocząć. Wybacz mi.

– Przepraszam cię ojczy. Wiem, że potrzebujesz odpoczynku. Nie wyglądasz dobrze. Rozkaż sługom, żeby przynieśli ci obiad do łóżka.

– Tak – odpowiedział – tak.

Gdy odszedł, Iolinda spojrzała na mnie z zaciekawieniem.

– Ty zapewne też wiele wycierpiałeś, Ereko. Czy byłeś ranny?

– Nie, ale walka była krwawa. Nie podobało mi się to, co musieliśmy robić.

– Żołnierze muszą zabijać. Zawsze tak było.

– Tak – odpowiedziałam ochryłym głosem – ale czy muszą zabijać kobiety i dzieci?

Nawet niemowlęta?

66

Zwilżyła wargi językiem.

– Chodź – powiedziała – zjemy obiad w moim pokoju. Tam jest bardziej zacisznie.

Po posiłku poczułem się trochę lepiej, lecz nadal nie potrafiłem się odprężyć.

– Co się zdarzyło w Mernadinie? – zapytała.

– Stoczyliśmy wielką bitwę morską. Wygraliśmy ją.

– To dobrze.

– Tak.

– Zdobyliście szturmem Paphanaal.

– Kto ci powiedział, że zdobyliście go szturmem? – zapytałem zdziwiony.

– Dłaczego... Powracający wojownicy. Wiadomość dotarła do nas na krótko przed waszym przybyciem.

– Nie było żadnego oporu w Paphanaalu – powiedziałem jej. – Była tam tylko garstka

kobiet i dzieci. Wszyscy zostali zamordowani przez naszych żołnierzy.

– Pewna ilość kobiet i dzieci, zawsze musi ucierpieć w czasie szturmu na miasto – odparła

Iolinda – Nie możesz winić siebie, jeżeli...

– Nie było żadnego szturmu – powtórzyłem – miasto nie było bronione. Nie było w nim ani jednego mężczyzny. Wszyscy mężczyźni z Paphanaalu popłynęli z flotą, którą zniszczyliśmy.

Wzruszyła ramionami. Najwyraźniej nie była w stanie zdać sobie sprawy ze znaczenia moich słów. Być może było to z korzyścią dla niej. Nie mogłem jednak powstrzymać się od jeszcze jednej uwagi.

– Nie należy też zapominać, że nasze zwycięstwo zawdzięczamy po części zdradzie, choć zapewne zwyciężylibyśmy i tak.

– Zdradzono was? – spojrzała na mnie podekscytowana – jakiś podstęp Eldrenów?

– Eldrenowie walczyli honorowo. To my zamordowaliśmy ich dowódcę podczas rozejmu.

– Rozumiem – odpowiedziała – będziemy musieli pomóc ci zapomnieć o tych okropnościach, Erekose. – Uśmiechnęła się.

– Mam nadzieję, że będę mógł zapomnieć.

Nazajutrz król oznajmił o naszych zaręczynach. Mieszkańcy Necranalu przyjęli tę wiadomość z radością. Staliśmy przed nimi na wielkim balkonie, spoglądając na miasto.

Uśmiechaliśmy się i machaliśmy do nich rękami jednakże, gdy tylko wróciliśmy do pałacu, król pożegnał nas kilkoma słowami i odszedł.

– Ojciec wydaje się niezadowolony z naszego związku – powiedziała Iolinda – wyraził przecież zgodę.

– Drobną różnicą zdań na temat sposobu prowadzenia wojny – odpowiedziałem – wiesz, że my, żołnierze, przywiązujemy do tych spraw dużą wagę. Wkrótce o tym zapomni.

Byłam zaniepokojony. Byłem wielkim bohaterem, uwielbianym przez lud, miałem poślubić córkę królewską, tak jak przystało bohaterowi, jednakże czułem, że coś nie jest w porządku. Uczucie to nie opuszczało mnie od pewnego czasu, nie potrafiłem jednak określić jego źródła. Nie widziałem czy było to spowodowane moimi osobliwymi snami, tajemnicą mojego pochodzenia, czy też po prostu pogorszeniem się stosunków z królem. Prawdopodobnie moje obawy były bezpodstawne.

67

Iolinda i ja udaliśmy się razem do ślubnego łoża, jak było w zwyczaju we wszystkich królestwach Ludzkości. Lecz tej nocy nie kochaliśmy się ze sobą.

W środku nocy poczułem, jak coś dotknęło mojego barku. Zerwałem się niemal natychmiast.

– To tylko ty Iolindo – uśmiechnąłem się z ulgą.

– To ja Erekose. Jęczałeś w czasie snu tak bardzo, że postanowiłam cię obudzić.

Potarłem oczy.

– Dziękuję.

Nie mogłem sobie nic przypomnieć, miałem jednak wrażenie, że sny ponownie mnie nawiedziły.

– Opowiedz mi o Ermizhad – powiedziała nagle Iolinda. Ziewnąłem.

– Ermizhad? Dlaczego o nią pytasz?

– Słyszałam, że widywałeś ją często. Rozmawiałeś z nią. Ja nigdy nie rozmawiałam z Eldrenem. Z reguły nie bierzemy jeńców.

Uśmiechnąłem się.

– Wiem, że zabrzmiało to jak herezja, ale wydała mi się zupełnie ludzka.

– Erekose, to kiepski żart. Słyszałam, że jest bardzo piękna i zła. Mówią, że jest winna

śmierci co najmniej tysiąca ludzi. Zwabiła ich w śmiertelną pułapkę swoją urodą.

– Nie pytałem jej o to – odpowiedziałem – rozmawialiśmy głównie o filozofii...

– Jest bardzo inteligentna, prawda?

– Nie wiem, wydała mi się taka niewinna. Być może to jest podstęp – dodałem dyplomatycznie. Iolinda skrzywiła, twarz.

– Niewinna, śmieszne. – Byłem zmieszany.

– Mówię ci tylko, jakie odniosłem wrażenie, Iolindo. Nie mam żadnego zdania o Ermizhad, ani pozostałych Eldrenach.

– Kochasz mnie, Erekoze?

– Oczywiście.

– Nie zdradzisz mnie nigdy?

Roześmiałem się.

– Jak mogłaś w ogóle o tym pomyśleć? – przytuliłem ją. Zasnęliśmy ponownie.

Następnego ranka król, hrabia Roldero i ja zajęliśmy się poważnie planowaniem naszej strategii. Gdy tylko zajęliśmy się mapami i planami bitew, nasz nastrój się poprawił. Nawet król stał się pogodny. Wszyscy zgadzaliśmy się, co należy zrobić. Wydawało się pewne, że Arjavh będzie próbował odzyskać Paphanaal – zapewne bez powodzenia. Sądziliśmy, że podczas, gdy będzie marnował czas oblegając miasto będziemy mogli zgromadzić nowe siły. Tymczasem mieliśmy wyprawić się do Światów Duchów, zaatakować tam pozycje Eldrenów. Rigenos i Roldero zapewniali mnie, że uniemożliwi to im wezwanie armii widm. Oczywiście, cały plan opierał się na założeniu, że Arjavh zaatakuje Paphanaal.

– Przecież wyruszył już w drogę, gdy byliśmy w Paphanaalu – argumentował Rigenos – Nie miał powodu, aby zawrócić. Co mógłby przez to osiągnąć?

– Jest prawie pewne, że wyruszy w stronę Paphanaalu – zgodził się Roldero – Jeszcze

dwa, trzy dni i nasza flota będzie gotowa. Wkrótce podbijemy Wyspy Zewnętrzne i

68

wyruszymy na Loos Ptokai. Przy odrobinie szczęścia Arjavh nadal będzie stał pod Paphanaalem. Pod koniec roku wszystkie punkty oporu Eldrenów będą w naszych rękach. Jego nadmierny optymizm nappełnił mnie lekkim niepokojem. Musiałem przyznać, że Katorn nie był tak pewny siebie. W gruncie rzeczy żałowałem, że Katorna nie ma z nami. Ceniłem jego opinię jako żołnierza i dowódcy. Następnego dnia, gdy wciąż wpatrywaliśmy się w mapy, nadeszły wiadomości. Byliśmy zdumieni. Wszystkie nasze plany zostały zniweczone. Nasza strategia okazała się bezsensowna. Znaleźliśmy się w niebezpiecznej pozycji. Arjavh, księżę Mernadinu, władca Eldrenów nie zaatakował Paphanaalu. Większa część naszych żołnierzy czekała tam na niego, ale nie raczył złożyć im wizyty. Być może nigdy nie miał takiego zamiaru.

Być może zawsze planował zrobić to, co teraz, a my zostaliśmy wystrychnięci na dudków. Wymanewrowani. Oszukani.

– Mówiłem ci, że Eldrenowie są sprytni – powiedział Rigenos usłyszawszy wiadomość – ostrzegałem cię Erekose.

– Teraz ci wierzę – odpowiedziałem cicho, starając się zdać sobie sprawę ze znaczenia tego, co się stało.

– I co teraz o nich myślisz przyjacielu? – spytał Roldero – wciąż masz wątpliwości?

Potrząsnąłem głową. Byłem lojalny wobec Ludzkości. Nie było czasu na wyrzuty sumienia. Nie było sensu próbować zrozumieć tego nieludzkiego narodu. Nie doceniałem ich i teraz cała Ludzkość mogła za to zapłacić. Okręty Eldrenów wylądowały na wschodnim wybrzeżu Necralali w niewielkiej odległości od samego Necranalu. Eldreńska armia wyruszyła na Necranal. Jak mówiono, nikt nie mógł stawić im czoła? Przeklinałem własną

głupotę. Wszyscy oni mieli rację – Rigenos, Katorn, Roldero, nawet Iolinda. Zostałem zwiedziony przez ich złote języki, przez ich nieludzką urodę. W Necranalu nie było prawie wcale wojowników. Połowa naszej armii przebywała w Paphanaalu i ściągnięcie jej stamtąd zajęłoby cały miesiąc. Flota Eldrenów prawdopodobnie pokonała ocean dwukrotnie szybciej. Myśleliśmy, że zniszczyliśmy ich flotę w Paphanaalu. Zniszczyliśmy tylko jej część. W pośpiechu sporządzaliśmy nowe plany. Na naszych twarzach widniał strach.

– W tej chwili nie ma sensu wzywać żołnierzy z Paphanaalu – powiedziałem – zanim dotrą tutaj będzie już po bitwie. Wyślij tam posłańca, Roldero. Powtórz im, co się zdarzyło i niech Katorn sam zdecyduje, co robić. Powiedz mu, że ma do niego zaufanie.

– W porządku – Roldero skinął głową. – Mamy za mało wojowników. Można sprowadzić kilka dywizji z Zavary, jeśli pošlemy po nie szybko. Są jeszcze żołnierze w Calodemii, Stalaco i garstka w Dratardzie. Mogą nas osiągnąć w przeciągu tygodnia. Mamy też trochę ludzi w Shilaalu i Sinanie, ale nie chciałbym wycofywać ich stamtąd.

– Masz rację – powiedziałem – porty musimy obronić za wszelką cenę. Skąd możemy wiedzieć ile flot mają jeszcze Eldrenowie. – Byłem wściekły. – Gdybyśmy mieli jakikolwiek wywiad. Choć paru szpiegów.

– To niemożliwe – powiedział Roldero – Kto z naszych ludzi zdołałby ucharakteryzować się na Eldrena? Kto mógłby chociażby wytrzymać ich towarzystwo przez dłuższy czas?

– Jedyne większe siły, jakie mamy znajdują się w Noonos – powiedział król – musimy wysłać po nie i modlić się, aby Eldrenowie nie zaatakowali Noonos pod ich nieobecność.

69

Spojrzał na mnie.

– To nie twoja wina Ereko. Nie mam do ciebie pretensji. Oczekiwaliśmy od ciebie za dużo.

– Możesz oczekiwać ode mnie więcej, panie – obiecałem mu – wypędzę Eldrenów z Necralali.

Rigenos skrzywił się w zamyśleniu.

– Mamy jeszcze jeden atut – powiedział – Eldreńską dziwkę. Siostrę Arjavha.

W mojej głowie zaczęła kiełkować pewna myśl. Siostra Arjavha... Myśleliśmy, że Arjavh uderzy na Paphanaal, tymczasem tego nie zrobił. Nigdy nie spodziewaliśmy się, że wyruszy na Necralalę, tymczasem zrobił właśnie to. Jego siostra...

– Co z nią – zapytałem.

– Moglibyśmy zrobić tak – powiedzieć Arjavhowi, że jeśli się nie wycofa zabijemy ją.

– Czy będzie chciał z nami rozmawiać?

– To zależy od tego jak bardzo kocha własną siostrę. – Król Rigenos wyszczerzył zęby.

Nastrój mu się wyraźnie polepszył.

– Spróbuj tak zrobić Erekoze, ale nie rozmawiaj z nim z pozycji słabszego. Weź wszystkie dywizje, które zdołasz zebrać.

– Oczywiście – odpowiedziałem – sądzę jednak, że Arjavh nie zrezygnuje z szansy zdobycia stolicy z pobudek sentymentalnych.

Król zignorował moją opinię. Ja również nie byłem pewny jej prawdziwości, zwłaszcza, że zaczynałem domyślać się, co kryje się za decyzją Arjavha. Król położył rękę na moim ramieniu.

– Były między nami nieporozumienia, Erekoze, ale teraz jesteśmy zgodni. Wyruszaj na bitwę z Psami Zła. Wygraj ją, zabij Arjavha. Masz szansę uderzyć prosto w głowę potwora, jakim są Eldrenowie. A jeśli bitwa będzie nie do wygrania, użyj Ermizhad, aby zyskać na czasie. Bądź silny, odważny i przebiegły.

– Będę próbował – odpowiedziałem – wyruszam natychmiast do Noonos po wojowników.

Zabiorę całą kawalerię, ale pozostawię część piechoty i artylerii, aby broniły miasta.

– Zrób jak uważasz, Erekose.

Wróciłem do swoich apartamentów, pożegnać się z Iolindą. Nie rozmawiałem z Ermizhad i nie zdradziłem jej naszych planów.

Rozdział 18 **KSIĄŻE ARJAVH**

Jechałem na czele armii w swojej świetnej zbroi. Przedemną powiewał mój sztandar ze srebrnym mieczem na czarnym polu. Mój koń kroczył dumnie. Pięć tysięcy rycerzy podążało za mną. Nie miałem żadnego pojęcia o sile eldreńskiej armii. Wyruszyliśmy z Noonos na wschód skąd podobno nadciągali Eldrenowie. Chcieliśmy przeciąć im drogę, zanim osiągną Necranal. Uciekinierzy opowiadali nam historie o armii Arjavha, na długo zanim ją spotkaliśmy. Najwyraźniej Eldrenowie maszerowali prostu na Necranal, pozostawiając inne miasta nietknięte. Nie było żadnych relacji o okrucieństwach Eldrenów. Wydawało się, że

70

posuwają się zbyt szybko, aby mieć czas zajmować się cywilami. Arjavh postawił sobie tylko jeden cel – jak najszybciej osiągnąć Necranal. Nic nie wiedziałem o eldreńskim księciu.

Opowiadano o nim, że był wcieloną bestią, mordercą, oprawcą kobiet i dzieci. Oczekiwałem z niecierpliwością spotkania z nim w bitwie. Doszły nas także inne wieści o armii Arjavha.

Mówiono, że składa się ona częściowo z widm – stworzeń pochodzących ze Światów

Duchów, Wiadomość ta przeraziła moich ludzi. Starałem się zapewnić ich, że jest fałszywa.

Nie było ze mną Rigenosa ani Roldera. Hrabia pozostał w Necranalu, aby dowodzić

obroną miasta w przypadku naszej porażki. Król również pozostał w stolicy. Po raz pierwszy

byłem niezależny. Nie miałem żadnych doradców. Nie uważałem, że bym ich potrzebował.

Armie Eldrenów i ludzi ujrzały się w końcu nawzajem, gdy obie osiągnęły rozległy

płaskowyż znany jako równina Olas. Nazwa ta pochodziła od starożytnego miasta, które

niegdyś się tam znajdowało. Zielony płaskowyż otoczony był przez' odległe wzgórza o odcieniu purpurowym. Z oddali widzieliśmy sztandary Eldrenów, które świeciły w promieniach zachodzącego słońca, jakby były zrobione z żywego ognia. Moi marszałkowie i kapitanowie uważali, że powinniśmy uderzyć skoro świt. Ku naszej uldze wyglądało na to, że przewyższamy Eldrenów liczebnie. Wydawało się, że mamy szansę zwycięstwa. Odczułem ulgę. Znaczyło to, że nie będę musiał używać Ermizhad jako zakładnika i będę mógł przestrzegać kodeksu wojny, do którego ludzie stosowali się walcząc Między sobą, ale nie przeciwko Eldrenom.

Moi dowódcy byli przerażeni, gdy powiedziałem im, co następuje:

– Postępujmy uczciwie i szlachetnie. Dajmy im przykład.

Nie było ze mną Rigenosa, Katorna czy choćby Roldera, którzy przekonywaliby mnie, że zdrada jest jedynym sposobem walki z Eldrenami. Chciałem stoczyć tę bitwę tak, jak zrobiłby to Erekose. Kierowały mną jego instynkty. Patrzyłem na naszego herolda, gdy wyruszał w ciemność niosąc ze sobą flagę rozejmu. Kierowany nagłym impulsem podążyłem za nim.

– Dokąd jedziesz, panie – wykrzyknęli moi marszałkowie.

– Do obozu Eldrenów. – Roześmiałem się widząc ich konsternację.

Herold odwrócił się posłyszawszy tętent kopyt mojego konia.

– Co robisz panie? – zapytał.

– Jedź – odpowiedziałem – pojedę z tobą.

W ten sposób przybyliśmy razem do obozu Eldrenów. Zatrzymali nas strażnicy.

– Czego tu chcecie, ludzie? – zapytał jeden z oficerów niższej rangi starając się dostrzec coś po ciemku swoimi niebiesko nakrapianymi oczyma?

Księżyc świecił srebrzyście. Odczepiłem mój sztandar od końskiego boku i rozwinąłem go. Srebrny miecz zaśnił w promieniach księżyca.

– To sztandar Erekoiego – powiedział oficer.

– Tak – odpowiedziałem – ja jestem Erekoie.

Twarz Eldrena przybrała wyraz pogardy.

– Słyszeliśmy, co zrobiłeś w Paphanaalu. Gdybyś, nie przybywał pod flagą rozejmu...

– Nie zrobiłem w Paphanaalu nic, czego musiałbym się wstydzic – odpowiedziałem.

– Oczywiście. Ty nie znasz uczucia wstydu.

– Mój miecz był cały czas schowany, gdy byłem w Paphanaalu, Eldrenie.

71

– Schowany w ciałach dzieci.

– Wierz, w co chcesz – odrzekłem. – Zaprowadź mnie do swojego pana. Nie mam czasu na rozmowy z tobą.

Przejechaliśmy przez cały milczący obóz, zanim dotarliśmy do prostego namiotu księcia Arjavha. Oficer wszedł do środka.

Po chwili usłyszałem jakieś poruszenie wewnątrz namiotu. Na zewnątrz wyszedł mężczyzna o gibkiej postaci, ubrany w lekką zbroję. Miał stalowy napierśnik zawieszony na luźnej, zielonej koszuli, na nogach skórzane spodnie ponad stalowymi nagołennikami, a na stopach sandały. Złota przepaska, ozdobiona wielkim rubinem utrzymywała jego długie, czarne włosy ponad oczyma. Jego twarz była piękna. Niechętnie używam tego słowa w odniesieniu do mężczyzny, ale żadne inne nie odda sprawiedliwości jego delikatnym rysom. Podobnie jak Ermizhad miał podłużną czaszkę i skośne raczy pozbawione oczodołów. Jednakże jego wargi nie unosiły się W górę jak u niej. Jego usta miały nocny wyraz. Widać w nich było zmęczenie. Przesunął ręką po twarzy i spojrzał na nas.

– Jestem Arjavh książę Mernadinu – powiedział melodyjnym głosem. – Co masz mi do powiedzenia, Erekoie ty, który uprowadziłeś moją siostrę.

– Przybywam we własnej osobie, aby rzucić wyzwanie wrogom Ludzkości, tak jak

nakazuje tradycja – odpowiedziałem.

– Jakiś podstęp, jak rozumiem. Szykujecie nową zdradę?

– Mówię prawdę.

Uśmiechnął się melancholijnie.

– Zgoda, Ereko, w imieniu Eldrenów akceptuję twoje, wyzwanie. Będziemy, więc walczyć, będziemy jutro zabijać się nawzajem, zgadzasz się?

– Do was należy prawo wyboru czasu bitwy – odpowiedziałem – gdyż to nie my rzucamy wam wyzwanie.

Spojrzał na mnie zdumiony.

– Upłynęło już chyba milion lat odkąd Eldrenowie i ludzie ostatni raz walczyli ze sobą, stosując się do Kodeksu Wojny. Nie mogę ci zaufać Ereko. Podobno wymordowałeś dzieci w Paphanaalu.

– Nie zabiłem ani jednego dziecka – odpowiedziałem – Błagałem, żeby je oszczędzono, ale w Paphanaalu głos decydujący mieli król i jego marszałkowie. Teraz ja dowodzę armią i postanowiłem, że będziemy walczyć według Kodeksu Wojny. Tego Kodeksu, który – jak sądzę – ja sam ułożyłem.

– Tak – odpowiedział Arjavh w zamyśleniu – czasami nazywają go Kodeksem Ereko. Ale ty nie jesteś prawdziwym Ereko. On był śmiertelny, tak jak wszyscy ludzie. Tylko Eldrenowie są nieśmiertelni.

– Pod pewnymi względami jestem śmiertelny, a pod innymi nieśmiertelny. – odpowiedziałem krótko. – Określmy teraz warunki bitwy.

Arjavh rozłożył szeroko ramiona.

– Jak mogę uwierzyć w całą tę przemowę? Ile razy zaufaliśmy wam, ludziom i ile razy

zastaliśmy zdradzeni? Jak mogę uwierzyć, że ty jesteś Erekoze, nasz odwieczny wróg,

72

którego nawet w legendach wspominamy jako honorowego przeciwnika? Chciałbym ci uwierzyć ty, który nazywasz siebie Erekoze, ale nie mogę ryzykować.

– Czy mogę zsiąść z konia? – zapytałem.

Nasz herold spojrział na mnie zaskoczony.

– Jeśli sobie życzysz – odpowiedział Arjavh. Zsiadłem z grzbietu mojego pokrytego zbroją wierzchowca, odpiąłem miecz i zawiesiłem go przy siodle. Następnie odprowadziłem konia na bok i stanąłem twarzą w twarz z księciem Arjavhem.

– Nasza armia jest liczniejsza od waszej – powiedziałem – mamy wszelkie szanse na zwycięstwo w jutrzejszej bitwie. Możliwe, że w przeciągu tygodnia ci z was, którzy ocaleją z bitwy zginą z rąk naszych żołnierzy czy chłopów. Daję ci szansę na uczciwą i szlachetną bitwę, książę. Proponuję ustalić warunki, które będą przewidywać oszczędzenie jeńców, pomoc medyczną dla rannych, określenie liczby zabitych.

Wszystko to przypominało mi się, podczas gdy przemawiałem.

– Widzę, że znasz dobrze Kodeks Erekozego.

– Kto ma go znać lepiej, jeśli nie ja?

Spojrział w górę na księżyc.

– Czy moja siostra jeszcze żyje?

– Tak.

– Dlaczego przybyłeś osobiście do naszego obozu?

– Myślę, że z ciekawości. Wiele rozmawiałem z Ermizhad. Chciałem się przekonać, czy jesteś potworem, jak twierdzą ludzie, czy też osobą, którą opisała twoja siostra.

– I jakie jest twoje zdanie?

– Jeżeli jesteś potworem, to bardzo zmęczonym.

– Nie tak zmęczonym, żeby nie móc walczyć – odpowiedział – nie tak zmęczonym, aby nie zdobyć Necranalu, jeśli tylko będę mógł.

– Spodziewaliśmy się, że wyruszysz na Paphanaal – powiedziałem mu – wydawało nam się logiczne, że będziesz próbował odzyskać swój główny port.

– Tak właśnie planowałem zrobić, zanim dowiedziałem się, że uprowadziliście moją siostrą. – przerwał – Jak ona się czuje?

– Dobrze – odpowiedziałem – powierzono ją mojej opiece. Pilnowałem, żeby traktowano ją tak dobrze, jak to tylko było możliwe.

Skinął głową.

– Rzecz jasna przybyliśmy, aby ją odbić – powiedział.

– Zastanawiałem się czy to było waszym motywem – uśmiechnąłem się – Powinniśmy byli się tego spodziewać. Czy zdajesz sobie sprawę, że jeśli wygrasz jutrzejszą bitwę, będą ci grozić, że ją zabiją, o ile się nie wycofasz?

Arjavh zacisnął wargi.

– Zabiją ją tak czy inaczej. Będą ją torturować. Wiem jak traktują eldreńskich jeńców.

Nie mogłem powiedzieć nic, aby temu zaprzeczyć.

– Jeśli zabiją moją siostrę – puszczę Necranal z dymem, choćbym z całej armii tylko ja pozostał przy życiu. Zabiję Rigenosa, jego córkę, wszystkich.

– I tak się to toczy – powiedziałem cicho.

73

Arjavh spojrzał na mnie.

– Przepraszam. Chciałeś ustalić warunki bitwy. W porządku, Ereko. Wierzę ci. Zgodzę się na wszystkie twoje propozycje, ale postawię ci jeden warunek.

– Jaki?

– Uwolnienie Ermizhad z niewoli, jeśli zwyciężymy. To oszczędzi życie wielu zarówno nas, jak i was.

– Niewątpliwie – zgodziłem się – ale nie mogę tego obiecać. Przykro mi bardzo, księżę, ale to Rigenos trzyma ją w niewoli. Zgodziłbym się, gdyby była moim więźniem.

Westchnął.

– Zgoda. Będziemy gotowi jutro o świcie.

– Przewyższamy was liczebnie, księżę – dodałem pośpiesznie – jeżeli chcecie możecie odejść w pokoju.

– Będziemy walczyć.

– Do zobaczenia o świcie, księżę Eldrenów.

Kiwnął ręką na znak zgody.

– Do widzenia, Erekose.

Wsiadłem na konia i wyruszyłem z powrotem do naszego obozu. Zdziwiony herold jechał u mojego boku. Byłem w smutnym nastroju. Nie wiedziałem, co mam myśleć. Czyżby Eldrenowie byli aż tak sprytni, że mogli oszukać mnie z łatwością? Jutro miało okazać.

Tej nocy w moim namiocie spałem równie źle jak zwykle. Jednakże tym razem akceptowałem swoje sny, nie starałem się z nimi walczyć, ani ich zrozumieć. Stało się dla mnie jasne, że to nie ma sensu. Byłem tym, kim byłem – wiecznym wojownikiem. Nigdy nie miałem się dowiedzieć, dlaczego.

Przed świtem obudził nas dźwięk trąb. Przywdziałem zbroję i przypasałem miecz.

Pochwa mojej kopii była rozpruta, odsłaniając długie ostrze okute metalem. Wyszedłem w chłodny półmrok. Dzień się jeszcze nie zaczął. Moi kawalerzyści widoczni w bladym świetle poranka dosiadali już koni. Na czoło wystąpił mi zimny, lepki pot. Ocierałem go co chwila,

jednakże bez rezultatu. Zdjąłem hełm i zawiesiłem go na piersi. Giermkowie wręczyli mi rękawice. Założyłem je. Krocząc sztywno w swej zbroi udałem Się w kierunku wierzchowca. Giermkowie pomogli mi wsiąść, podali tarczę i kopię. Pogalopowałem wzdłuż szeregów, aby zająć miejsce na czele.

Było bardzo cicho, gdy wyruszyliśmy. Wyglądaliśmy jak stalowe morze uderzające o brzeg, którym był obóz Eldrenów. O bladym poranku nasze armie ujrzały się nawzajem. Eldrenowie wciąż stali przy swoim obozie. Gdy nas ujrzeli ruszyli naprzód – powoli, lecz nieubłaganie. Podniosłem przyłbicę, aby rozejrzeć się wkoło. Ziemia była sucha. Wydawało się, że w pobliżu nie ma żadnych obiektów, które mogłyby mieć znaczenie strategiczne. Kopyta końskie uderzały w darń. Zbroje jeźdźców pobrzękiwały podczas jazdy, uprząż koni skrzypiała. Mimo tych wszystkich dźwięków wydawało się, że powietrze wypełnia cisza. Zbliżaliśmy się coraz bardziej.

Grupa jaskółek przeleciała wysoko nad nami w kierunku odległych wzgórz. Opuściłem przyłbicę. Koń zadrzał pode mną. Zimny pot pokrywał całe moje ciało i zalewał mi zbroję. Tarcza i miecz wydały mi się nagle bardzo ciężkie. Czulem zapach potu koni i ludzi.

74

Niedługo miałem także poczuć zapach ich krwi. Ze względu na pośpiech nie zabraliśmy ze sobą dział. Eldrenowie – z tego samego powodu, również nie mieli artylerii. Być może – pomyślałem – ich maszyny oblężnicze podążają za nimi wolniejszym krokiem.

Coraz bliżej.

Widziałem już sztandar Arjavha i niewielkie skupisko flag jego dowódców. Polegałem głównie na naszej kawalerii. Miała ona rozdzielić się na dwie części, tak żeby otoczyć Eldrenów, podczas gdy następna grupa jeźdźców uderzy w sam środek ich szeregów i przebije się na tyły, tak żeby zostali otoczeni ze wszystkich stron.

Wciąż bliżej.

Poczułem skurcz żołądka i smak żółci w ustach.

Blisko.

Ściągnąłem cugle i uniosłem kopię. Wydałem łucznikom rozkaz strzelania. Nie mieliśmy kusz, tylko wielkie łuki, które miały większy zasięg i siłę przebicia, a także mogły wystrzeliwać kilka strzał jednocześnie. Pierwsza chmura strzał przeleciała nam nad głowami i uderzyła z trzaskiem w szeregi Eldrenów, potem następna i następna. Nasze strzały nie pozostały bez odpowiedzi. Ludzie krzyčeli i konie rżały, gdy wysmukłe strzały Eldrenów osiągały swój cel. Przez chwilę w nasze szeregi wkradł się chaos. Jednakże po chwili ludzie ustawili się ponownie z wielką dyscypliną. Znowu uniosłem kopię, na której widniał mój czarno-srebrny znak.

– Kawaleria. Naprzód w pełnym galopie!

Dźwięk trąb powtórzył mój rozkaz. Powietrze wypełniło się ich hałasem. Rycerze spięli ostrogami swe wierzchowce. Szereg za szeregiem uformowali się w wachlarz, podczas gdy następna grupa jechała w sam Środek eldreńskich szeregów. Pochylili się nad grzbietami swych rozpędzonych wierzchowców, jedni trzymali kopie pod prawym ramieniem, celując nimi w lewo, inni na odwrót. Kity na hełmach powiewały. Wiatr unosił płaszcze, flagi trzepotały w powietrzu. Światło słońca odbijało się w zbrojach.

Tętent kopyt ogłuszył mnie niemal całkowicie. Poderwałem konia do galopu. Wraz z grupą pięćdziesięciu dobranych rycerzy, którzy otaczali bliźniacze sztandary Ludzkości, ruszyłem naprzód wyęzając wzrok w poszukiwaniu Arjavha, którego w tyra momencie nienawidziłem z olbrzymią intensywnością. Nienawidziłem go, gdyż musiałem z nim walczyć i być może go zabić. Ze straszliwym hałasem powstałym z krzyku ludzi i brzęku zbroi uderzyliśmy w szeregi Eldrenów. Wkrótce zapomniałem o wszystkim poza zabijaniem i

obroną przed tymi, którzy chcieli mnie zabić. Po chwili złamałem swą kopię. Przeszła na wylot przez ciało eldreńskiego rycerza i pękła z trzaskiem. Zostawiłem ją tam i wyciągnąłem miecz, którym zacząłem wymachiwać z wściekłością, poszukując Arjavha. W końcu ujrzałem go, jak wymachiwał olbrzymim buzdyganem, masakrując piechurów, którzy starali się ściągnąć go z siodła.

– Arjavh.

Spojrzał na mnie kątem oka.

– Chwileczkę, Erekose, jestem zajęty.

– Arjavh – ponownie wykrzyknąłem wyzwanie.

75

Arjavh załatwił się z ostatnim z piechurów, po –czym zwrócił konia w moją stronę, wciąż wymachując swą potworną bronią. Dwaj konni rycerze ruszyli w jego stronę, wycofali się jednak ujrawszy, że mamy zamiar walczyć ze sobą. Zbliżyliśmy się na odpowiednią odległość. Wymierzyłem potężny cios swoim zatrutym mieczem. Uchylił się w porę. Poczułem, że cios jego buzdyganu ześlizgnął mi się po plecach. Pochyliłem się próbując zadać mu cios tak, że mój miecz niemal dotknął zrytej ziemi. Uniosłem go starając się zadać sztych od dołu, jednakże Arjavh odbił cios z łatwością. Walczyliśmy tak przez kilka minut, aż ku swemu zdumieniu usłyszałem głos.

– Do mnie rycerze Ludzkości. Wycofywać się.

Było oczywiste, że nasza taktyka nie przyniosła rezultatu. Nasze siły próbowały przegrupować się, aby podjąć walkę na nowo. Arjavh uśmiechnął się, opuszczając buzdygan.

– Próbowali otoczyć widma – powiedział, śmiejąc się w głos.

– Wkrótce znów się spotkamy, książę – krzyknąłem.

Zawróciłem konia torując sobie drogę wśród walczących rycerzy w stronę sztandaru,

który powiewał po mojej prawej stronie. Moja decyzja nie wynikała z tchórzostwa. Arjavh wiedział, że musiałem być ze swoimi ludźmi, podczas gdy się przegrupowywali. Dlatego opuścił swoją broń. Nie chciał mnie zatrzymywać.

Rozdział 19 **BITWA ROZSTRZYGNIĘTA**

Arjavh wspomniał o widmach. Nie zauważyłem wśród jego ludzi żadnych potworów.

Czym były widma? Jakiego rodzaju stworzeń nie można otoczyć? Była to tylko jedna z przyczyn moich zmartwień. Należało czym prędzej ustalić nowy plan bitwy, aby zapobiec klęsce. Gdy się zbliżałem, czterech spośród moich marszałków starało się rozpaczliwie skupić naszych żołnierzy wokół siebie. Zamiast, jak planowaliśmy, my Eldrenów, Eldrenowie otoczyli nas. Liczne grupki naszych żołnierzy zostały odcięte od głównych sił. Zapytałem jednego z marszałków przekrzykując zgiełk bitwy.

– Jaka jest sytuacja? Dlaczego przegrywamy? Mamy przewagę liczebną.

– Nie wiem, jaka jest sytuacja, panie – odpowiedział marszałek – nie rozumiem, co się stało. W jednej chwili otaczaliśmy Eldrenów, a w następnej połowa ich sił zniknęła, aby pojawić się za naszymi plecami otaczając nas. Nie możemy poznać, którzy są prawdziwymi Eldrenami, a którzy widmami.

Człowiekiem, z którym rozmawiałem był hrabia Maybeda – stary doświadczony wojownik. Był wstrząśnięty, sprawiał wrażenie bliskiego załamania.

– Jakie jeszcze możliwości mają widma? – zapytałem.

– Są materialne, panie. Można je zabić zwykłą bronią, ale kiedy zechcą mogą zniknąć i pojawiać się w dowolnym miejscu na polu bitwy. Przeciw takiemu przeciwnikowi każda taktyka zawodzi.

– W takim przypadku musimy zebrać naszych ludzi i skupić się na działaniach obronnych

– zdecydowałem – Myślę, że wciąż jest nas więcej Eldrenów i widm razem wziętych. Niech

spróbują nas zaatakować.

76

Morale moich wojowników było niskie. Wydawali się zbili z tropu. Nie potrafili pogodzić się z możliwością klęski, gdy zwycięstwo wydawało się tak bliskie.

Ponad kłębiącym się tłumem ujrzałem eldreński sztandar z bazyliiszkiem zbliżający się w naszą stronę. Nadciągała kawaleria z księciem Arjavhem na czele. Nasze armie starły się ze sobą i ponownie walczyłem z wodzem Eldrenów. Znał potęgę mojego miecza. Wiedział, że jego dotyk może go zabić, gdybym tylko znalazł szczelinę w jego zbroi. Jednakże straszliwy buzdygan, którym władał tak lekko jak inni rycerze mieczem, odbijał każdy mój cios.

Walczyli my tak przez pół godziny. Widać było po nim oznaki skrajnego zmęczenia. Moje własne mięśnie bolały mnie potwornie.

I znowu nasze siły zostały rozbite. Nie można było nic powiedzieć o przebiegu bitwy.

Przez większy czas nie zwracałem uwagi na wypadki rozgrywające się wokół, koncentrując się na próbach przełamania znakomitej obrony Arjavha. Wtem ujrzałem, jak hrabia Maybeda przemknął obok mnie, jego złota zbroja była strzaskana, jego twarz i ramiona pokryte krwią.

W zakrwawionej dłoni trzymał rozdarty sztandar Ludzkości. W jego oczach widniał strach.

– Uciekaj Ereko. Bitwa jest przegrana.

Nie mogłem w to uwierzyć zanim nie ujrzałem resztek moich żołnierzy przemykających obok mnie w sromotnej ucieczce.

– Do mnie rycerze Ludzkości – krzyknąłem – do mnie.

Nie zwrócili na mnie żadnej uwagi. Arjavh ponownie opuścił swój buzdygan.

– Jesteś pokonany – powiedział. Opuściłem niechętnie miecz.

– Jesteś godnym przeciwnikiem, książę.

– Ty również jesteś godnym przeciwnikiem, Ereko. Pamiętam nasze Warunki. Możesz

odejść w pokoju. Necranal będzie cię potrzebował.

Potrząsnąłem głową. Zaczerpnąłem głęboki wdech.

– Broń się książę – krzyknąłem.

Podniósł buzdygan odbijając cios, który próbowałem mu zadać i spuścił go prosto na mój nadgarstek. Ręka zdrętwiała mi z bólu. Usiłowałem nie wypuszczać miecza, lecz palce odmówiły mi posłuszeństwa. Miecz wypadł mi z ręki i zawisł na rzemieniu zwisającym z nadgarstka. Z przekleństwem na ustach skoczyłem w stronę księcia, starając się dosięgnąć go zdrową ręką, jednakże on odwrócił tylko swego konia, tak że upadłem znowu i straciłem przytomność.

Rozdział 20

KIM JESTEM?

– Jesteś Erekose, wieczny wojownik.

– JAKIE JEST MOJE PRAWDZIWE IMIĘ?

– Takie, jakie w danej chwili nosisz.

– DLACZEGO JESTEM TYM, KIM JESTEM?

– Dlatego, że byłeś nim zawsze.

– CO TO ZNACZY ZAWSZE?

– Zawsze.

77

– CZY KIEDYKOLWIEK BĘDĘ ZNAŁ POKÓJ?

– Niekiedy.

– NA JAK DŁUGO?

– Na chwilę.

– SKĄD SIĘ WZIAŁEM?

– Istniałeś zawsze.

– DOKĄD ZMIERZAM?

– Tam gdzie musisz.

– PO CO?

– Żeby walczyć.

– WALCZYĆ O CO?

– Walczyć.

– O CO?

Zadrzałem zdając sobie sprawę, że nie mam zbroi. Spojrzałem w górę. Arjavh stał nade mną.

– Nie rozumiem, dlaczego mnie nienawidził – szepnął do siebie.

Nagle zdał sobie sprawę, że się obudziłem. Wyraz jego twarzy zmienił się. Uśmiechnął się lekko.

– Jesteś zawziętym wojownikiem, Erekoze.– Spojrzałem w jego smutne oczy o mleczej barwie.

– Co z moimi wojownikami? – zapytałem.

– Ci, którzy nie zginęli, uciekli. Uwolniliśmy nielicznych jeńców, których wzięliśmy i wysłaliśmy ich w ślad za towarzyszami. Takie były warunki, nieprawdaż? Podniosłem się z wysiłkiem.

– Macie zamiar uwolnić mnie?

– Myślę, że tak, chociaż...

– Co?

– Byłbyś użytecznym zakładnikiem?

Zrozumiałem, co ma na myśli. Upadłem z powrotem na twarde łóżko. Zamyśliłem się.

Staralem się odsunąć pomysł, który przyszedł mi do głowy.

W końcu jednak nie mogłem już milczeć.

– Wymieńcie mnie za Ermizhad – powiedziałem niemal wbrew własnej woli

W jego oczach pojawił się błysk zaskoczenia.

– Sam to proponujesz? Przecież Ermizhad jest najwspanialszym zakładnikiem dla Ludzkości.

– Do diabła z tym, Eldrenie. Powiedziałem ci, żebyś to zrobił.

– Jesteś niezwykłym przedstawicielem swego gatunku, przyjacielu. Jeżeli się zgadzasz, zrobię to. Jestem ci wdzięczny. Widzę, że naprawdę pamiętasz dawny Kodeks Wojny. Myślę, że rzeczywiście jesteś tym, za kogo się podajesz.

Zamknąłem oczy. Głowa mnie bolała. Arjavh wyszedł z namiotu. Słyszałem jak wydawał rozkazy posłańcowi.

78

– Wszyscy muszą o tym wiedzieć – krzyknąłem z łóżka – Król może się nie zgodzić, ale ludzie go zmuszą. Jestem ich bohaterem. Z chęcią wymienię mnie na każdego z Eldrenów.

Arjavh udzielił stosownych instrukcji posłańcowi, po czym wrócił do namiotu i usiadł Aa ławie naprzeciwko mnie.

– Nie mogę zrozumieć – odezwałem się po chwili – dlaczego Eldrenowie do tej pory nie pokonali Ludzkości. Mając takich sprzymierzeńców jak widma powinniście być niezwyciężeni.

Potrząsnął głową.

– Rzadko korzystamy z ich pomocy – odpowiedział – byłem w sytuacji bez wyjścia.

Rozumiesz chyba, że byłem gotów użyć niemal wszystkich środków, aby uratować moją siostrę?

– Rozumiem – odpowiedziałem mu.

– Nigdy byśmy nie zaatakowali Necralali – powiedział – gdyby nie Ermizhad.

Powiedział to z taką prostotą, że musiałem mu uwierzyć. Już przedtem byłem o tym przekonany. Zaczerpnąłem oddechu.

– Jestem w trudnej sytuacji – powiedziałem – muszę prowadzić wojnę nie wiedząc, o co w niej chodzi, ani kto ma rację, nie znając tego świata, ani jego mieszkańców. Oczywiście prawdy okazują się być kłamstwami, a niewiarygodne opowieści czystą prawdą. Na przykład, co to są widma?

Uśmiechnął się.

– Upiory z piekła rodem – odpowiedział.

– Tak mi powiedział Rigenos. To nie jest żadne wytłumaczenie.

– Co to da, jeśli ci powiem, że widma potrafią rozkładać się na atomy i ponownie skupiać w innym miejscu. Nie zrozumiesz mnie. Powiesz, że to czary.

Byłem zaskoczony przez naukowy charakter jego wyjaśnienia.

– To potrafię zrozumieć – powiedziałem.

Podniósł brwi, wyraźnie zaskoczony.

– Rzeczywiście jesteś inny – powiedział – Jak widziałeś, widma są podobne do Eldrenów.

Nie wszyscy mieszkańcy światów Duchów są z nami spokrewnieni. Niektórzy z nich przypominają ludzi. Są tam też inne, niższe formy życia. Światy duchów są całkowicie realne, istnieją tylko w innych wymiarach niż nasz świat. U siebie widma nie posiadają żadnych niezwykłych umiejętności, podobnie jak my, ale w naszym świecie jest inaczej. Nikt z nas nie wie, dlaczego. Przebywając na Ziemi wydają się podlegać innym prawom. Ponad milion lat temu odkryliśmy sposób przedostania się z Ziemi na inne światy. Znaleźliśmy tam rasę spokrewnioną z nami, która niekiedy przychodzi nam z pomocą, gdy nasza sytuacja jest

szczególnie ciężka, tak jak teraz. Niekiedy jednak most przestaje istnieć. Gdy Światy Duchów przesuwają się po swych tajemniczych orbitach w inne miejsce, żadne z widm przebywających na Ziemi nie może wrócić do domu. Nasi ludzie przebywający po drugiej stronie znajdują się w takiej Samej sytuacji. Jak widzisz, nie jest bezpiecznie pozostawać tam zbyt długo.

– Czy to możliwe, że Eldrenowie pochodzą ze świata Duchów? – zapytałem.

– Nie można tego wykluczyć – odpowiedział – ale nie ma na to dowodów.

79

– Być może, dlatego ludzie nienawidzą was jako obcych – zasugerowałem.

– To niemożliwe. Eldrenowie zamieszkiwali Ziemię na długo zanim Ludzkość tu przybyła.

– Co?

– To prawda – odpowiedział. Jestem nieśmiertelny. Mój dziadek również był nieśmiertelny. Zabito go podczas pierwszej wojny między Eldrenami a ludźmi. Gdy ludzie pierwszy raz przybyli na Ziemię przywieźli ze sobą straszliwą broń o olbrzymiej sile niszczącej. W tych czasach my również używaliśmy podobnych broni. Ta wojna spowodowała tak wielkie zniszczenie, że gdy się skończyła Ziemia wyglądała jak osmalona kula błota. Eldrenowie zostali pokonani. Zniszczenie było tak wielkie, że przysięgaliśmy nigdy więcej nie używać naszej broni choćby nawet zagrażała nam całkowita eksterminacja. Nie chcieliśmy, żeby spadła na nas odpowiedzialność za zniszczenie całej planety.

– To znaczy, że wciąż jeszcze macie tę broń?

– Mamy wiele rodzajów broni. Trzymamy je wszystkie pod zamknięciem.

– Wiecie, jak ich użyć?

– Oczywiście, jesteśmy nieśmiertelni. Wielu z naszych ludzi walczyło w tych

starożytnych wojnach. Niektórzy nawet budowali nowe typy broni zanim podjęliśmy decyzję.

– Więc dlaczego.

– Powiedziałem ci już. Złożyliśmy przysięgę.

– A co się stało z bronią ludzi i z ich wiedzą? Czy podjęli taką samą decyzję?

– Nie. Rasa ludzka uległa degeneracji. Walczyli między sobą. W jednej epoce wytępiłi się nawzajem niemal doszczętnie, w następnej powrócili do barbarzyństwa, jeszcze w następnej wydawało się, że w końcu dojrzeli i mogą żyć w pokoju ze swymi duszami i z sobą nawzajem. Przez te wszystkie okresy utracili stopniowo swoją wiedzę. W ciągu ostatniego miliona lat podźwignęli się ponownie ze stanu całkowitej dzikości. Lata pokoju były krótkie – fałszywa cisza przed burzą. Myślę, że niedługo powrócą do punktu wyjścia. Wydają się pragnąć własnego unicestwienia równie mocno jak naszego. Zastanawiam się czy ludzie, którzy z pewnością istnieją na innych planetach są tacy sami. Być może nie.

– Mam nadzieję, że nie – odpowiedziałem. – Jak myślisz, jakie są szanse Eldrenów w wojnie z ludźmi.

– Małe. Twoje przywództwo tchnie w ludzi nowego ducha, a brama do Światów Duchów wkrótce będzie zamknięta. Uprzednio Ludzkość była podzielona przez nieustanne spory. Król Rigenos nigdy nie mógł zmusić swoich marszałków do jednomyślności, a sam miał zbyt mało pewności siebie, aby podejmować ważne decyzje. Ale teraz ty podejmujesz decyzje i marszałkowie cię słuchają. Myślę, że zwyciężycie.

– Jesteś fatalistą.

– Raczej realistą.

– Czy nie można zawrzeć pokoju?

Potrząsnął głową.

– Jaki sens mają rokowania? – zapytał gorzko – Żal mi was ludzie. Dlaczego zawsze

uważacie, że działamy z takich samych pobudek jak wy?

80

My nie pragniemy władzy, tylko pokoju. Obawiam się jednak, że ta planeta nie zazna go zanim Ludzkość nie umrze ze starości.

Zostałem z Arjavhem jeszcze kilka dni, zanim zwolnił mnie za słowem honoru, po czym wyruszyłem z powrotem do Necranalu. Była to długa, samotna podróż. Miałem wiele czasu do rozmyślań. Prawie nikt mnie nie rozpoznał. Jechałem w potrzaskanej, pokrytej kurzem zbroi, a mieszkańcy Necranalu przyzwyczaili się w tych dniach do widoku pobitych wojowników wracających do miasta. Gdy dotarłem do Pałacu Dziesięciu Tysięcy Okien panował w nim złowieszczy spokój. Nie mogłem nigdzie znaleźć króla ani Iolindy. Udałem się do swojego dawnego pokoju zdjąć zbroję.

– Kiedy odjechała pani Ermizhad? – zapytałem sługi.

– Odjechała panie? Nic o tym nie wiem.

– Jak to?

– Wciąż jest w swoich pokojach.

Nie zdążyłem jeszcze zdjąć napierśnika. Przypasałem miecz i udałem się do pokoi Ermizhad. Odprawiłem strażnika stojącego przed drzwiami.

– Ermizhad. Mieli wymienić cię za mnie. Taka była umowa. Gdzie król? Dlaczego nie dotrzymał słowa?

– Nic o tym nie wiem – odpowiedziała – nie wiedziałam nawet, że Arjavh jest blisko. W przeciwnym razie...

Przerwałem jej. – Chodź ze mną. Znajdziemy króla i odeślemy cię z powrotem do domu.

Ciągnąłem ją za sobą po pałacu z pokoju do pokoju. W końcu znaleźliśmy króla w jego prywatnej komnacie, gdzie naradzał się z Rolderem.

– Co to znaczy, Rigenos – wybuchnąłem. – Dałem słowo Arjavhowi, że Ermizhad zostanie wypuszczona. Zaraz po mnie. Uwolnił mnie za słowem honoru i gdy wróciłem dowiedziałem się, że wciąż jest więźniem. Żądam, żeby ją natychmiast uwolnić.

Król i Roldero wybuchnęli śmiechem.

– Zastanów się Erekose – powiedział Roldero – po co dotrzymywać słowa, eldreńskiemu szakalowi. W ten sposób mamy ciebie z powrotem i nadal zatrzymujemy swojego zakładnika. Zrozum Erekose. Eldrenów nie można traktować jak ludzi.

Ermizhad uśmiechnęła się.

– Nie martw się, Erekose. Mam jeszcze innych przyjaciół.

Zamknęła oczy i zaczęła nucić jakąś melodię. Z początku jej słowa były ciche, lecz po chwili podniosła głos wydając z siebie serię niesamowitych dźwięków.

– Czary – Roldero zerwał się z miejsca wyciągając miecz.

Stałem mu na drodze.

– Z drogi Erekose. Ta dziwka wzywa demony.

Wyciągnąłem miecz w ostrzegawczym geście, zasłaniając sobą Ermizhad. Nie wiedziałem, co chce zrobić, ale postanowiłem dać jej szansę. Przerwała nagle swą pieśń.

– Bracia ze światów Duchów, przybywajcie na pomoc – krzyknęła.

81

Rozdział 21 **PRZYSIĘGA**

Nagle w komnacie zmaterializowało się około tuzina Eldrenów o twarzach nieco innych niż te, które widziałem dotąd, rozpoznałem ich jako widma.

– Spójrz – krzyknął Rigenos – diabelskie sztuczki. To czarownica. Mówiłem ci.

Czarownica.. – Widma nie odzywały się. Otoczyły Ermizhad tak, że ich ciała zetknęły się ze sobą.

– W drogę bracia. Do obozu Eldrenów – krzyknęła. Ich kształty zaczęły migotać.

Wydawało się, że znajdują się częściowo w innym wymiarze.

– Do zobaczenia, Erekose – krzyknęła – obyśmy spotkali się w szczęśliwszych okolicznościach.

– Mam nadzieję, że tak będzie – odpowiedziałem. Zniknęła.

– Zdrajca – krzyknął król – pozwoliłeś jej uciec.

– Powinieneś zginąć na torturach – wykrzyknął Roldero z niesmakiem.

– Jak dobrze wiecie nie jestem zdrajcą. – powiedziałem spokojnie – To wy jesteście zdrajcami. Zdrajcami własnego słowa i wielkiej tradycji waszych przodków. Nie macie prawa mnie oskarżać, wy głupi... – Przerwałem. Odwróciłem się i wyszedłem z komnaty.

– Przegrałeś swoją bitwę, Erekose – wrzasnął Rigenos – ludzie nie darują ci porażki.

Poszedłem odszukać Iolindę. Uprzednio widziałem ją spacerującą po balkonach, jednakże zdążyła już wrócić do swej komnaty. Pocałowałem ją, poszukując zrozumienia. Natrafiłem na mur. Odwzajemniła posłusznie pocałunek, jednak najwyraźniej nie była gotowa udzielić mi pomocy. Wypuściłem ją z objąć i spojrzałem prosto w oczy.

Coś jest nie w porządku? – zapytałem.

– Nic – odpowiedziała – dlaczego pytasz? Nic ci nie grozi. Bałam się, że zginiesz.

Czyżby to była moja wina? Odepchnąłem tę myśl od siebie. Jak mężczyzna może się zmusić do tego, żeby kochać kobietę? Jak może kochać dwie kobiety jednocześnie?

Rozpaczliwie starałem się wzbudzić w sobie miłość, którą czułem do niej, gdy spotkaliśmy się pierwszy raz.

– Ermizhad jest bezpieczna – powiedziałem – wezwała na pomoc widma. Gdy tylko przybędzie do obozu, Arjavh powróci do Mernadinu. Powinnaś się cieszyć.

– Cieszę się – odpowiedziała – ty też z pewnością się cieszysz, że nasz zakładnik uciekł.

– O co ci chodzi?

– Mój ojciec opowiedział mi, jak opętała cię swoimi kurewskimi sztuczkami. Mam wrażenie, że bardziej zależy ci na jej bezpieczeństwie niż na Naszym.

– Opowiadasz głupstwa.

– Słyszałam też, że lubisz towarzystwo Eldrenów. Spędzałeś wakacje z naszym największym wrogiem.

–Przestań.

– Myślę, że mój ojciec mówił prawdę, Erekose – powiedziała ściszym głosem.

Odwróciła się do mnie tyłem.

– Iolindo, kocham tylko ciebie.

– Nie wierzę ci, Erekose.

82

Coś we mnie sprawiło wtedy, że stało się to, co się stało. Złożyłem przysięgę, która określiła przeznaczenie nas wszystkich. Dlaczego, gdy zdawałem sobie sprawę, że moja miłość do niej zanika, widziałem, że jest głupią, zachłanną i samolubną, chciałem ją zapewnić o swojej wielkiej miłości? Nie wiem. Wiem tylko, że to właśnie zrobiłem.

– Kocham cię ponad życie Iolindo – powiedziałem – zrobię dla ciebie wszystko.

– Nie wierzę ci.

– Dowiodę tego – krzyknąłem w rozpacz.

Odwróciła się. W jej oczach były ból, pretensja i gorycz tak głęboka, że zdawały się nie mieć dna. Były tam także wściekłość i żądza zemsty.

– Jak to udowodnisz, Erekose? – zapytała cicho.

– Przysięgnę, że zabiję wszystkich Eldrenów.

– Wszystkich, co do jednego? Żadnego nie oszczędzisz?

– Nie. Chcę, żeby to się skończyło. Jedyne sposoby, to zabić ich wszystkich.

– Razem z Arjavhem i jego siostrą?

– Tak.

– Przysięgasz?

– Przysięgam. Kiedy ostatni Eldren zginie i cały świat będzie nasz, wrócę do ciebie i pobierzemy się.

Skinęła głową.

– Zgoda, Ereko. Zobaczymy się później.

Wyśliznęła się z pokoju. Odpiąłem miecz i rzuciłem go z rozmachem na podłogę. Przez najbliższe godziny trawiły mnie duchowe męczarnie. Złożyłem już swoją przysięgę.

Poczułem chłód. Miałem zamiar zrobić to, co obiecałem. Zniszczę wszystkich Eldrenów.

Uwolnię świat od nich. Uwolnię swoją duszę od nieustannego cierpienia.

Rozdział 22 **SPUSTOSZENIE**

Sny i wspomnienia przestały mnie prześladować, gdy stawałem się w coraz większym stopniu automatem, a nie człowiekiem. Czułem się, jakbym został zmuszony do bezmyślnego pełnienia swojej roli tak, że gdy postępowałem jak istota pozbawiona sumienia, ono wynagradzało mnie swoją nieobecnością. Gdybym zaczął przejawiać ludzkie cechy zostałemby ukarany natychmiastowymi wyrzutami sumienia. Ale to wrażenie wcale nie musi być bliższe prawdy niż inne. Można też twierdzić, że dążyłem do katharsis, które uwolniłoby mnie od wątpliwości i koszmarów.

Podczas miesiąca, który spędziliśmy na przygotowaniach do wojny przeciwko Eldrenom widywałem swoją narzeczoną bardzo rzadko, aż w końcu przestałem zabiegać o spotkania z nią, skupiając swoją uwagę na planach kampanii, które mieliśmy zamiar przeprowadzić.

Panowałem nad swoim umysłem jak prawdziwy żołnierz. Żadne uczucie, ani miłość, ani

nienawiść nie miało na mnie wpływu. Stałem się silny do tego stopnia, że właściwie utraciłem cechy ludzkie. Wiedziałem, że ludzie zdają sobie z tego sprawę, ale jednocześnie doceniają

83

moje zdolności, jako dowódcy. Mimo że unikali mojego towarzystwa, byli zadowoleni, że to Erekośe ich prowadzi.

Arjavh i jego siostra wrócili na swoje okręty i pożeglowali z powrotem do Mernadinu. Z pewnością oczekiwali na nas przygotowując się do następnej bitwy. Powróciliśmy do swoich pierwotnych planów i mieliśmy zamiar wyruszyć w końcu na Wyspy Zewnętrzne, gdzie leżała brama do światów Duchów. Chcieliśmy zamknąć tę bramę. Tak więc wyruszyliśmy.

Była to długa i mozolna żegluga. Po długim czasie ujrzeliśmy nagie brzegi Wysp Zewnętrznych. Przygotowaliśmy się do lądowania. Roldero był razem ze mną. Był ponury i milczący, podobnie jak ja przekształcił się dobrowolnie w narzędzie wojny. Wylądowaliśmy zachowując ostrożność, jednakże wyglądało na to, że Eldrenowie wiedzieli o naszym przybyciu i niemal wszyscy opuścili swoje miasta. Tym razem nie było żadnych kobiet ani dzieci. Nie było nic oprócz garstki Eldrenów, których zabiliśmy.

Nie znaleźliśmy żadnych widm. Arjavh mówił prawdę, gdy powiedział, że brama światów Duchów wkrótce się zamknie. Obróciliśmy wszystkie miasta w gruzy pałac i grabiąc zgodnie ze zwyczajem, jednakże bez zwykłej przyjemności. Torturowaliśmy schwytych Eldrenów, aby dowiedzieć się, dlaczego ich bracia uciekli.

W głębi duszy znałem już odpowiedź. Nasi żołnierze byli rozczarowani.

Chociaż nie pozostawiliśmy ani jednego stojącego budynku i ani jednego żywego Eldrena, mieliśmy wrażenie, że pokrzyżowano nasze plany. Czuliśmy się jak namiętny kochanek wobec oziębłej partnerki. Ponieważ Eldrenowie nie chcieli wydać nam bitwy nienawiść naszych żołnierzy do nich wzrosła jeszcze bardziej.

Gdy skończyliśmy swoją robotę na Wyspach Zewnętrznych zamieniając wszystkie budynki w gruzy i wszystkich Eldrenów w trupy, popłynęliśmy niemal natychmiast na Mernadin i zawinęliśmy do Paphanaalu, gdzie wciąż stacjonowały nasze główne siły pod dowództwem Katorna. W międzyczasie dołączył do nich król Rigenos. Wyszliśmy całą armię na ląd i wyruszyliśmy na podbój kontynentu. Niewiele faktów pamiętam dokładnie. Dni zlewały się ze sobą. Gdziekolwiek udaliśmy się zabijaliśmy Eldrenów. Zdawało się, że żadna twierdza nie może wytrzymać naszego bezlitosnego naporu.

Mordowałem bezustannie, nie znając zmęczenia. Moja żądza krwi była nienasycona. Ludzkość pragnęła takiej bestii jak ja. Wszyscy podążali za mną mimo strachu, jaki w nich wzbudzałem. Był to rok ognia i stali. Mernadin wyglądał jak morze krwi i dymu. Żołnierze byli fizycznie zmęczeni, ale duch mordy pozostawał w nich, dodając im nowych sił. Rok bólu i śmierci. Gdziekolwiek sztandary Ludzkości napotykały sztandar z bazyliżką, ten ostatni obalano i wdeptywano w ziemię. Wszystkie sprawy rozwiązywaliśmy za pomocą miecza. Bezlitośnie karaliśmy własnych dezertersów. Przemocą zmuszaliśmy naszych żołnierzy do większego wysiłku. Byliśmy jeźdźcami śmierci – Rigenos, Katorn, Roldero i ja.

Wyglądaliśmy jak zgłodniałe psy żywiące się eldreńskim mięsem, chleptające eldreńską krew. Byliśmy wściekłymi, zdyszczymi psami o dzikich oczach i ostrych kłach. Nie znaleźliśmy zmęczenia tropiąc zapach świeżej krwi. Za sobą zostawialiśmy miasta spalone i zburzone, aż nie pozostawał kamień na kamieniu. Zwłoki Eldrenów zaśmiecały cały kraj. Podążały za nami stada sępów i szakali o gładkiej sierści.

84

Rok mordy i zniszczenia. Skoro nie mogłem się zmusić do miłości postanowiłem zmusić się do nienawiści. Bali się mnie wszyscy – ludzie i Eldrenowie. Obróciłem piękny Mernadin w stos pogrzebowy, na którym ku własnemu zdumieniu i żalowi, zamierzałem spalić swe

utracone człowieczeństwo.

W dolinie Kalaquita, gdzie znajdowało się pełne ogrodów miasto Lakh został zabity król Rigenos.

Miasto wyglądało spokojnie. Wydawało się być opuszczone. Zbliżyliśmy się do niego nie zachowując środków ostrożności. Zamiast zdyscyplinowanej armii, która wylądowała w Paphanaalu byliśmy dziką, wrzeszczącą hordą w pokrytych krwią i kurzem zbrojach, którą wymachując mieczami pogalopowała na oślep w kierunku pięknego miasta Lakh.

To była pułapka.

Eldrenowie ukryli się na wzgórzach używając swojego miasta jako przynęty. Ich działa o srebrnych wylotach odezwały się nagle z otaczających lasów, wysyłając swe pociski w sam środek grupy naszych żołnierzy. Smukłe strzały świsnęły w powietrzu wzbudzając postrach. Ukryci eldreńscy łucznicy mieli w końcu okazję zemścić się na nas. Konie padały. Ludzie krzyczeli. Zapanowało zamieszanie. Po chwili jednak nasi łucznicy zaczęli swoją pracę, koncentrując się nie na łucznikach nieprzyjaciela, lecz na jego artylerzystach. Stopniowo srebrne działa ucichły i łucznicy rozplynęli się na wzgórzach, wracając do swych nielicznych ocalałych twierdz. Odwróciłem się w stronę króla, który siedział na swym olbrzymim rumaku. Był wyprostowany, patrzył na niebo. Nagle zauważyłem, że strzała przebiła mu udo i wbiła się w siodło, przytwierdzając go do wierzchowca.

– Roldero – krzyknąłem – prędko lekarza dla króla, jeśli jeszcze mamy jakiegoś lekarza.

Roldero, zajęty liczeniem zabitych przerwał tę czynność i ruszył szybko w naszą stronę.

Podniósł przyłbicę króla. Wzruszył ramionami i spojrzał na mnie znacząco.

– Wygląda na to, że nie oddycha już od kilkunastu minut.

– Bzdura. Strzała w udo nie zabija. Przynajmniej nie tak szybko. Zawołaj lekarza.

Roldero uśmiechnął się zagadkowo. – Myślę, że to szok go zabił.

Zaśmiał się brutalnie. Pchnął z całej siły zwłoki. – Twoja narzeczona jest teraz królową, Ereko – powiedział wciąż się śmiejąc moje gratulacje.

Mój wierzchowiec zadrżał niespokojnie, patrząc w dół na zwłoki króla. Wzruszyłem ramionami i odjechałem. Mieliśmy zwyczaj pozostawiać zwłoki zabitych tam, gdzie padli, niezależnie od tego, kim byli za życia. Zabraliśmy jednak ze sobą królewskiego konia. To był dobry koń.

Śmierć króla nie zrobiła większego wrażenia na naszych wojownikach. Jedyne Katorn okazywał niezadowolenie, zapewne z powodu wpływu, jaki miał na króla. Rigenos był tylko marionetką, zwłaszcza w ostatnim roku. Ludzkość miała bardziej bezlitosnego przywódcę, który napełniał ją strachem. Nazywali mnie Martwy Ereko, miecz zemsty. Nie dbałem o to jak mnie nazywają – niszczycielem, zabójcą czy berserkerem. Moje sny nie nawiedzały mnie już. Ostateczny cel był coraz bliżej. Tylko jedna twierdza Eldrenów pozostawała niezdojta. Prowadziłem swoją armię za sobą jak po sznurze w kierunku stolicy Mernadinu, leżącej w pobliżu Płaskowyzu Topniejącego Lodu, Loos Ptokai – grodu Arjavha. Na koniec ujrzełmy jego wieże na tle czerwonego, wieczornego nieba. Potężna twierdza z marmuru i czarnego

85

granitu wydawała się nie do zdobycia. Ale wiedziałem, że ją zdobędziemy. Ostatecznie miałem na to słowo Arjavha. Powiedział mi, że Ludzkość zwycięży.

Pierwszą noc pod murami Loos Ptokai, spędziłem w swoim krześle. Nie mogłem zasnąć.

Patrzyłem w ciemność, rozmyślając ponuro. To było sprzeczne z moimi zwyczajami. W normalnych warunkach upadłbym ciężko na łóżko i spał do świtu. Tej nocy jednak było inaczej. O świcie wyruszyłem z twarzą jak kamień niosąc swój sztandar pod mury Loos Ptokai. Podobnie jak rok temu miałem ze sobą herolda. Zatrzymaliśmy się pod główną bramą twierdzy. Eldrenowie patrzyli na nas z góry. Herold podniósł swą złotą trąbkę do ust i zadał

wydając niesamowity dźwięk, który odbił się echem od czarno-białych wież Loos Ptokai.

– Książę Eldrenów – krzyknąłem martwym głosem – Arjavhu z Mernadinu, przybyłem, aby cię zabić. Arjavh pojawił się na blankach nad główną bramą. Spojrzał na mnie ze smutkiem w swych niezwykłych oczach.

– Witaj stary wrogu – krzyknął – przed tobą długie oblężenie zanim zdobędziesz tą naszą ostatnią twierdzę.

– Tak będzie – odpowiedziałem – ale prędzej czy później zdobędę ją.

Arjavh zamilkł.

– Pewnego razu zgodziliśmy się stoczyć bitwę zgodnie z kodeksem Erekoiego – powiedział po chwili – Czy zechcesz powtórnie uzgodnić warunki bitwy?

– Potrząsnąłem głową.

– Nie spoczniemy, dopóki ostatni Eldren nie zostanie zabity. Poprzysiągłem uwolnić Ziemię od waszego gatunku.

– Wobec tego – powiedział Arjavh – zapraszam cię, abyś odwiedził Loos Ptokai jako mój gość i wypoczął zanim bitwa się zacznie. Wyglądasz jakbyś potrzebował odpoczynku.

Zadarłem głowę. Herold roześmiał się.

– Muszą zdawać sobie sprawę z nieuniknionej klęski, panie, inaczej nie myśleliby, że damy się nabrać w tak prosty sposób.

W mojej głowie ścierały się sprzeczne uczucia.

– Milcz – rozkazałem heroldowi.

Zaczerpnąłem oddechu.

– Słucham – powiedział Arjavh.

– Zgadza się – odpowiedziałem. – Czy pani Ermizhad jest w mieście? – zapytałem po chwili.

– Tak. Pragnie ujrzeć cię znowu.

Głos Arjavha zadrżał. Przez chwilę nawiedziły mnie podejrzenia. Być może herold miał rację. Wiedziałem, że Arjavh kocha swoją siostrę. Być może zdawał sobie sprawę, że w głębi serca kocham Ermizhad. Nigdy nie przyznałbym się przed sobą do tego uczucia, ale to właśnie ono skłoniło mnie do udania się do Loos Ptokai. Herold był zdumiony.

– Nie mówisz chyba poważnie, panie? Zabiją cię, gdy tylko przekroczysz bramę.

Słyszałem, że stosunki między tobą i Arjavhem były dobre, jak na nieprzyjaciół, ale po spustoszeniu, jakiego dokonałeś w Mernadinie, zabije cię natychmiast. Każdy by tak zrobił na jego miejscu.

Potrząsnąłem głową. Byłem teraz w lepszym nastroju.

86

– Nie zrobi tego – odpowiedziałem. – Z pewnością nie. A ja będę miał okazję, aby ocenić siły Eldrenów. To może się nam przydać.

– Jeżeli zginiesz to będzie dla nas katastrofa.

– Nie zginę. – Cała wściekłość, nienawiść i żądza krwi opuściła mnie. Odwróciłem się od herolda, żeby nie mógł zobaczyć łez w moich oczach.

– Otwórz bramę, książę – zawołałem drżącym głosem – przybywam do Loos Ptokai jako twój gość.

Rozdział 23 **W LOOS PTOKAI**

Wjechałem powoli do miasta. Miecz i kopię zostawiłem heroldowi, który pogalopował do naszego obozu przekazać wiadomość marszałkom. Na ulicach Loos Ptokai panowała cisza.

Miasto sprawiało wrażenie pogrążonego w żałobie. Arjavh zszedł z murów, aby mnie przywitać. Gdy się zbliżył ujrzałem, że jest równie zmęczony, jak ja. Kroczył ciężko, jego głos nie był już tak melodyjny jak przed rokiem. Zsiadłem z konia. Uścisnął mi dłoń.

– Proszę – powiedział udając wesołość. – Barbarzyński najeźdźca jest całkiem materialny.

Nasi ludzie zaczęli już w to wątpić.

– Muszą mnie naprawdę nienawidzić.

– Eldrenowie nie znają tego uczucia – odrzekł nieco zaskoczony i poprowadził mnie w stronę swego pałacu.

Arjavh zaprowadził mnie do małego pokoju, w którym stały stół, łóżko i krzesło. Były to meble delikatnej roboty, zdawały się być zrobione ze szlachetnego metalu, w rzeczywistości jednak sporządzone były z precyzyjnie obrobionego drewna. W kącie znajdowała się wanna, umieszczona poniżej poziomu podłogi, wypełniona gorącą wodą. Gdy tylko Arjavh wyszedł zdjąłem z siebie pokrytą krwią i kurzem zbroję, następnie ściągnąłem bieliznę, którą miałem na sobie przez większą część ubiegłego roku i zanurzyłem się w wodzie. Mój umysł był odrętwiały na skutek szoku, którym stało się dla mnie zaproszenie Arjavha. Teraz jednak, po raz pierwszy od roku czułem się odprężony zarówno fizycznie, jak i umysłowo. Razem z brudem zmyłem z siebie smutek i nienawiść. W radosnym nastroju założyłem świeże ubranie, które dla mnie przygotowano. Ktoś zapukał do moich drzwi.

– Proszę –

– Witaj Erekose – Ermizhad weszła do pokoju.

– Witaj pani – skłoniłem się głęboko.

– Jak ci się wiedzie, Erekose.

– Na wojnie, jak wiesz wiedzie mi się dobrze. Osobiście czuję się jednak lepiej w twoim towarzystwie.

– Arjavh powiedział, żebyś przyprowadziła cię na obiad.

– Chętnie, ale opowiedz mi najpierw, co u ciebie słyhać.

– W porządku, jestem zdrowa – odpowiedziała.

Zbliżyła się mimowolnie do mnie. Odchyliłem się lekko. Spojrzała w dół i uniosła ręce dotykając swej szyi.

87

– Powiedz mi czy poślubiłeś już królową Iolindę?

– Nadal jesteśmy zaręczeni.

Spojrzałem Ermizhad w oczy i dodałem z całym spokojem – Pobierzemy się, gdy Loos Ptokai zostanie zdobyte.

Nie odpowiedziała mi. Zbliżyłem się do niej jeszcze bardziej. Dzielił nas od siebie tylko jeden cal.

– Zgodzi się poślubić mnie tylko pod tym warunkiem, że zabiję wszystkich Eldrenów.

Wasze zdeptane sztandary będą moim podarunkiem ślubnym dla niej.

Ermizhad skinęła głową. Spojrzała na mnie z mieszaniną smutku i ironii.

– Jeśli taka jest twoja przysięga, musisz jej dotrzymać. Musisz zabić wszystkich Eldrenów. Co do jednego.

– Taką przysięgę złożyłem.

– Chodź – powiedziała – obiad wystygnie.

Przy obiedzie usiadłem obok Ermizhad. Arjavh opowiadał ze swadą, o co ciekawszych eksperymentach starożytnych eldreńskich uczonych. Zdołaliśmy na chwilę zapomnieć o nadchodzącej bitwie. Jednakże po chwili, gdy byłem zajęty rozmową z Ermizhad, dostrzegłem w oczach Arjavha wyraz bólu.

– Jak ci wiadomo, jesteśmy pokonani, Ereko – wtrącił się do naszej rozmowy niespodziewanie.

Nie miałem ochoty rozmawiać o tych sprawach. Wzruszyłem ramionami, starając się powrócić do konwersacji z Ermizhad. Jednakże Arjavh był nieustępliwy.

– Jesteśmy skazani, Ereko. Musimy zginąć od mieczy waszej olbrzymiej armii.

Zaczerpnąłem oddechu i spojrzałem mu prosto w twarz.

– Tak. Jesteście skazani, książę.

– To tylko kwestia czasu, zanim zniszczycie Laos Ptokai.

Nie miałem odwagi spojrzeć mu w oczy. Skinąłem głową.

– Więc ty...

Zniecierpliwiłem się. Nie mogłem uporządkować swoich uczuć.

– Złożyłem przysięgę – przypomniałem mu – muszę zrobić to, co mi ona nakazuje.

– Nie boję się śmierci – zaczął.

– Wiem, czego się boisz.

– Czy Eldrenowie nie mogą uznać się za pokonanych? Moglibyśmy uznać, zwycięstwo

Ludzkości. Z pewnością jedno miasto...

Wypełnił mnie smutek. – Złożyłem przysięgę.

– Czy nie możesz... – Ermizhad skinęła swą smukłą dłonią – Jesteśmy przyjaciółmi

Erekose... Czujemy się szczęśliwi, gdy przebywamy ze sobą.

– Pochodzimy z różnych gatunków – odpowiedziałem – prowadzimy ze sobą wojnę.

– Nie błagam o łaskę – powiedział Arjavh.

– Wiem o tym. Nie wątpię w odwagę Eldrenów. Widziałem wiele jej przykładów.

– Jesteś wierny przysiędze, złożonej w gniewie, która każe ci zabić tych, których kochasz

i szanujesz – w głosie Ermizhad słychać było zdziwienie – czy nie jesteś zmęczony zabijaniem?

88

– Bardzo zmęczony – przyznałem.

– Więc dlaczego...

– Ja rozpocząłem całą tę sprawę – odparłem. – Czasami zastanawiam się, czy to rzeczywiście ja prowadzę moich ludzi, czy też raczej oni pchają mnie przed sobą. Być może to oni mnie stworzyli. Być może jestem sztucznym bohaterem złożonym z fragmentów przez połączoną wolę całej Ludzkości i gdy moje zadanie zostanie spełnione, zniknę bez śladu wraz z ich poczuciem zagrożenia.

– Nie sędzę, żeby tak było – powiedział Arjavh spokojnie.

– Nie jesteś mną. – odpowiedziałem. – Nie miałeś takich snów jak ja.

– Wciąż jeszcze masz te sny? – spytała Ermizhad.

– Ostatnio nie. Opuściły mnie, gdy wyruszyłem na tę wojnę. Prześladowają mnie tylko wtedy, gdy próbuję być sobą. Gdy robię tylko to, co mam do zrobienia, zostawiają mnie w spokoju. Najlepszy dowód, że nie jestem niczym więcej jak duchem.

Arjavh westchnął.

– Nie rozumiem tego, Erekose. Myślę, że litujesz się sam nad sobą. Mógłbyś przeprowadzić swoją wolę, ale się boisz. Zamiast tego pogrążasz się w swej osobliwej melancholii, oddając się nienawiści i mordom.

Jesteś zrozpaczony, ponieważ nie robisz tego, co pragniesz zrobić. Sny powrócą, Erekose.

Zapamiętaj moje słowa. Sny powrócą i będą jeszcze straszniejsze, niż te, które znałeś do tej pory.

– Przestań – krzyknąłem – nie psuj naszego ostatniego spotkania. Przyszedłem tutaj, aby...

– Dlaczego przyszedłeś? – Arjavh podniósł brwi.

– Potrzebowałem cywilizowanego towarzystwa.

– Aby spotkać się ze swymi współplemieńcami – powiedziała Ermizhad łagodnie.

Wstałem od stołu, odwracając się w jej stronę.

– Wy nie jesteście moimi współplemieńcami. Oni są za murami, czekają by was

zniszczyć.

– Jesteśmy spokrewnieni duchowo – powiedział Arjavh – to ważniejsze niż więzy krwi.

– Nie. – schowałem twarz w dłoniach.

Arjavh położył mi rękę na ramieniu. – Jesteś bardziej rzeczywisty niż ci się wydaje,

Erekose. Inny sposób postępowania będzie wymagał od ciebie wielkiej odwagi.

Opuściłem rękę. – Masz rację – powiedziałem mu. – Ale ja nie mam tej odwagi. Jestem

tylko ślepą siłą jak miecz czy trąba powietrzna. Nie potrafię zrobić nic innego.

Ermizhad przerwała mi gwałtownie.

– Musisz z powrotem stać się sobą... W twoim własnym interesie. Zapomnij o przysiędze złożonej Iolindzie. Nie kochasz jej. Nie masz nic wspólnego z tą krwiożerczą zgrają, którą dowodzisz. Jesteś Większy niż oni wszyscy. Większy niż my wszyscy.

– Przestań.

– Ona ma rację, Erekose – powiedział Arjavh – nic chodzi nam o nasze życie, chodzi nam o ciebie, o to, czym jesteś.

Opadłem z powrotem na krzesło.

89

– Staralem się unikać wątpliwości przez postępowanie w najprostszym sposób – powiedziałem – macie rację, nic mnie nie łączy z tymi, których prowadzę ani z tymi, którzy postawili mnie na ich czele. Tym niemniej należymy niewątpliwie do tego samego gatunku.

Mam wobec nich zobowiązania.

– Niech sobie radzą sami – odrzekła Ermizhad – Ty masz zobowiązania tylko wobec samego siebie.

Wypiłem łyk wina.

– Boję się – wyszeptałem.

Arjavh potrząsnął głową.

– To nie jest twoja wina. Jesteś odważny.

– Któż to może wiedzieć. Być może popełniłem kiedyś straszliwą zbrodnię, za którą teraz muszę cierpieć.

– Nie lituj się nad sobą, Ereko – przerwał mi Arjavh – to nie jest męskie.

Odetchnąłem głęboko.

– Masz rację. Ale jeśli czas jest w jakimś sensie cykliczny, to może jeszcze nie popełniłem tej zbrodni.

– Wobec tego nie można nazwać jej zbrodnią – przerwała mi Ermizhad zniecierpliwiona.

– Co ci mówi twoje serce?

– Moje serce? Nie słuchałem go od miesięcy.

– Posłuchaj go teraz.

Potrząsnąłem głową.

– Zapomniałem już jak to się robi, Ermizhad. Muszę ukończyć swoją pracę. Zrobić to, po co zostałem wezwany.

– Czy jesteś pewien, że to Rigenos cię wezwał?

– Któżby inny?

Arjavh uśmiechnął się.

– To są bezpłodne spekulacje. Zrób to, co musisz zrobić, Ereko. Nie będę już cię więcej błagał o litość dla mojego ludu.

– Dziękuję ci za to – powiedziałem.

Wstałem. Zatoczyłem się lekko. Bogowie. Jaki byłem zmęczony.

– Musisz odpocząć – stwierdziła Ermizhad – Zostań dziś w nocy ze mną.

Spojrzałem na nią. Arjavh chciał coś powiedzieć, zmienił jednak zdanie i wyszedł z

pokoju. Zdałem sobie sprawę, że niczego nie pragnąłem więcej niż tego, co zaproponowała Ermizhad. Potrząsnąłem jednak głową.

– To byłaby słabość.

– Nie – odpowiedziała – to ci doda siły. Będzie ci łatwiej podjąć decyzję.

– Podjąłem już decyzję. Poza tym moja przysięga...

– Złożyłeś przysięgę wierności?

Rozłożyłem ręce.

– 'Nie pamiętam.

Zbliżyła się do mnie i dotknęła mojej twarzy.

– Może to ci pomoże. Może przywróci twoją miłość do Iolindy.

90

Poczułem ostry fizyczny ból. Przez chwilę pomyślałem nawet, że być może zostałem otruty.

– Nie.

– Wiem na pewno, że to ci pomoże – powiedziała – nie jestem pewna, w jaki sposób. Nie wiem nawet czy będzie to odpowiadało moim pragnieniom.

– Nie mogę sobie pozwolić na słabość, Ermizhad.

– To nie będzie słabość.

– Jednak...

Odwróciła się do mnie plecami.

– Odpocznij więc tutaj – powiedziała swym niezwykłym, miękkim głosem. Wyśpij się w wygodnym łóżku, tak żebyś był gotowy, do jutrzejszej bitwy. Kocham cię, Ereko. Kocham cię bardziej niż cokolwiek innego.

Pragnę ci pomóc niezależnie od tego, jaką drogę wybierzesz.

– Wybrałem już drogę – przypomniałem jej. – Nie możesz mi na niej pomóc.

Byłem oszołomiony. Nie chciałem wracać w takim stanie do obozu, gdyż z pewnością ludzie powiedzieliby, że jestem pod wpływem narkotyków i utraciliby do mnie zaufanie.

Wolałem pozostać na noc i przywitać mych żołnierzy wypoczęty.

– Dobrze – powiedziałem. – Będę spał tutaj. Sam.

– Jak sobie życzysz, Erekose. – Skierowała się w stronę drzwi. – Przyślę służącego, aby pokazał ci sypialnię.

– Będę spał w tym pokoju – powiedziałem jej – rozkaż, żeby przynieśli łóżko.

– Jak chcesz.

– Dawno nie spałem w prawdziwym łóżku. Rankiem mój umysł się rozjaśni.

– Mam nadzieję, że tak. Dobranoc, Erekose.

Czy wiedzieli, że sny powrócę do mnie tej nocy? Czyżbym był ofiarą nieludzkiej chytryści Eldrenów? Leżałem na swym łożu w eldreńskiej twierdzy i śniłem. Nie był to jeden ze snów, w których poszukiwałem swojego prawdziwego imienia. W tym śnie nie miałem imienia. Nie potrzebowałem go.

Patrzyłem na obracający się świat i jego mieszkańców rojących się jak mrówki na swym kopcu, czy też żuki w kupie gnoju. Widziałem, jak walczą ze sobą, zawierają pokój, budują tylko po to, żeby w kolejnej wojnie zniszczyć to, co zbudowali. Miałem wrażenie, że tylko w niewielkim stopniu wyrosli ponad poziom zwierząt, że jakiś wybryk przeznaczenia skazał ich na popełnienie wciąż tych samych błędów. Zrozumiałem, że nie ma dla nich żadnej nadziei, że te niedoskonałe stworzenia w połowie drogi między zwierzętami i bogami są, podobnie jak ja, skazane na wieczną wojnę bez nadziei pokoju. Mój los był losem całego gatunku.

Problemy, dla których nie mogłem znaleźć rozwiązania nie miały go w ogóle. Nie było sensu poszukiwać rozwiązania. Można była tylko pogodzić się z prawdą lub ją odrzucić. Zawsze

miała być tak samo. Oczywiście były powody, żeby ich kochać a nie nienawidzić. Jak można ich było nienawidzić, skoro ich błędy wynikały ze ślepego przeznaczenia, które uczyniło ich niedoskonałymi istotami – na pół ślepyimi, głuchymi i niemymi.

Obudziłem się bardzo spokojny. Nagle ogarnęło mnie przerażenie. Zdałem sobie sprawę z wniosków płynących z tego, co widziałem. Czy Eldrenowie zesłali na mnie ten sen za

91

pomocą czarów? Nie. Ten sen ukazał mi prawdę, którą starały się ukryć przede mną inne sny. Byłem tego pewny. Ujrzałem nagą prawdę. Byłem przerażony. Wieczna wojna była nie tylko moim przeznaczeniem. Była przeznaczeniem całego gatunku. Byłem na nią skazany jako jego przedstawiciel. Od tego właśnie pragnąłem się wyzwolić. Nie mogłem wytrzymać samej myśli o wiecznej walce. Nie było jednak żadnego sposobu, aby przerwać krąg. Mogłem zrobić tylko jedno. Pogrzebałem pośpiesznie tę myśl.

Jakie było inne wyjście? Zawrzeć pokój? Pozwolić Eldrenom żyć? Były to bezpłodne spekulacje, jakby to określił Arjavh. Ludzkość przysięgła zniszczyć Eldrenów. Potem oczywiście zwróci się przeciwko sobie samej. Rozpętają się nieustanne spory i wojny, które są przeznaczeniem ludzkiego gatunku, czy jednak nie powinienem spróbować kompromisu? Czy też lepiej będzie, jak zamierzałem na początku, zniszczyć Eldrenów i pozwolić ludziom powrócić do ich bratobójczego sportu? Wydawało mi się, że dopóki żyje, choć garstka Eldrenów Ludzkość zaniecha waśni. Wspólny nieprzyjaciół mógł zaprowadzić pewien rodzaj jedności wśród ludzkich królestw. Leżało to w interesie Ludzkości, aby część Eldrenów zastała oszczędzona. Zdałem sobie sprawę, że nie ma konfliktu między moją lojalnością wobec Ludzkości i wobec moich eldreńskich przyjaciół. W rzeczywistości uzupełniały się one. Sen pomógł mi połączyć je w jedną całość. Wszystko widziałem teraz jasno. Być może starałem się sam siebie oszukać. Nigdy się nie dowiem. Wydaje mi się, że miałem rację,

aczkolwiek następne wypadki dowiodły zapewne, że się myliłem. W każdym razie próbowałem.

Wstałem z łóżka. Służący przyniósł mi wodę do mycia i moje własne, świeżo uprane ubranie. Umyłem się i ubrałem. Gdy usłyszałem pukanie do drzwi zaprosiłem pukającego do środka. To była Ermizhad. Przyniosła mi śniadanie i postawiła je na stole. Podziękowałem jej. Spojrzała na mnie zaskoczona.

– Zmieniłeś się dziś w nocy – powiedziała – wyglądasz, jakbyś doszedł ze sobą do ładu.

– Chyba tak się stało – odpowiedziałem jej jedząc – miałem nowy sen.

– Czy był równie przerażający jak poprzednie?

– Pod pewnymi względami jeszcze bardziej. Ale tym razem zasugerował mi on rozwiązanie.

– Myślisz, że możesz lepiej walczyć?

– Myślę, że w interesie Ludzkości leży pokój z Eldrenami, albo przynajmniej trwały rozejm.

– Zrozumiałeś w końcu, że nie jesteśmy dla was żadnym zagrożeniem?

– Wprost przeciwnie. Zrozumiałem, że właśnie zagrożenie, jakie dla nas stanowicie, sprawia, że jesteście nam potrzebni.

Uśmiechnąłem się przypominając sobie stary aforyzm z jakiegoś świata.

– Gdybyście nie istnieli musielibyśmy was wymyślić.

Na jej twarzy pojawił się błysk zrozumienia. Uśmiechnęła się również.

– Wiem, co masz na myśli.

– Zamierzam przedstawić tę propozycję królowej Iolindzie. Mam nadzieję wytłumaczyć jej, że zakończenie wojny z Eldrenami leży w naszym interesie.

– Jakie warunki nam postawicie?

– Nie widzę potrzeby, aby stawiać wam warunki – odparłem – po prostu zaprzestaniemy walki i odejdziemy.

Roześmiała się.

– Czy to nie za łatwe? –

Spojrzałem na nią, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Być może – potrząsnąłem głową – muszę jednak spróbować.

– Nagle zacząłeś postępować racjonalnie, Ereko. Twój sen w Laos Ptokai przyniósł ci jednak korzyść.

– Być może Eldrenowie mieli w tym swój udział.

– Być może.

Uśmiechnęła się ponownie.

– Wrócę czym prędzej do Necranalu. Porozmawiam z Iolindą.

– Czy poślubisz ją, jeśli zgodzi się na twoją propozycję?

– Muszę to zrobić. W przeciwnym razie wszystko pójdzie na marne. Rozumiesz to?

– W zupełności – odpowiedziała uśmiechając się poprzez łyzy.

Po kilku minutach przyszedł Arjavh. Powiedziałem mu, co zamierzam zrobić. Był nastawiony bardziej sceptycznie niż Ermizhad.

– Czy nie wierzysz, że to zrobię? – zapytałem.

Wzruszył ramionami.

– Wierzę ci, Ereko. Nie myślę jednak, że Eldrenowie mogą ocaleć.

– O co ci chodzi? Czy to jakaś choroba? Coś w was, co...

Roześmiał się.

– Nie, nie. Myślę tylko, że jeśli zaproponujesz rozejm, twoi ludzie nie pozwolą ci go

zawrzeć. Ludzkość będzie zadowolona dopiero wtedy, gdy wszyscy Eldrenowie zginą.

Mówisz, że ich przeznaczeniem jest wieczna wojna. Czy ich obecność przeszkadza im zająć się tym, co lubią najbardziej to jest walką pomiędzy sobą? Ta krótka przerwa w ich normalnych czynnościach będzie trwała tylko dopóki, dopóty nas nie wytepią. A jeżeli nie wytepią nas teraz zrobią to wkrótce, czy ty będziesz ich prowadził, czy ktoś inny.

– Mimo wszystko muszę spróbować – odpowiedziałem.

– Spróbuj. Ale z pewnością przypomną ci twoją przysięgę.

– Iolinda jest inteligentna. Jeśli wysłucha moich argumentów...

– Nie zechce cię słuchać. Jest jedną z nich. Inteligencja nie na tu nic do rzeczy. Ostatniej nocy, gdy starałem się cię przebłagać nie byłem naprawdę sobą. Wpadłem w panikę. W rzeczywistości wiedziałem, że nie może być żadnego pokoju.

– Muszę spróbować.

– Mam nadzieję, że ci się uda.

Być może omamił mnie urok Eldrenów. Nie sędzę jednak, żeby tak było. Pragnąłem przynieść pokój zniszczonemu Mernadinowi, aczkolwiek mogło to znaczyć, że nigdy już nie ujrzę moich Eldreńskich przyjaciół – nawet Ermizhad. Postanowiłem o tym nie myśleć. Do pokoju wszedł służący. Pod murami Loos Ptokai pojawił się mój herold w towarzystwie hrabiego Roldera i kilku marszałków. Podejrzewali, że zostałem zamordowany przez Eldrenów.

93

– Uwierzą tylko, gdy cię zobaczą – mruknął Arjavh.

– Masz rację. – Wszedłem z pokoju. Zbliżając się do murów miasta usłyszałem herolda.

Wołał:

– Obawiamy się, że dopuściliście się wielkiej zdrady. Pozwólcie nam ujrzeć naszego pana,

albo jego ciało – przerwał – wtedy będziemy wiedzieli, co robić.

Wdrapaliśmy się z Arjavhem na mury. Dostrzegłem ulgę w oczach herolda, gdy przekonał się, że nic mi się nie stało.

– Prowadziłem rozmowy z księciem Arjavhem – powiedziałem – rozważałem wszystkie okoliczności. Nasi ludzie są zmęczeni ponad siły. Pozostało już niewielu Eldrenów. Tylko to miasto jest jeszcze w ich posiadaniu. Moglibyśmy zdobyć Loos Ptokai, uważam jednak, że jest to całkiem bezsensowne działanie. Bądźmy wielkoduszni, panowie. Zawrzyjmy rozejm.

– Rozejm, Erekose? – Roldero otworzył szeroko oczy. – Czy chcesz nas obradować z naszego największego zwycięstwa? Stańć na przeszkodzie naszemu ostatecznemu, wspianiałemu celowi? Zawrzeć pokój?

– Tak – odpowiedziałem – pokój. Wracajcie teraz. Powiedzcie wojownikom, że nic i nie grozi.

– Możemy zdobyć to miasto z łatwością, Erekose – krzyknął Roldero – nie ma potrzeby zawierać pokój. Możemy wytepić Eldrenów raz na zawsze. Czy znowu uległeś ich piekielnym sztuczkom? Czy omamili cię gładkim słowami?

– Nie – odpowiedziałem – to ja zaproponowałem im pokój.

Roldero zawrócił swego konia w pogardliwym geście.

– Pokój – splunął i odjechał ze swymi towarzyszami do obozu.

– Nasz wódz zwariował.

Arjavh przejechał palcem po wargach. – Widzę, że już masz kłopoty.

– Boją się mnie – odpowiedziałem – posłuchają mnie, przynajmniej na chwilę.

–Oby tak było – odrzekł Arjavh.

Rozdział 24

ROZSTANIE

Tym razem w Necranalu nie przywitały mnie wiwatujące tłumy. Wieści o moich zamiarach dotarły tu przede mną. Ludzie nie mogli w nie uwierzyć. Ci, co uwierzyli byli niezadowoleni. Uważali, że okazałem słabość.

Ujrzałem Iolindę po raz pierwszy odkąd została królową. Wyglądała wyniośle krocząc do sali tronowej, w której miała mnie przyjąć. W głębi duszy byłem ubawiony. Czułem się jak odtrącony zalotnik, który powrócił po latach, aby zobaczyć jak obiekt jego uczuć wyszedł za mąż i został starą jędzą. Była to jednak mała pociecha.

– Witaj, Erekose – powiedziała – wiem, dlaczego tu przybyłeś, dlaczego opuściłeś swą armię, łamiąc słowo, które mi dałeś. Katorn powiedział mi wszystko.

Katorn jest tutaj?

– Przybył, gdy tylko usłyszał o twojej przemowie z murów Loos Ptokai, gdzie stałeś ze swymi eldreńskimi przyjaciółmi.

94

– Iolindo – powiedziałem gwałtownie – Eldrenowie są zmęczeni wojną, nigdy nie zamierzali atakować Dwóch Kontynentów. Pragną tylko pokoju.

– Będziemy mieć pokój, gdy wszyscy Eldrenowie zginą.

– Iolindo, jeśli mnie kochasz, posłuchaj mnie przynajmniej

– Jeśli ja cię kocham? A co z tobą, panie Erekose? Czy kochasz jeszcze swoją królową?

Otworzyłem usta, ale nie mogłem wydobyć ani słowa. Oczy Iolindy zaszyły łzami.

– Och, Erekose – powiedziała – czy to może być prawda?

– Nie – odpowiedziałem stłumionym głosem – kocham cię Iolindo. Pobierzemy się.

Wiedziała, że to nie jest prawda. Przedtem tylko podejrzewała, teraz nie miała już wątpliwości. Tym niemniej byłem gotowy udawać miłość, oszukiwać Iolindę, nawet poślubić

ją, jeżeli w ten sposób można było osiągnąć pokój.

– Wciąż chcę cię poślubić, Iolindo.

– Nieprawda – odpowiedziała – nie chcesz.

– Chcę – powtórzyłem z uporem. – jeżeli pokój z Eldrenami zostanie zawarty.

Jej oczy zalśniły gniewem.

– Obrażasz mnie mój panie. Pod takimi warunkami, nigdy. Jesteś winien zdrady stanu.

Ludzie już nazywają cię zdrajcą.

– Zdobyłem dla nich cały Mernadin.

– Oprócz Loos Ptokai, gdzie twoja eldreńska dziwka czeka na ciebie.

– Iolindo. To nieprawda.

To była prawda.

– Jesteś niesprawiedliwa... – zacząłem.

– A ty jesteś zdrajcą. Straże.

Tuzin strażników królewskich wpadł do pokoju, jak gdyby byli przygotowani na to, co nastąpiło. Prowadził ich Katorn. Ujrzałem w jego oczach błysk triumfu. Zrozumiałem, że zawsze mnie nienawidził, gdyż pożądał Iolindy. Pragnął zabić mnie na miejscu, niezależnie od tego czy wyciągnę swój miecz. Wyciągnąłem więc miecz Kanajana. Jego blask odbił się w czarnych oczach Katorna.

– Schwytaj go Katornie – Iolinda wydała krzyk rozpacz.

Zdradziłem ją. Nie zapewniłem jej oparcia, którego tak rozpaczliwie potrzebowała.

– Schwytaj go, żywego lub umarłego. Zdradził swój własny gatunek.

Chciała przez to powiedzieć, że zdradziłem ją samą. Dlatego musiałem umrzeć. Wciąż jeszcze miałem nadzieję, że uda mi się coś uratować.

– To nieprawda – zacząłem, lecz Katorn zbliżał się już na czele swoich ludzi. Cofnąłem

się pod ścianę. Stałem w pobliżu okna. Sala tronowa znajdowała się na pierwszym piętrze pałacu.

– Zastanów się Iolindo. Wycofaj swój rozkaz. Kieruje tobą zazdrość.

Nie jestem zdrajcą.

– Zabij go, Katornie.

Ale to ja zabiłem Katorna. Gdy zbliżył się ciałem mieczem w jego wykrzywioną, pełną nienawiści twarz. Krzyknął. Zatoczył się, próbując unieść ręce i upadł na podłogę w swej złotej zbroi. Był pierwszym człowiekiem, którego zabiłem. Pozostali strażnicy zbliżali się

95

ostrożnie. Zabiłem kilku z nich, odpędziłem pozostałych, spojrzałem na królową Iolindę patrzącą na mnie oczyma pełnymi łez i wskoczyłem na parapet.

– Żegnaj królowo. Straciłaś swego rycerza...

Wskoczyłem przez okno. Wylądowałem na krzaku róży. Wyplątałem się z niego

podrapany i pobiegłem w kierunku bramy, ze strażnikami za sobą. Rozwaliłem bramę i

pobiegłem w dół po krętych ulicach Necranalu, ścigany przez, strażników, do których dołączyła grupa wrzeszczących, obywateli nie mających pojęcia, kim jestem i o co jestem oskarżony. Ścigali mnie dla czystej przyjemności.

Sprawy ułożyły się tak, iż ból i zazdrość zaćmiły umysł Iolindy. Jej decyzja miała wkrótce stać się przyczyną rozlewu krwi jeszcze większego, niż tego pragnęła. Uciekałem początkowo na oślep. Po chwili skierowałem się w stronę rzeki. Miałem nadzieję, że moja załoga jest wciąż lojalna w stosunku do mnie. Jeśli tak było, istniała pewna szansa ucieczki. Dobiegłem do żaglowca na moment przed ścigającymi. Wskoczyłem na pokład krzycząc: Przygotować się do odpłynięcia.

Tylko połowa załogi znajdowała się na pokładzie. Reszta była na lądzie, w tawernach. Ci,

k którzy pozostali schwycili prędko za wiosła, podczas, gdy ja powstrzymywałem strażników.

Odpłynęliśmy. Rozpoczęła się nasza pośpieszna ucieczka w dół rzeki Droonaa.

Upłynęło sporo czasu zanim zdołali wysłać okręt w pościg za nami, tak że zdążyliśmy uzyskać bezpieczną przewagę. Załoga nie stawiała pytań. Byli przyzwyczajeni do mojego milczenia i do moich, niekiedy osobliwych posunięć. Dopiero po tygodniu, gdy byliśmy na morzu, żeglując w kierunku Mernadinu, powiedziałem im, że zostałem wyjęty spod prawa.

– Dlaczego, panie? – spytał kapitan. – To niesprawiedliwe.

– Istotnie. Królowa jest wrogo do mnie nastawiona. Myślę, że to podszepty Katorna sprawiły, że mnie znienawidziła.

To wytłumaczenie zadowoliło ich. Rozstałem się z nimi w małej zatoczce w pobliżu Płaskowyzu Topniejącego Lodu, gdzie wylądowaliśmy. Wsiadłem na konia i odjechałem pośpiesznie w stronę Loos Ptokai. Nie wiedziałem jeszcze, co mam robić. Wiedziałem tylko, że muszę poinformować Arjavha o zaistniałych wypadkach. Mieliśmy rację. Ludzkość nie pozwoliła mi okazać miłosierdzia.

Moja załoga pożegnała mnie z pewną dozą sympatii. Nie wiedzieli jeszcze – podobnie jak ja, że mieli wkrótce wszyscy zginąć z mojego powodu. Przekradłem się do Loos Ptokai poprzez wielki obóz, jaki założyliśmy wokół miasta. Wkroczyłem do stolicy Eldrenów nocą. Arjavh poderwał się z łoża na wieść o moim przybyciu.

– Co się stało, Ereko? – spojrzał na mnie badawczo. Po chwili dodał – Nie udało ci się, prawda? Widzę, że miałeś ciężką podróż i musiałeś stoczyć walkę. Co się wydarzyło?

Opowiedziałem mu. Westchnął.

– Cóż, głupio ci doradziliśmy. Teraz zginiesz razem z nami.

– Cieszę się z tego – odpowiedziałem.

Minęły dwa miesiące. Dwa złowieszcze miesiące w Loos Ptokai. Armia Ludzkości nie

przypuściła ataku na miasto. Okazało się, że oczekują na rozkaz królowej, która jak dotąd nie podjęła żadnej decyzji. Bezczynność była przygnębiająca. Siedziałem udręczony na murach, patrząc w dół na obóz. Pragnąłem, aby wszystko się już skończyło. Tylko Ermizhad była mi

96
pociechą. Nie ukrywaliśmy naszej miłości. Ponieważ ją kochałem, zapragnąłem ją uratować. Chciałem uratować ją i siebie i wszystkich Eldrenów w Loos Ptokai. Pragnąłem zostać z nią na zawsze. Nie chciałem umierać. Rozpaczliwie poszukiwałem sposobu na pokonanie olbrzymiej armii ludzi, jednakże wszystkie pomysły, które przychodziły mi do głowy były nie nie warte. Aż pewnego dnia przypomniałem sobie.

Przypomniałem sobie rozmowę, którą odbyłem z Arjavhem na płaskowyżu, tego dnia, kiedy zwyciężył mnie w bitwie. Udałem się go poszukać. Siedział w swym gabinecie zajęty czytaniem.

– Ereko, czy atak się rozpoczął?

– Nie. Przypomniałem sobie, że opowiadałeś mi kiedyś o starożytnej broni, którą wasz gatunek kiedyś posiadał.

– O czym?

– O starożytnej, straszliwej broni – odpowiedziałem – której przyrzekaliście więcej nie używać, ze względu na zniszczenia, jakie spowodowała.

Potrząsnął głową.

– Nie.

– Użyjcie ich tym razem, Arjavhu – błagałem go – uczynicie demonstrację siły, to wszystko. Wtedy zgodzą się zawrzeć pokój.

Zamknął książkę.

– Nie. Nigdy nie zawrą z nami pokoju. Raczej zginą. Poza tym nie uważam, żeby nawet ta

sytuacja usprawiedliwiła złamanie naszej przysięgi.

– Arjavhu – powiedziałem – rozumiem powody, dla których nie chcecie użyć tej broni.

Jednakże pokochałem Eldrenów. Złamałem już jedną przysięgę. Pozwólcie mi złamać następną – dla was.

Ponownie potrząsnął głową.

– Zgódź się więc, że kiedy nadejdzie chwila, w której można by użyć tej broni, ja podejmę decyzję. Przejmę odpowiedzialność z waszych rąk.

Spojrzał na mnie badawczo. Miałem wrażenie, że jego wzrok przeszywa mnie na wylot.

– To możliwe – powiedział.

– Zgodzisz się, Arjavhu?

– My, Eldrenowie, nigdy nie kierowaliśmy się własnym interesem w takim stopniu jak ludzie. Nie posuniemy się do zniszczenia całego gatunku. Nie mieszaj naszych wartości z tymi, które wyznaje Ludzkość.

– Dlatego właśnie cię proszę. Nie mogę znieść myśli, że wasza szlachetna rasa zginie z rąk takich bestii jak te za murami.

Arjavh wstał z krzesła, postawił książkę z powrotem na półce.

– Iolinda miała rację – rzekł – jesteś zdrajcą własnego gatunku.

– Gatunek nie ma znaczenia. Sami powiedzieliście mi, że powinienem być sobą.

Zdecydowałem, po której stronie jestem.

Przygryzł wargi.

– Pragnę tylko powstrzymać ich szaleństwo..

97

Zacisnął swe długie, białe dłonie.

– Arjavhu. Proszę cię, ze względu na Ermizhad i naszą miłość, ze względu na przyjaźń,

jaka mnie obdarzyłeś, ze względu na wszystkich Eldrenów, którzy jeszcze żyją, błagam cię
pozwól mi podjąć decyzję, kiedy będzie to konieczne...

Uniósł brwi.

– Dla Ermizhad? Dla ciebie? Dla mnie? Nie dla zemsty?

– Nie – odpowiedziałem spokojnie – myślę, że nie.

– Zgoda. Możesz podjąć decyzję. Uważam, że to jest uczciwe. Nie chcę umierać. Pamiętaj
jednak – nie postępuj pochopnie – jak twoi pobratymcy.

– Nie będę – obiecałem.

Myślę, że dotrzymałem obietnicy.

Rozdział 25 **ATAK**

Dni stawały się coraz chłodniejsze. Nadchodziła zima, która mogłaby zapewnić nam
bezpieczeństwo aż do nadejścia wiosny. Kontynuowanie oblężenia podczas zimy byłoby
głupotą ze strony najeźdźców: Niewątpliwie zdawali sobie z tego sprawę. Iolinda była
zmuszona podjąć w końcu decyzję. Wydała rozkaz ataku na Loos Ptokai... Jak się
dowiedziałem, po wielu sprzeczkach marszałkowie wybrali najbardziej doświadczonego ze
swojego grona Wodzem Naczelnym.

Wybrali hrabiego Roldero.

Oblężenie zaczęło się na dobre. Sprowadzono ciężkie maszyny oblężnicze w tym
olbrzymie działa zwane smokami ognistymi, wielkie, czarne, żelazne działa ozdobione
barbarzyńskimi płaskorzeźbami.

Nadjechał Roldero. Herold ogłosił jego przybycie. Wyszedłem na mury, aby z nim
rozmawiać.

– Witaj zdrajco – zawołał. – Postanowiliśmy ukarać cię, a razem z tobą wszystkich
Eldrenów za murami. Mogliśmy pozabijać wszystkich szybko, ale teraz mamy zamiar skazać

tych, których schwytamy na powolną śmierć po torturach.

Zasmuciłem się.

– Roldero – błagałem go – byliśmy kiedyś przyjaciółmi. Byłeś może jedynym prawdziwym przyjacielem, jakiego miałem. Razem piliśmy, walczyliśmy i żartowaliśmy.

Byliśmy dobrymi przyjaciółmi, Roldero.

Koń poruszył się pod nim, uderzając kopytami w ziemię.

– To było dawno temu – odpowiedział nie patrząc na mnie – całe wieki temu.

– Niewiele ponad rok, Roldero.

– Nie jesteśmy już przyjaciółmi, Erekose.

Spojrzał w górę, osłaniając oczy dłonią w rękawicy.

Zauważyłem, że się postarzał. Miał na twarzy nowe blizny. Z pewnością ja również się zmieniłem.

98

– Nie jesteśmy już tymi samymi ludźmi – powiedział Roldero. Zawrócił konia wbijając swe długie ostrogi w jego boki. Nie pozostawało więc nic, oprócz walki.

Ogniste smoki zaczęły strzelać. Ich ciężkie pociski uderzały o mury miasta. Kule ogniste ze zdobytej eldreńskiej artylerii przelatywały z hukiem nad murami padając na ulice. Za nimi jak czarna deszcz podążały tysiące strzał. Na koniec milion ludzi ruszył przeciwko garstce obrońców. Odpowiedzieliśmy ogniem wszystkich dział, jakie posiadaliśmy, lecz mając mało pocisków musieliśmy polegać głównie na łucznikach. Odparliśmy ataki, lecz Loos Ptokai, starożytna stolica Mernadinu, trzymała się.

Bataliony wrzeszczących wojowników szturmowały mury jeden za drugim. Odpieraliśmy je za pomocą strzał z łuków, roztopionego metalu i najskuteczniej za pomocą miotających ogniem eldreńskich dział. Obrońcy walczyli dzielnie prowadzeni przez Arjavha i mnie.

Wojownicy Ludzkości pałali żądzą zemsty. Ginęli walcząc o przywilej zabicia mnie kiedykolwiek mnie ujrzeli. Walczyliśmy z Arjavhem bok przy boku, jak bracia. Jednakże eldreńscy wojownicy byli już zmęczeni. Po tygodniu nieustannej walki zdaliśmy sobie sprawę, że nie zdołamy już dłużej powstrzymać tej stalowej fali.

Tej nocy, gdy Ermizhad poszła już spać, usiedliśmy ze sobą. Nic nie mówiąc rozmasowywaliśmy sobie obolałe mięśnie.

– Wkrótce wszyscy zginiemy Arjavhu – odezwałem się w końcu – ty, ja, Ermizhad i reszta twojego ludu.

Ugniatał swój bark palcami, starając się go rozmasować.

– Tak – odpowiedział – wkrótce.

– Chciałem, żeby pierwszy powiedział to, co miałem na końcu języka, jednak nie zrobił tego.

Następnego dnia żołnierze Ludzkości uderzyli na nas z jeszcze większym impetem, czując naszą nadchodzącą klęskę. Przyciągnęli bliżej ogniste smoki, które zaczęły bombardować bramy miasta. Ujrzałem Roldera, który dowodził oblężeniem siedząc na swym wielkim czarnym koniu. Coś w jego postawie powiedziało mi, iż jest pewien, że złamie dziś naszą obronę.

Odwróciłem się w stronę Arjavha, który stał koło mnie. Nim zdążyłem się odezwać kilkanaście ognistych smoków wystrzeliło jednocześnie. Czarny metal zadrżał, pociski wyleciały z hukiem, uderzyły w główne bramy, które były zrobione z metalu i rozszczerpiły lewą z nich na pół. Nie upadła, lecz była tak uszkodzona, że następna kanonada musiała ją zniszczyć całkowicie.

– Arjavhu – krzyknąłem – musimy użyć dawnej broni. Musimy uzbroić Eldrenów.

Potrząsnął głową. Jego twarz była blada.

– Arjavhu. Musimy, jeszcze godzina i zmiotą nas z murów. Za trzy godziny będziemy całkowicie pokonani.

Spojrzał na Roldera dowodzącego artylerzystami. Tym razem nie protestował. Skinął głową.

– Dobrze. Zgodziłem się, żebyś podjął decyzję. Chodźmy.

Poprowadził mnie po schodach w dół. Miałem nadzieję, że nie przeceniał potęgi eldreńskiej broni.

99

Arjavh poprowadził mnie do podziemi, leżących u podstaw miasta. Szliśmy przez puste korytarze z gładkiego, czarnego marmuru, oświetlone żarówkami lśniącymi zielonym światłem. Doszliśmy na koniec do ciemnych metalowych drzwi. Arjavh nacisnął guzik.

Drzwi otworzyły się. Weszliśmy do windy, która zawiozła nas jeszcze dalej w dół.

Eldrenowie zadziwili mnie po raz kolejny. Dobrowolnie zrezygnowali z tych wszystkich cudów z powodu jakiegoś osobliwego poczucia sprawiedliwości

Dotarliśmy wreszcie do wielkiej sali pełnej maszyn o osobliwych kształtach. Wyglądały, jakby zrobiono je dopiero, wczoraj. Rozciągały się na obszarze około pół mili od nas.

– Oto nasza broń – powiedział Arjavh pustym głosem.

Pod wysokimi ścianami stały rozstawione pistolety, karabiny i przedmioty, które przypominały znaną Johnowi Dakerowi broń przeciwczołgową. Były tam pojazdy na gąsienicach, które wyglądały jak aerodynamiczne czołgi o szklanych kabinach. Miały one tapczany, na których mógł leżeć człowiek zawiadujący pulpitem sterowniczym. Byłem zaskoczony, że nie było żadnych maszyn latających, przynajmniej takich, które umiałbym rozpoznać. Zapytałem o to Arjavha.

– Maszyny latające. Ciekawe czy są możliwe do zbudowania. Wątpię w to. Nigdy w

naszej historii nie umieliśmy zbudować maszyny, która mogłaby utrzymać się bezpiecznie w powietrzu choćby przez krótki okres.

Zdumiała mnie ta niewytłumaczona luka w ich technologii, nie wspomniałem jednak o tym więcej.

– Teraz, gdy widzisz wszystkie te straszne rzeczy – powiedział do mnie – czy nadal jesteś przekonany, że powinniśmy, ich użyć? Myślałem niewątpliwie, że takie bronie były mi nieznane.

W rzeczywistości nie różniły się one zbyt wiele od maszyn wojennych, które znał John Daker.

W moich snach widywałem o wiele dziwniejsze rzeczy.

– Przygotujmy je – odpowiedziałem mu.

Wróciliśmy na powierzchnię i wydaliśmy rozkazy naszym wojownikom

Roldero zniszczył jedną z naszych bram i musieliśmy sprowadzić działą do jej obrony.

Tym niemniej wojownicy Ludzkości zaczęli wdzierać się do środka. Pod bramą trwała walka wręcz. Zapadała noc. Miałem nadzieję, że mimo swojej przewagi ludzka armia wycofa się po zmierzchu, co dałoby nam potrzebny czas. Widziałem, jak Roldero ponagla swoich ludzi. Z pewnością chciał wzmocnić swą pozycję przed zmrokiem. Skierowałem więcej ludzi w stronę wyłomu.

Już w tej chwili zaczynałem mieć wątpliwości. Być może Arjavh miał rację twierdząc, że użycie potęgi starożytnych było zbrodnią. Pomyślałem jednak, że nie ma to znaczenia. Lepiej zniszczyć wszystkich ludzi i połowę planety, niż pozwolić im zniszczyć piękno Eldrenów.

Uśmiechnąłem się na tę myśl. Arjavh nie pochwaliby takiego sposobu rozumowania. Był on dla niego obcy.

Ujrzałem, że Roldero sprowadził więcej ludzi, aby zrównoważyć nasze siły. Wskoczyłem na siodło najbliższego konia i pogałem w kierunku wyłomu. Wyciągnąłem miecz Kanajana.

Wydałem swój okrzyk wojenny, jeszcze nie tak dawno prowadzący do boju wojowników,

których teraz atakowałem. Usłyszeli go. Jak oczekiwałem wyprowadziło ich to z równowagi.

100

Przeskoczyłem na koniu nad głowami moich ludzi i stanąłem naprzeciwko Roldera. Spojrzał na mnie zaskoczony. Osadził swego konia w miejscu.

– Czy będziesz ze mną walczył Roldero?– zapytałem.

– Tak jest, zdrajco.

Runął na mnie z cugłami zawieszonymi na ramionach. U obu rękach trzymał swój potężny miecz, który świsnął mi nad głową, gdy się uchyliłem.

Wszędzie wokół nas ludzie i Eldrenowie walczyli zawzięcie w świetle zachodzącego słońca pod zniszczonymi murami Laos Ptakai.

Roldero był bardziej zmęczony ode mnie, walczył jednak nieustępliwie.

Nie potrafiłem przebić się przez jego gardę. Poczulem uderzenie miecza w hełm.

Zatrzymałem się. Oddałem cios, trafiając w jego hełm. Mój wytrzymał uderzenie, lecz jego zsunął się do połowy. Zerwał go z głowy i odrzucił na bok. Osiwiał zupełnie od czasu, kiedy ostatni raz widziałem go z odkrytą głową. Twarz miał czerwoną, oczy mu błyszczały.

Spróbował ugodzić mnie mieczem przez przyłbicę. Uchyliłem się. Stracił równowagę w siodle. Zadałem mu cios wprost w pierś. Jęknął. Cała wściekłość uszła z jego twarzy.

– Teraz znowu możemy być przyjaciółmi, Erekose – wykrztusił i umarł.

Spojrzałem w dół na niego. Leżał na swoim mieczu. Przypomniałem sobie sympatię, którą mnie darzył, wino, które przynosił, aby pomóc mi zasnąć, rady, które starał się mi dawać.

Przypomniałem sobie też, jak zepchnął martwego króla z siodła. Hrabia Roldero był dobrym człowiekiem... To historia zmusiła go, aby czynił zło. Jego czarny koń pobiegł galopem w kierunku odległego namiotu hrabiego.

Uniosłem swój miecz w ostatnim pozdrowieniu, po czym krzyknąłem do ludzi walczących

wokół:

– Spójrzcie żołnierze Ludzkości. Wasz Wódz Naczelny nie żyje.

Słońce zachodziło. Wojownicy zaczęli się wycofywać patrząc na mnie z nienawiścią.

Śmiałem się im prosto w twarz. Żaden z nich nie ośmielił się mnie zaatakować, gdyż

trzymałem w ręku zakrwawiony miecz Kanajana. Jeden z nich krzyknął do mnie:

– Niech ci się nie zdaje, że nie mamy wodza, Erekoze. Jest z nami królowa, która

poprowadzi nas do bitwy. Przybyła, aby być świadkiem waszej ostatecznej klęski.

Iolinda była wśród oblegających. Zastanowiłem się szybko.

– Powiedzcie swojej pani, aby przybyła jutro o świcie pod nasze mury. Będziemy

rokować.

Pracowaliśmy całą noc, by wzmocnić mury i zainstalować nowe maszyny Wojenne.

Ustawiliśmy je wszędzie, gdzie to było możliwe. Żołnierze eldreńscy otrzymali również broń

ręczną. Zastanawiałem się, czy Iolinda otrzymała wiadomość, a jeśli tak, czy raczy przybyć.

Przybyła. Razem z nią pojawiła się resztką marszałków w pełnym rynsztunku wojennym.

Całe ich uzbrojenie wydawało się śmieszne w porównaniu z potęgą broni Eldrenów.

Ustawiliśmy jedno z naszych dział tak, żebyśmy mogli zademonstrować jego możliwości.

Usłyszeliśmy głos Iolindy.

– Witam Eldrenów i ich nową kukielkę. Jest już dobrze wytrenowaną marionetką,

prawda?

101

– Witaj Iolindo – powiedziałem wstając z miejsca – Zaczynasz okazywać skłonność do

nędznych obelg, jak twój ojciec. Nie traćmy czasu.

– Właśnie marnuję swój czas – odpowiedziała – mamy zamiar skończyć dzisiaj z wami.

– Być może do tego nie dojdzie. Oferujemy wam rozejm i pokój.

Iolinda roześmiała się w głos.

– Oferujesz nam pokój, ty zdrajco. To ty powinieneś błagać o pokój, którego i tak nie dostaniesz.

– Ostrzegam cię Iolindo – krzyknąłem zrozpaczony – ostrzegam was wszystkich – mamy nową broń, która już kiedyś omal nie zniszczyła Ziemi. Spójrzcie.

Rozkazałem dać ognia z wielkiego działa. Eldreński wojownik nacisnął dźwignię.

Usłyszeliśmy brzęczenie. Po chwili złoty błysk energii wystrzelił z lufy. Padliśmy na ziemię, zasłaniając oczy. Nasza skóra pokryła się pęcherzami od gorąca. Konie stanęły dęba rżąc z przestachu. Marszałkowie otwarli szeroko usta. Ich twarze poszarzały. Starali się opanować swoje wierzchowce. Tylko Iolinda siedziała nieruchomo w swym siodle, nie okazując zdenerwowania.

– To właśnie mamy dla was, jeśli nie zechcecie pokoju – krzyknąłem – mamy tuzin takich dział, jak to i inne równie potężne. Mamy również broń ręczną, która może zabić stu ludzi za jednym zamachem. Co macie do powiedzenia?

Iolinda podniosła głowę i spojrzała prosto na mnie.

– Będziemy walczyć – odpowiedziała.

– Iolindo – błagałem ją – ze względu na pamięć naszej miłości, nie walczcie. Pozwolimy wam odejść w pokoju. Będziecie mogli spędzić resztę swojego życia bezpiecznie. Daję wam słowo.

– Bezpiecznie – zaśmiała się gorzko – jak można mówić o bezpieczeństwie, gdy istnieje taka broń?

– Iolindo, musisz mi uwierzyć.

– Nie – odpowiedziała – Ludzkość będzie walczyć do końca. Ponieważ dobry Bóg nas wspiera, zwyciężymy z pewnością. Przysięgliśmy walczyć z czarnoksięstwem, a z pewnością

nigdy nie było większego czarnoksiężstwa niż to, które widzieliśmy dzisiaj.

– To nie czary, tylko nauka. To jest takie samo działo jak wasze, tylko potężniejsze.

– Czary – zewsząd słyhać było szepty. Ci głupcy byli prawdziwymi dzikusami.

– Jeżeli zmusicie nas do walki – powiedziałem im – będzie to walka do samego końca.

Eldrenowie woleliby darować wam życie po wygranej bitwie, ja jednak zamierzam, jeśli zwyciężymy, oczyścić tę planetę z waszego rodzaju, tak, jak wy poprzysięgliście zrobić to z Eldrenami. Macie jeszcze szansę na pokój. Bądźcie rozsądni.

– Jeżeli tak będzie trzeba, zginiemy od waszych czarów – odpowiedziała, ale zginiemy walcząc z nimi.

Poczułem się zmęczony.– Kończmy tę rozmowę – powiedziałem jej.

Iolinda zawróciła konia i pogalopowała razem ze swoimi marszałkami do obozu, aby wydać rozkaz do ataku.

Nie widziałem jak zginęła. Tego dnia było zbyt wiele ofiar. Wyszliśmy naprzeciw ich natarciu. Byli bezradni wobec naszej broni. Energia wtryskiwała z luf spalając ich szeregi.

102

Wszyscy czuliśmy ból, gdy fale gorąca zmiatały z rykiem ich oddziały zamieniając dumnych wojowników i ich wierzchowce w czarne pogorzelsko. Zrobiliśmy tak, jak uważali, że zrobimy. Zniszczyliśmy ich wszystkich. Gdy nadchodzili, czułem dla nich litość. Śmietanka Ludzkości. Zabiliśmy milion wojowników w ciągu godziny. Jednej godziny.

Gdy wszyscy zginęli ogarnęło mnie dziwne uczucie, którego do dziś nie potrafię określić.

Mieszanka ulgi, triumfu i smutku. Bolałem nad śmiercią Iolindy. Była gdzieś tam na stosie poczerniałych kości i tłęcego się ciała. Jeden kawałek zwęglonego mięsa wśród innych. Jej uroda zniszczona razem z życiem. To przynajmniej coś znaczyło. W ten sposób podjąłem ostateczną decyzję. Czy rzeczywiście ja ją podjąłem? Możliwe, że zrobiłem tylko to, co było

mi przeznaczone. Być może to właśnie była zbrodnia, o której wspominałem wcześniej.

Zbrodnia, która skazała mnie na to, abym stał się tym, czym byłem? Czy miałem rację?

Mimo nieustannych sprzeciwów Arjavha wyprowadziłem maszyny z Loos Ptokai i wyruszyłem z nimi naprzód. Oto, co uczyniłem:

Dwa miesiące temu zdobyłem miasta Mernadinu dla Ludzkości. Teraz odzyskałem je w imię Eldrenów. Zrobiłem to w straszliwy sposób. Zabiłem wszystkich ludzi, którzy się w nich znajdowali.

Po tygodniu dotarliśmy do Paphanaalu, w którego wielkim porcie zakotwiczyła flota Ludzkości. Zniszczyłem okręty i garnizon. Zginęli mężczyźni kobiety i dzieci. Nie oszczędziłem nikogo.

Ponieważ wiele maszyn mogło pływać, poprowadziłem Eldrenów przez morze na Dwa Kontynenty, choć Arjavh i Ermizhad nie chcieli udać się ze mną. Zburzyliśmy wszystkie miasta. Noonos o wieżach ozdobionych klejnotami, Tarkar. Piękne miasta kraju pszenicy: Stalaco, Calodemia, Mooros i Ninadoon. Wedma, Shilaal, Sinaan i wiele innych. Zburzyliśmy je wszystkie zamieniając je w otchłań kipiącej energii. Zajęło nam to kilka godzin. W Necranalu – pastelowym mieście na szczycie góry zginęło pięć milionów mieszkańców. Wszystko, co pozostało, to sama góra wypalona do szczytu. Byłem dokładny. Nie tylko wielkie miasta zostały zniszczone. Małe miasteczka zostały zniszczone. Wsie zostały zniszczone. Osady i gospodarstwa rolne zostały zniszczone.

Zniszczyłem lasy, do których mogli się schronić. Zniszczyłem kamienie, pod którymi mogli się ukryć. Z pewnością zniszczyłbym każde źdźbło trawy, gdyby Arjavh nie przybył zza oceanu, aby mnie powstrzymać. Był przerażony tym, co zrobiłem. Błagał mnie, żebym przestał. Przestałem.

Nie pozostał już nikt, kogo mógłbym zabić.

Wracając na wybrzeże zatrzymaliśmy się, aby spojrzeć na dymiącą górę, gdzie ongiś był Necranal.

– Ze złości na jedną kobietę i z miłości do drugiej zrobiłeś taką rzecz? – zapytał Arjavh.

Wzruszyłem ramionami.

– Nie wiem. Myślę, że zrobiłem to, gdyż był to jedyny sposób by uzyskać trwały pokój.

Zbyt dobrze znam swoją rasę. Ta ziemia zawsze byłaby rozdierana przez wojny. Musiałem zdecydować, kto bardziej zasługuje na życie. Jak sam wiesz, gdyby ludzie wytępili Eldrenów już wkrótce zwróciliby się przeciwko sobie. Mogą walczyć ze sobą o byle co, o władzę nad

103

swymi braćmi, o błyskotkę, o dodatkową piędź ziemi, której nie uprawiają, o kobietę, która ich nie chce.

– Mówisz w czasie teraźniejszym – zauważył Arjavh – doprawdy Erekose, chyba nie zdajesz sobie sprawy, co zrobiłeś?

Westchnąłem.

– Tym niemniej zrobiłem to – odpowiedziałem.

– Tak – szepnął. Wziął mnie za ramię. – Chodź przyjacielu. Wracajmy do Mernadinu.

Zostaw ten smród za sobą. Ermizhad czeka na ciebie.

Czułem się zupełnie pusty w środku, pozbawiony wszelkich uczuć. Poszedłem za nim w stronę rzeki. Toczyła ospale swe wody, pokryta czarnym pyłem.

– Myślę, że postąpiłem słusznie – powiedziałem – nie kierowała mną moja własna wola.

Mam wrażenie, że w tym właśnie celu zostałem tu sprowadzony. Istnieją siły, których natury nigdy nie poznamy. Możemy o nich tylko śnić. To nie wola Rigenosa przywiodła mnie do tego świata. On był tylko narzędziem, podobnie jak ja. Los postanowił, że Ludzkość zginie na tej planecie.

– To dobrze, że tak myślisz – powiedział – Chodź już. Wracajmy do domu.

EPILOG

Blizny zniszczenia zagoiły się już teraz, gdy kończę moją kronikę. Wróciłem do Loos Ptokai, aby poślubić Ermizhad. Eldrenowie obdarzyli mnie nieśmiertelnością. Przeżyłem rok czy dwa w rozpaczy, zanim mój umysł się rozjaśnił. Teraz jest już jasny. Nie czuję się winny. Jestem coraz bardziej pewien, że to nie ja podjąłem decyzję.

Może jestem szalony? Może nie chcę sam przed sobą przyznać się do winy? Jeśli tak jest, to przynajmniej czuję się dobrze ze swoim szaleństwem, nie rozdziera mnie ono na dwoje, jak niegdyś moje sny. Nawiedzają mnie one teraz bardzo rzadko.

Tak żyjemy we troje – Ermizhad, Arjavh i ja. Arjavh jest władcą całej Ziemi – Ziemi Eldrenów. Ermizhad i ja rządzymy wraz z nim.

Oczyściliśmy Ziemię z rodzaju ludzkiego. Jestem jego ostatnim przedstawicielem. Czuję, że w ten sposób sprowadziliśmy tę planetę z powrotem na właściwe tory umożliwiając jej harmonijne współistnienie ze Wszechświatem. Wszechświat jest stary, być może starszy nawet ode mnie i nie mażę tolerować istnienia ludzi, którzy burzą jego pokój.

Czy postąpiłem słusznie? Kimkolwiek jesteście, musicie osądzić sami. Ola mnie jest już za późno na stawianie pytań. Nauczyłem się już nie stawiać ich sobie. Gdybym spróbował na nie odpowiedzieć, skończyłoby się to dla mnie szaleństwem.

Zastanawia mnie jedna rzecz. Jeżeli czas jest rzeczywiście cykliczny i Wszechświat, który znamy narodzi się któregoś dnia ponownie w następnym cyklu, to Ludzkość znowu pojawi się na Ziemi, a Eldrenowie znikną z niej rzeczywiście, czy pozornie. Jeżeli wy, którzy to czytacie jesteście ludźmi, być może znacie odpowiedź. Możliwe, że moje pytania wydają się wam naiwne i śmiejecie się ze mnie czytając te słowa. Ja jednak nie znam odpowiedzi, Nie umiem jej sobie nawet wyobrazić. Nie mogę być ojcem waszej rasy, ludzie, gdyż Ermizhad i

ja nie możemy mieć ze sobą dzieci. Skąd więc się pojawicie, by zakłócić harmonię

Wszechświata?

Czy będę tutaj nadal, aby was przywitać? Czy znowu zostanę waszym bohaterem, czy też zginę wraz z Eldrenami walcząc z wami?

Może umrę przedtem i stanę się wodzem, który sprowadzi zakłócającą pokój Ludzkość z powrotem na Ziemię?

Nie umiem na to odpowiedzieć. Jakie imię będę nosił, gdy następnym razem mnie wezwiecie?

Na razie na Ziemi panuje pokój. W powietrzu unoszą się tylko dźwięki śmiechu, szepty rozmów i odgłosy małych zwierząt. Pozostajemy w pokoju z Ziemię. Jak długo jednak może to trwać?

Jak długo może to trwać?

KONIEC